



ANNE STUART

DOM CIENI

PROLOG

Jednym z najciekawszych domów w Hollywood jest słynny La Casa de Sombras - Dom Cieni. Wybudowany w 1928 roku przez braci Greene, Dom Cieni jest klasycznym przykładem połączenia hiszpańskiego stylu kolonialnego z elementami, śródziemnomorskimi i mauretańskimi. Otaczające rezydencję rozległe tereny, niegdyś pięknie utrzymane, podobnie jak dom popadły w kompletną ruinę. Cała posiadłość zapewne wkrótce zniknie z powierzchni ziemi.

Na początku lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku La Casa de Sombras stał się niemym świadkiem romantycznej tragedii. Ówczesna właścicielka, Brenda de Lorillard, gasnąca gwiazdka filmowa, zastrzeliła tu swego żonatego kochanka, reżysera Teda Hughesa, po czym oddała strzał samobójczy. Całe urządzone z wielkim przepychem wnętrze było zbryzgane krwią, chociaż ciała kochanków znaleziono w sypialni pani domu. W ciągu następnych dziesięcioleci często widywano ich duchy -rozmawiały ze sobą albo tańczyły na tarasie w blasku księżyca. Czasami, ku zgorszeniu późniejszych mieszkańców i gości, widziano obie zjawy in flagrante delicto na wielkim stole bankietowym. Okoliczności tragedii sprzed pół wieku nie wyjaśniono do dziś.

Zakupiony przez Meyer Enterprises dom pozostał niezamieszkały aż do połowy lat sześćdziesiątych, kiedy wprowadziła się tam tworząca hippisowską komunę grupa znanych hollywoodzkich młodych aktorów i muzyków, która zrujnowała posiadłość

doszczętnie. Obecni właściciele starają się przywrócić tej pięknej, starej rezydencji dawny blask. Niestety, jej dni są raczej policzone, podobnie zresztą jak większości starych, hollywoodzkich rezydencji.

Można się tylko zastanawiać, dokąd pójda duchy, kiedy ich dom przestanie istnieć.

Zwiedzamy Hollywood, Hartsfield Books, 1974.

Brenda de Lorillard, gwiazda sceny, ekranu, bulwarowej prasy ale także sennych koszmarów, przeciągnęła się jak kotka.

- Od wydania tej wstrętnej książki minęło z górą piętnaście lat - powiedziała do ukochanego. - Chyba już całkiem o nas zapomnieli.

Ted podniósł wzrok znad gazety i spojrzał na nią przez okulary w drucianej oprawie. Kiedy Brenda zobaczyła go w nich po raz pierwszy, kpiała z niego niemilosiernie, bo po co duchowi okulary? Czy to możliwe, żeby po śmierci popsuł mu się wzrok? A poza tym, skąd on wytrzasnął te przekłete okulary?

Ale Ted tylko uśmiechał się czule. Tak samo jak wówczas, gdy pierwszy raz zobaczyła go na planie. Właśnie wtedy go pokochała, choć był tylko skromnym reżyserem, a ona wielką gwiazdą.

Prawie całe życie, trzydzieści trzy... nie! Dwadzieścia osiem lat dbała wyłącznie o swoją karierę i w jednej chwili zaryzykowała ją dla szalonej miłości, która przetrwała wszystko. Karierę diabli wzięli, ale uczucia nie zmógł ani czas, ani nawet śmierć.

- Nie przejmuj się tym, mój skarbie - powiedział Ted i wypił łyk kawy z maleńkiej filiżanki. - Dom wprawdzie jest w złym stanie, ale

jednak stoi. Wprawdzie rzadko, ale wycieczki wciąż jeszcze zatrzymują się przed bramą.

- Niestety, wielbiciele już tu nie zagląдают - westchnęła Brenda. - Teraz przyjeżdżają tylko ci, których interesują skandale. Ci sami, którzy odwiedzają grób Valentino i miejsce, gdzie znaleziono Czarną Dalię. W ogóle nie pasują do takiej wspaniałej posiadłości jak La Casa de Sombras. Nie lubię ich. Nie mogę znieść, że jedyne, co ich interesuje, to nasza śmierć.

Ted zdjął okulary, położył je na gazecie i spojrzał na nią tymi swoimi cudownymi, szarymi oczyma. Gazeta była zawsze ta sama: „Los Angeles Times” z 27 października 1951 roku, ostatnia, jaką przeczytał za życia. Każdego ranka przeglądał ją z takim zainteresowaniem, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Jeśli ktoś zobaczy choć jeden z twoich filmów, mój skarbie, musi cię zapamiętać jako wspaniałą aktorkę i piękną kobietę - zapewnił ją Ted. - Zwłaszcza jeśli będzie to któryś z wyreżyserowanych przeze mnie - dodał z uśmiechem. - O skandalach się zapomina, a sztuka trwa wiecznie. Ars longa, vita brevis.

- Nie mów do mnie reklamowymi sloganami - prychnęła Brenda. - Nigdy nie pracowałam dla MGM i bardzo się z tego cieszę.

- To powiedzenie jest nieco starsze...

- Wiem, że masz solidne wykształcenie, i nie żądam, żebyś się zniżał do mojego poziomu - przerwała mu, oglądając swoje paznokcie. Codziennie je opiłowywała, codziennie szukała w nich jakichś drobnych niedoskonałości i... codziennie jakieś znajdowała.

Ta dziwna sytuacja miała przynajmniej jedną dobrą stronę: Brenda się nie starzała. Żałowała bardzo, że nie może zobaczyć swojego odbicia w niezliczonych lustrach, rozwieszonych w każdym dosłownie kącie La Casa de Sombras, ale ze spojrzenia Teda wnioskuje, że wciąż jest tak samo piękna jak przed laty. Niczego więcej nie potrzebowała do szczęścia.

- Domu nie zburzą - tłumaczył jej cierpliwie Ted. - Przetrwiał całe lata sześćdziesiąte i tych okropnych ludzi, którzy tu wówczas obozowali, przetrwał lata zaniedbania. .. Teraz przynajmniej jest ktoś, kto kocha go tak, jak myśmy go kochali. Ona zajmie się naszym pięknym domem. I nami też.

- A jeśli nie? Jeśli rzeczywiście zrównają go z ziemią i postawią na tym miejscu jakiś ohydny biurowiec? Stracimy swoje miejsce, zostaniemy tułaczami...

- Mój biedny skarbie - powiedział czule Ted. W jego głosie było tyle miłości, Brenda przytuliła się do niego i od razu odzyskała spokój. W ramionach Teda zawsze znajdowała ukojenie. - Tyle razy sobie radziliśmy, więc i teraz jakoś sobie poradzimy. Najważniejsze, że jesteśmy razem. Na zawsze.

Patrzyła na niego. Był taki kochany, taki słodki i tylko jej.

- Na zawsze - powtórzyła drżącym głosem. Pochyliła się, by przytulić swe karminowe usta do ust

Teda. Powoli zaczęli znikać.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jilly Meyer zawsze wchodziła do biura swego ojca mając w głowie jakieś absurdalne fantazje. Ostatnio wyobrażała sobie, że jest francuską arystokratką, pędzącą dwukółką na zatracenie. Rzeczywisty nastrój tamtego nieprzyjemnego spotkania z ojcem nieznacznie tylko odbiegał od tego, jaki musiał towarzyszyć wymyślonej przez nią postaci. Obiecała sobie, że nigdy więcej się z nim nie spotka.

Mimo wszystko wróciła. Tym razem jednak nie była szlachetną męczennicą, zmierzającą na spotkanie swego przeznaczenia, lecz bojowniczką gotową stoczyć walkę na śmierć i życie z siłami zła. Musiała jeszcze tylko przekonać Charona - po przekroczeniu Styksu będzie mogła spotkać się oko w oko z samym Lucyferem.

To straszne, uważać własnego ojca za diabła, pomyślała Jilly. Tym bardziej że pani Afton, dama o stalowym spojrzeniu, nie zasługiwała na miano szlachetnego Charona. Prawdę mówiąc, niewiele miała z nim wspólnego, była zwykłą harpią, ale dostępu do biura swego szefa broniła z nadludzką siłą.

- Twój ojciec jest bardzo zapracowany, Jilly - powiedziała pani Afton tym swoim lodowatym głosem, którego Jilly panicznie się bała, kiedy była małą dziewczynką. - Myślisz, że możesz pojawić się tutaj jak gdyby nigdy nic, bez żadnej zapowiedzi? Wydaje ci się, że twój tata rzuci wszystko, żeby się z tobą spotkać? Zaczekaj chwilę, sprawdzę w jego terminarzu. Może uda mi się coś znaleźć...

- Nie wyjdę stąd, dopóki się z nim nie zobaczę - powiedziała Jilly stanowczo. Na szczęście głos nie zdrzął jej ani trochę.

Pani Afton ją przerażała. Zawsze tak było i nie zmieniło się ani na jotę. Za to ojciec nie miał już nad nią żadnej władzy. Jilly go nie potrzebowała, nie kochała i chyba nawet przestała uważać za ojca. Nie znosiła tylko awantur, a tym razem spodziewała się karczemnej.

Wąskie usta pani Afton zacisnęły się w cieniutką kreseczkę. Najwyraźniej była niezadowolona, lecz Jilly się tym nie przejęła.

Od sanktuarium, miejsca najświętszego ze świętych, wciąż jeszcze dzieliło ją troje drzwi. Wszystkie wyposażone w elektroniczne zamki. Gdyby podjęła próbę sforsowania ich siłą, zrobiłaby z siebie kompletną idiotkę.

- Zaczekaj w szarym saloniku - odezwała się po chwili pani Afton, co, wbrew pozorom, wcale nie oznaczało kapitulacji. - Dowiem się, czy ojciec znajdzie dla ciebie wolną chwilę, choć, prawdę mówiąc, nie mam zbyt wielkiej nadziei.

Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie, pomyślała Jilly.

- Nie szkodzi - odparła. - Poczekam.

Było już po trzeciej. Odkąd ojciec Jilly ożenił się z Melbą, przestał pracować tak intensywnie jak przedtem. Jilly nie miała pojęcia, dlaczego właściwie Jackson Dean Meyer dotąd nie porzucił swojej trzeciej żony, tak jak to zrobił z dwiema poprzednimi. Może była dobra w łóżku...

Nie! Jilly nie zamierzała się nad tym zastanawiać. Tak czy siak, Melbie udało się trochę zmiękczyć starego. Może nawet do tego stopnia, że tym razem zgodzi się zrobić to, do czego Jilly chciała go przekonać.

W szarym saloniku znajdował się bogaty wybór najlepszych czasopism. Niestety, większość z nich traktowała o paleniu cygar, a to Jilly nie interesowało. Skórzane kanapy i fotele były bardzo wygodne, z okien roztaczał się widok na leżące w dole Los Angeles. W pogodny dzień można było zobaczyć stąd wzgórze Hollywood, może nawet wieżyczki jej domu przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. La Casa de Sombras, Dom Cieni. Rozpadające się mauzoleum, które właściwie trudno było nazwać domem.

Niestety, jesienna mgła spowijała miasto i prócz niej oraz wszechobecnego smogu właściwie nic nie było widać. Jilly siedziała więc w tej szklanej, szarej pułapce: klimatyzowanej, sterylnej czystej, lecz przygnębiającej. Czekwała.

Starannie przygotowała się na to spotkanie, a raczej na awanturę. Włożyła elegancki kostium z czarnego lnu, do tego beżową bluzeczkę z jedwabiu, beżową torebkę i pantofelki... Jackson Dean Meyer uwielbiał elegancko ubrane kobiety. Przynajmniej ten jeden raz Jilly chciała mu się podobać. Gra była warta świeczki.

Pewien problem stanowiło to, że jeśli będzie musiała długo czekać, lniany kostium paskudnie się pogniecie. Trudno, pomyślała, ojciec musi mnie wysłuchać, choćbym miała ubranie całkiem pomięte.

Zrzuciła pantofle, zwinęła się w kłębek w rogu olbrzymiej, pokrytej szarą skórą sofy, krótką spódniczkę obciągnęła tak jak się tylko dało. Przejrzała torebkę w poszukiwaniu puderniczki, ale bez skutku. Widocznie zapomniała o niej, kiedy przekładała rzeczy ze swojej codziennej torby do tego małego beżowego cacka, które wprawdzie trudno było nazwać torebką, ale za to pasowało do szykownego kostiumu.

Nieważne, pomyślała. I tak nic mi już nie pomoże.

Zamknęła torebkę, ułożyła się wygodnie na sofie, głęboko westchnęła. Za wszelką cenę starała się pozbyć napięcia, paralizującego całe jej ciało.

Miała prawie trzydzieści lat, była niezależną, dobrze wykształconą kobietą, a jednak wciąż bała się ojca, chociaż już od dawna go nie kochała.

W ciągu minionych dwudziestu lat próbowała wszystkiego: medytacji, leków uspokajających i psychoterapii, brała także udział w treningach asertywności. I zawsze, kiedy była już pewna, że pokonała ten strach, Jackson Dean Meyer robił coś takiego, że znów zaczynała się go bać. Teraz czekała ją kolejna próba.

Taka zależność jest naprawdę straszna, pomyślała Jilly

Uwolnienie się spod wpływu ojca właściwie nie było takie trudne. Nie bardzo się nią interesował i nie przejawiał wobec niej żadnych uczuć. Pewnie nawet nie zauważył, że od ich ostatniego spotkania minęło kilka lat Gdyby nie ten lęk...

Tak, Jilly była już niezależna, ale jej brat i siostra nadal potrzebowali ojca. Wciąż zależało im na jego miłości Dla rodzeństwa była gotowa zrobić wszystko, nawet po konać swój własny strach i stawić czoło temu tyranowi Dla Rachel-Ann był wprawdzie tylko ojcem przybranym... Jilly często zastanawiała się, czy nie dlatego właśnie kocha ją bardziej niż swoje rodzone dzieci.

Jilly znalazła się w biurze ojca z powodu brata. Tylko dla niego weszła do tej jaskini lwa, gotowa stoczyć bo na śmierć i życie.

Dean już trzeci dzień siedział w ciemnym pokoju sam na sam ze swoim ukochanym komputerem. Po raz kolejny Jacksonowi udało się zdruzgotać go i po raz kolejny Dean poddał się bez walki.

Jackson Meyer pozbawił Deana stanowiska szefa departamentu prawnego swojej firmy. Zastąpił go jakimś nowym, cudownym dzieckiem, któremu na imię było Coltrane. Bardziej ufał obcemu człowiekowi niż własne mu synowi! Dean otrzymał podwyżkę, ale nie miał nic do roboty. Został odesłany na bezterminowy, dobrze płatny urlop. Bezlitosny ojciec upokorzył go bardzo.

Jilly była gotowa przeprowadzić to starcie w imieniu Deana. Nie mogła siedzieć z założonymi rękoma, kiedy jej brat, milczący i zamknięty w sobie, całymi dniami przesiadywał przed komputerem, bez słowa protestu oddając obcemu wszystko, z zaufaniem Jacksona włącznie.

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że Dean zawsze pozwalał ojcu pastwić się nad sobą. Nigdy nawet nie spróbował uniezależnić się od niego, nawet nie pomyślał o innej pracy. Zaraz po studiach przyjął

dobrze płatną posadę W obracającej milionami firmie budowlanej ojca. Siedział tam jak mysz pod miotłą, na obelgi Jacksona odpowiadał uśmiechem, bez szemrania wykonywał wszystkie jego rozkazy. Zawsze pokorny, zawsze ułaskawiony, spragniony miłości i aprobaty ojca.

Oczywiście, nie odważył się z nim porozmawiać. Zamiast rozmówić się z Jacksonem, wrócił do domu pijany i wypłakał swoje żale na ramieniu siostry.

Właśnie dlatego musiała tutaj przyjść: dla dobra brata, choć przecież doskonale wiedziała, że właściwie nie ma żadnych szans. Dla siebie nigdy by tego nie zrobiła, ale dla Deana musiała. Musiała przynajmniej spróbować.

Oparła głowę na poręczu kanapy i przymknęła oczy.

Trzeba było zrobić sobie manikiur, pomyślała. Babcia zawsze powtarzała, że kobieta ze starannie wypielęgnowanymi paznokciami nigdy nie traci pewności siebie. Jilly szczerze wątpiła, żeby równiutkie, plastikowe paznokcie mogły zwiększyć jej szanse w konfrontacji z ojcem, ale w sytuacji, w jakiej się znalazła, należało wykorzystać wszelkie dostępne środki.

A może lepiej pójść sobie, może rzeczywiście zrobić tak, jak radzi ta wstrętne pani Afton i zapisać się do ojca na spotkanie? Mogłabym przedtem pójść do manikiurzystki, może nawet do fryzjera... Meyer nie cierpi długich włosów. Zwłaszcza moich. Mogłabym się ostrzyć na krótko, choćby tak jak Meg Ryan.

Niestety albo na szczęście Jilly była wysoka, silna, miała niemodne, proste, długie włosy w kolorze ciemnego brązu i twardy charakter. Żadne sztuczki nie zdołałyby jej zmienić w słodkie kobieciątko. Nie pomógłby nawet najlepszy manikiur.

Oddychaj głęboko, udzielała sobie instrukcji. I zachowaj całkowity spokój. Nie możesz pozwolić, żeby wyprowadził cię z równowagi. Najlepiej wyobraź sobie, że schodzisz po schodach. Powoli, spokojnie, jak u siebie w domu... Dziesięć, dziewięć, osiem...

Ktoś się jej przyglądał. Kiedy starała się uspokoić, zasnęła. Teraz czuła na sobie czyjeś spojrzenie.

Pomyślała, że jeśli będzie tak leżeć z zamkniętymi oczami, to ten ktoś wreszcie sobie pójdzie. Na pewno nie był to ojciec. On by nie czekał, aż Jilly się obudzi. Nie była to także pani Afton. Ona także by się nie krepowała, podeszłaby do Jilly i mocno nią potrząsnęła.

Jednak udawanie, że się śpi, nie było dobrym sposobem na życie. Jilly otworzyła więc oczy i zamrugła powiekami. W saloniku panował mrok, za wielką ścianą ze szkła zapadła wczesna, jesienna noc.

W progu stał jakiś mężczyzna i patrzył na nią. Nie widziała jego twarzy, tylko wyrazistą sylwetkę, odcinającą się na tle jasno oświetlonego holu.

Odgłosy życia biurowego ustały, a to oznaczało, że jest już bardzo późno i że Jilly jest tu sama z zupełnie obcym człowiekiem.

Gdyby miała choć trochę oleju w głowie, powinno ją to zaniepokoić.

- Chce pan tu posprzątać? - spytała szorstko. Zmusiła się, żeby nie zerwać się z sofy, tylko wstać powoli, z godnością. Nie mogła także pozwolić sobie na obciągnięcie króciutkiej spódniczki, bo taki gest mógłby zwrócić uwagę obcego.

Nieznajomy zapalił światło. Blask jasnych żarówek na chwilę oślepił Jilly.

- Przepraszam, że musiała pani tak długo czekać. Pani Afton zostawiła mi na biurku wiadomość, ale zauważyłem ją dopiero wówczas, kiedy przygotowywałem się do wyjścia. Podobno chciała się pani ze mną widzieć.

- Wcale nie chciałam się z panem widzieć. Nie wiem nawet, kim pan jest. Czekam na Jacksona.

Mężczyzna wszedł do saloniku. Miał czarujący uśmiech zdrajcy.

- Twój ojciec prosił mnie, żebym odbył to spotkanie za niego, Jillian. Nazywam się...

- Coltrane - dokończyła ponuro. Już wiedziała, dlaczego tak szybko i bez pytania zaczął jej mówić po imieniu. - Mogłam się tego domyślić.

- Jakim cudem?

- Brat mi o tobie opowiadał. - Jilly nie widziała powodu, dla którego miałyby tę gnidę tytułować „panem”.

- Na pewno nic pochlebnego - stwierdził bez zażenowania.

W sposobie, w jaki mówił, nie było charakterystycznej dla Kalifornijczyków miękkości. Jilly nie potrafiła zidentyfikować jego akcentu, a więc pochodził prawdopodobnie ze środkowego zachodu.

Był to jedyny dowód na to, że człowiek ten nie należał do miejscowego stada rekinów, wśród których Jackson Meyer czuł się najlepiej.

- To zależy od tego, co kto rozumie pod określeniem „pochlebny” - stwierdziła Jilly.

Zastanawiała się, jak by tu niepostrzeżenie włożyć buty. Coltrane był znacznie wyższy od niej, wołała więc mieć na nogach pantofle, które dodawały jej kilka tak potrzebnych w tej chwili centymetrów.

Zaraz, jak Dean to powiedział? Śliczny chłopak o sercu węża, pomyślała.

Coltrane rzeczywiście był bardzo ładny, choć brakowało mu kobiecej miękkości, jaką zwykle odznaczali się tacy urodziwi mężczyźni. Nie potrafiła stwierdzić, czy był gejem, czy nie, nie chciała i nie musiała tego wiedzieć. Tak czy siak nie był do wzięcia, tak jak każdy, kto miał jakikolwiek związek z jej ojcem.

A jednak miło było na niego patrzeć. Miał trochę rozczochrane, rozjaśnione słońcem włosy, garnitur od Armaniego i rozpiętą pod szyją koszulę z egipskiej bawełny, odsłaniającą opaloną szyję. Był wysoki, dobrze zbudowany i miał długie nogi. Jak biegacz. Opadające na czoło włosy ocieniały jego oczy. Jilly nie mogła dostrzec ani ich koloru, ani wyrazu, jednak nawet przez chwilę nie wątpiła, że są niebieskie i patrzą zachłannie.

Schyliła się po buty. Już się nie przejmowała, że Coltrane to zauważy. Nie obchodziło jej też, że jedwabna bluzka rozchyliła się,

ukazując może trochę więcej, niż wypadalo. To nie był człowiek, na którym tego rodzaju widok mógł zrobić jakiegokolwiek wrażenie. Jeśli w ogóle można taką gnidę nazwać człowiekiem.

- Dziękuję, że w końcu raczyłeś się mną zająć - powiedziała - ale chciałam się zobaczyć z ojcem, a nie z jednym z jego pacholków.

- Już dawno nikt nie nazywał mnie pacholkiem - powiedział Coltrane z wolna.

Jilly się wyprostowała. Nadal była nieco niższa od niego, ale przynajmniej nie tyle, ile przed chwilą, kiedy stała boso.

- Gdzie on jest? - spytała.

- Niestety, wyjechał.

- Wobec tego muszę pojechać do niego do Bel Air.

- Wyjechał z kraju. Razem z Melbą wybrali się na krótki wypoczynek do Meksyku. Przykro mi, ale nie mam z nim w tej chwili żadnego kontaktu.

- Właśnie widzę, że jesteś zdruzgotany - mruknęła, nie zważając na to, że zachowuje się niegrzecznie.

Jemu najwyraźniej też to nie przeszkadzało. Miał fantastyczny, strasznie irytujący uśmiech.

- Zrozum, jestem tu po to, żeby ci pomóc. Jeśli masz jakiś problem prawny, z największą przyjemnością pomogę ci go rozwiązać. Mandat za złe parkowanie? A może jakieś problemy z byłym mężem? Departament prawny zajmie się...

- Czy departament prawny mógłby się pozbyć tego intruza, który ukradł pracę mojemu bratu?

Coltrane szeroko otworzył oczy. Wcale nie były niebieskie, tylko intensywnie zielone. Czyżby nosił barwione szkła kontaktowe? Jego spojrzenie wcale nie było też zachłanne. Patrzył na nią chłodno, taksująco.

- Tak ci to brat przedstawił? Powiedział, że ukradłem mu pracę?

- Coltrane wydawał się ubawiony tym określeniem, co wyprowadziło Jilly z równowagi.

- Nie tylko pracę, ale i ojca - powiedziała jednak to-nem tak samo spokojnym jak głos tego człowieka.

- Ojca? - Tym razem jednak trochę, się zdziwił. - Jackson Meyer nie jest sentymentalnym facetem. Obawiam się, że nie zależy mu w ogóle ani na twoim bracie, ani tym bardziej na mnie. On tylko chce, żeby praca była właściwie wykonana. Dlatego wybrał mnie.

- Rozumiem - powiedziała Jilly z udanym spoko-jem. - Ty po prostu jesteś lepszym pracownikiem niż mój brat. Co takiego robisz, czego Dean by nie potrafił?

- Morduję z zimną krwią, ukrywam ciała iw ogóle wszystko, co szef mi każe - odparł obojętnie, jakby mówił o przekładaniu papierów z jednej strony biurka na drugą. - Dokąd się wybierasz na kolację?

- Wcale nie trudno mi w to uwierzyć - mruknęła Jilly. Dopiero po chwili dotarło do niej, że o coś pytał. - Co mówiłeś?

- Pytałem, dokąd idziesz na kolację. Minęła siódma, jestem głodny jak wilk, a ty pewnie chcesz mi zrobić awanturę, że zrujnowałem. życie twojemu małemu braciszкови. Zapraszam cię

więc na kolację. Będziesz mogła rozedrzeć mnie na kawałki w komfortowych warunkach.

Jilly na chwilę oniemiała. Ten człowiek był po prostu bezczelny!

- Nie mam zamiaru nigdzie z tobą chodzić - odparła wzburzona..- Zwłaszcza na kolację.

- Wobec tego może zamówimy sobie coś do jedzenia. Twój ojciec ma umowę z firmą cateringową. Są do dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Dean nie jest moim małym braciszkiem - zaprotestowała Jilly ponieważ. - Jest tylko o dwa lata młodszy ode mnie.

- Nie wierzę - powiedział Coltrane. - Jest twoim małym braciszkiem i kropka.

Usłyszała w jego głosie kpinę z domieszką podziwu, ale to ją tylko rozdrażniło. Tym bardziej, że poniosła klęskę, chociaż nawet nie rozpoczęła walki. Po prostu ojciec był nieosiągalny. Jak zwykle.

- Porozmawiam z Jacksonem po jego powrocie - powiedziała chłodno, biorąc ze stolika swoją torebkę. -Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co, chociaż będziesz jej jeszcze potrzebowała. Beze mnie nie uda ci się stąd wyjść.

- Co to ma znaczyć?

- Budynek jest wyposażony w najnowocześniejszy system zabezpieczeń. Po siódmej wieczorem nikt nie może tu wejść, jeśli nie zna właściwego kodu. Wyjść też nie można. Jest kwadrans po siódmej, a ty zapewne kodu nie znasz. Mam rację?

- Tak.

- Gdzie zostawiłaś samochód? Pewnie w garażu w podziemiach budynku? Na pewno - odpowiedział sam sobie. - W tej okolicy nie ma innego miejsca, w którym można by zostawić auto. Jeśli nie znasz kodu dostępu do garażu, to tam też się nie dostaniesz, więc jeśli chcesz dziś wrócić do domu, będziesz potrzebowała mojej pomocy,

Jilly mogłaby uznać, że los się na nią wziął. Oczywiście, gdyby wierzyła, że los się nią aż tak bardzo interesuje.

Przyglądała się Coltrane'owi zmrużonymi oczami i zastanawiała się, czy ma jakieś inne wyjście. Mogłaby zadzwonić do Deana, ale on rzadko odbierał telefony. No i z pewnością był zbyt pijany, żeby w ogóle podejść do aparatu, a już na pewno nie mógłby po nią przyjechać.

Na Rachel-Ann też nie mogła liczyć, bo nie miała pojęcia, gdzie jej szukać, a pracowników Meyer Enterprises nie znała. Z wyjątkiem tej strasznej harpii, pani

Afton, przy której Coltrane wydawał się aniołem. Chyba rzeczywiście tylko on mógł ją stąd wyprowadzić.

- Chcę stąd wyjść - powiedziała spokojnie. - Natychmiast.

- I chcesz, żebym ci pomógł?

- Tak - odparła z nadzieją, że w piekle mają specjalne miejsce dla takich facetów jak ten tutaj.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Wyłączył światło. W pokoju zrobiło się ciemno i chcąc jak najszybciej dostać się do wyjścia, Jilly omal na niego nie wpadła. Jakiś wewnętrzny radar, którego istnienia nie była dotąd świadoma,

pozwoił jej się zatrzymać w ostatniej chwili, ale i tak znalazła się bardzo blisko Coltrane'a. Tak blisko, że otarła się o jego marynarkę i przez moment poczuła ciepło jego ciała.

Na szczęście już dawno nauczyła się nie okazywać zakłopotania, więc i tym razem go nie okazała. Po prostu zatrzymała się, a potem podążyła za swoim przewodnikiem, zachowując bezpieczną odległość.

Jacksonowi można zaufać, myślała ponuro. Jeśli tylko będzie mógł sprawić mi przykrość, na pewno nie omieszka tego zrobić. Nie tylko mnie zignorował, ale jeszcze przysłał mojego najgorszego wroga. I kazał mu się mną zająć! Totalnie mnie zlekceważył. Nie pierwszy raz zresztą. Dobrze, że zdażyłam się do tego przyzwyczać.

W biurze było całkiem pusto. Zdumiewające. Jackson Meyer wymagał od swoich ludzi, żeby pracowali długo i ciężko. Zazwyczaj zresztą on także przesiadywał w pracy do późna. A jednak tym razem w całym budynku nie było żywego ducha. Przynajmniej tak się Jilly zdawało, kiedy szła za Coltrane'em pomiędzy opustoszałymi biurkami, przez puste gabinety i korytarze.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób jej ojciec zarabiał pieniądze i co właściwie robili ci wszyscy ludzie, którzy pracowali przy tych biurkach.

Firma Meyer Enterprises należała do dziadka Jilly. Założył ją w latach czterdziestych dwudziestego wieku i wtedy zajmowała się handlem nieruchomościami. Dziadek skupował olbrzymie połacie ziemi, opuszczone fabryki i zrujnowane domy. Dom, w którym Jilly

mieszkała wraz z rodzeństwem, był jego ostatnim nabytkiem. Dziadek kupił go tuż przed śmiercią, w latach sześćdziesiątych. Była to jedyna posiadłość, której nie zrównano z ziemią, aby zbudować na jej terenie centrum handlowe, jedno z wielu, jakie zasilają i tak już wypełniony po brzegi skarbiec Meyer Enterprises.

Dom ten był również jedną z ostatnich rzeczy, które na razie leżały poza zasięgiem zachłanności ojca Jilly. Stało się tak tylko dzięki temu, że Jackson Dean Meyer pokłócił się o coś ze swoją matką.

Julia Meyer nie miała możliwości zapisać La Casa de Sombras trójce swoich wnucząt, ale znalazła sposób, żeby Jackson nie mógł się do posiadłości dostać. Postanowiła, że dom będzie należał do Jilly, Deana i Rachel-Ann tak długo, dopóki którekolwiek z nich będzie chciało w nim mieszkać. Kiedy opuści go ostatnie z trójki rodzeństwa, stanie się on własnością Jacksona, który z pewnością bez wahania zetrze go wówczas z powierzchni ziemi.

Od lat próbował się ich stamtąd pozbyć. Groźby, przekupstwa i napady złości sprawiały, że Dean i Rachel-Ann zaczęli mieć wątpliwości. Jednak Jilly nie ustępowała. Nie zgadzała się opuścić willi, nie dała się ani przekupić, ani zastraszyć.

Coltrane wystukał numer na umieszczonej przy drzwiach tablicy. Zrobił to tak szybko, że Jilly nie zdążyła zapamiętać kolejności cyfr. Otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. Przeszła obok niego, znów stanowczo za blisko. Właśnie dlatego obdarzyła go lodowatym uśmiechem.

- Dziękuję za pomoc, ale teraz już sama sobie poradzę.

- Winda nie przyjedzie, jeśli nie wybierze się odpowiedniego kodu - powiedział Coltrane. - Jesteśmy na trzydziestym pierwszym piętrze. W zasadzie mogłabyś zejść schodami, ale to długa wędrówka. A kiedy wreszcie znajdziesz się na dole, okaże, się, że drzwi są zamknięte i będziesz musiała z powrotem wspinać się na górę. Poza tym jest jeszcze sprawa garażu.

- Mam telefon komórkowy. Mogę zadzwonić po taksówkę.

- Wcześniej czy później i tak będziesz musiała wrócić po samochód. Chyba że kupisz sobie nowy. Twój tatuś ma tyle pieniędzy, że naprawdę nie musisz się kępować.

Zdumiał ją ten nagły sarkazm. Przyjrzała się Coltrane'owi uważniej.

- Czyżbyś nie wiedział, że utrzymuję się sama? Nie korzystam z pieniędzy tatusia, jak to ładnie ująłeś. Chyba jednak nie jesteś aż tak dobrze poinformowany, jak się Deanowi zdawało.

- Decyzja należy do ciebie. - Coltrane tylko się uśmiechnął. - Chcesz przez całą noc wędrować po schodach czy wolisz skorzystać z mojej pomocy?

Jilly wolałaby spędzić noc na klatce schodowej niż kilka minut w eleganckiej windzie sam na sam z tym przystojnym draniem, ale nie zamierzała się do tego przyznać.

- Sprowadź windę - powiedziała zrezygnowana. Wyobraźnia podsunęła jej obraz drogi, prowadzącej wprost na gilotynę,

Coltrane wystukał na kolejnej tablicy numer, drzwi otworzyły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jilly nawet się nie zdziwiła, że winda stoi akurat na tym piętrze. Widocznie ten człowiek, to uosobienie podłości w pięknym ludzkim ciele, z góry sobie wszystko zaplanował.

Jilly nie lubiła dużych wysokości, źle się czuła w ciasnych pomieszczeniach i nie cierpiała mężczyzn w rodzaju Coltrane'a - wysokich, nieziemsko przystojnych, pewnych siebie facetów, którzy doskonale wiedzieli, jak onieśmielić kobietę. A ten padalec umiał to robić jak nikt na świecie.

Naprawdę nie miała ochoty wchodzić do windy w jego towarzystwie. Niestety, nie miała wyboru.

Weszła do małej, ciasnej klatki. Miała wrażenie, że słyszy okrzyki rozentuzjasmowanego, żądnego krwi tłumu, który nie może się już doczekać, kiedy wreszcie jej głowa wpadnie do kosza.

Coltrane wszedł za nią. Drzwi windy zamknęły się z cichym szmerem..

ROZDZIAŁ DRUGI

Jilly Meyer bała się go śmiertelnie. Dla Coltrane'a było to fascynujące odkrycie. Żałował, że nie potrafi zwolnić biegu pospiesznej windy, a tym bardziej po prostu jej zatrzymać, zrobić czegokolwiek, co pozwoliłoby mu przebywać z tą kobietą odrobinę dłużej.

Przyjrzał się jej dokładnie, kiedy spała. Zupełnie inaczej ją sobie wyobrażał. Sądził, że wszystkie dzieci Meyera są podobne do Deana. Skąd miał wiedzieć, że tak nie jest? Deana po prostu znał, o Rachel-Ann wiele się nasłuchał, zwłaszcza o jej niezwykłym apetycie na seks i narkotyki... Myślał, że Jilly Meyer ulepiono z tej samej gliny, że, podobnie jak jej brat i siostra, pragnie tylko przyjemności i że tak jak oni dąży do samozniszczenia. Ale Jilly z pewnością nie była podobna ani do Deana, ani do Rachel-Ann.

Po pierwsze, miała ciemne włosy, co było rzadkością w pełnej blondynek i blondynów Kalifornii. Były długie, grube, całkowicie niemodne. Miała też nieprawdopodobnie długie nogi. Nie była delikatnym, kruchym stworzeniem, lecz agresywną i podniecającą kobietą, która teraz starała się ukryć przed nim w najdalszym kącie niedużej windy,

Coltrane był ciekaw, czego tak naprawdę się bała -jego czy może tylko wysokości.

Wątpił, by była na tyle rozumna, żeby bać się właśnie jego. Starał się zrobić na niej jak najlepsze wrażenie, chciał, żeby widziała

w nim dobrze ułożonego beztroskiego Kalifornijczyka. Nikt na świecie nie przypuszczał nawet, jak bardzo niebezpieczny potrafił być naprawdę.

Z wyjątkiem Jilly Meyer, która sprawiała wrażenie osoby pragnącej wcisnąć się pod podłogę, choćby miała to być podłoga windy.

Lniany kostium był wygnieciony, włosy potargane. Jilly była rozszpana, przestraszona i wrogo usposobiona. Coltrane tak bardzo nie potrafił się oprzeć tej kombinacji, że pozwolił sobie nawet na niezwykle realistyczne marzenia. Wyobraził sobie, jak jednym dotykem guzika zatrzymuje windę, przyciska Jilly do ściany i podciąga do góry jej króciutką spódniczkę. Wyobraził sobie, jak ona obejmuje go tymi swoimi nieskończenie długimi nogami, jak się kochają i jak ona przestaje wreszcie patrzeć na niego tak, jakby był skorpionem, który jakimś cudem prosto z pustyni przywędrował do miasta.

Na poziomie zerowym winda stanęła, drzwi otworzyły się z cichym westchnieniem, a marzenia Coltrane'a zniknęły, niespełnione. Przeszli kilka kroków, Coltrane wystukał kod otwierający dostęp do garażu, odezwał się brzęczyk i kolejne drzwi rozsunęły się bezszelestnie.

Jilly weszła do garażu, przechodząc tuż obok Coltrane'a. Odniósł wrażenie, że miała ochotę biec, byle szybciej, byle dalej od niego. Pomyślał, że zatrzymanie jej w biegu sprawiłoby mu ogromną przyjemność.

Była jednak zbyt dobrze wychowana, żeby przed nim uciekać. A może za mądra? Wyciągnęła swoją mocną, szczupłą dłoń. Zauważył, że miała tylko jeden srebrny pierścionek, prosty i bardzo elegancki. Nareszcie mógł jej dotknąć.

Uścisnął jej rękę delikatnie, ale na tyle mocno, by nie mogła go nadal ignorować. Spojrzała zza zasłony gęstych rzęs.

- Dokąd idziemy na kolację? - spytał, uwalniając jej dłoń.
- Nie wiem, dokąd ty się wybierasz, ale ja wracam do domu.
- Umiesz gotować?
- Nie dla ciebie.

Prowokował ją i denerwował. Nadal niezbyt dobrze wiedział, po co to robi. Może dlatego, że nie było to trudne? W każdym razie na pewno łatwiej było ją zdenerwować, niż uwieść.

A może nie? Zamierzał to sprawdzić.

W prawie pustym o tej porze garażu stało zaledwie kilka samochodów. Coltrane zastanawiał się, czy Jilly jest właścicielką czerwonego bmw z otwieranym dachem, czy może mercedesa. A potem dostrzegł klasyczną corvette rocznik 1966. Nawet z daleka było widać, że jest doskonale utrzymana, prawdziwe dzieło sztuki, niemal antyk, oczywiście, jak na warunki Los Angeles.

Bez namysłu skierował się w stronę corvetty.

- Piękne auto - powiedział.
- Dlaczego uważasz, że to mój samochód? - Jilly spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Pasuje do ciebie. Pozwolisz mi poprowadzić? Równie dobrze mógłby jej zaproponować realizację tego, co tak plastycznie wyobrażał sobie w windzie.

- Nie ma mowy!

- Nie zrobię jej krzywdy - obiecał. - Jeździłem już samochodami z mechaniczną skrzynią biegów, wiem, jak się obchodzić z takim cackiem.

- Jeśli obchodzisz się z samochodem tak ostrożnie jak ze mną, to zatrzesz silnik, zanim zdążysz wrzucić pierwszy bieg. - Popatrzyła na niego wymownie. - Nie dotkniesz ani mnie, ani mojego samochodu. Jasne?

- Jak słońce - odparł.

Tydzień, pomyślał. Najpóźniej za tydzień będę ją miał. Corvette za dwa tygodnie.

- Nie zechciałabyś podrzucić mnie do domu? - Coltrane nigdy nie poddawał się bez walki. W ogóle nigdy się nie poddawał.

- A gdzie twój samochód?

- W sklepie. Miałem wziąć jedno z aut firmy, ale zapomniałem zabrać z biura kluczyków.

- W każdej chwili możesz po nie wrócić. Pokręcił głową.

- Drzwi mają zamek zegarowy. Kiedy ostatnia osoba opuści budynek, aż do rana nikt nie może tam wejść.

- Co mój ojciec trzyma w tym przeklętym biurówcu? - zirytowała się Jilly. - Złoto Fortu Knox?

- Twój ojciec prowadzi bardzo skomplikowane i ważne interesy, Jilly - tłumaczył jak dziecku. - Nie byłoby dobrze, gdyby każdy, komu przyjdzie na to ochota, mógł tam po prostu wejść i obejrzeć sobie wszystkie papiery.

- Każdy, komu przyjdzie na to ochota, czyli, na przykład, jego własna córka? - zakpiła sobie, lecz Coltrane udał, że nie usłyszał.

- Mieszkam w pobliżu Brentwood - powiedział. -To prawie po drodze.

- Skąd możesz wiedzieć, dokąd jadę?

- Powiedziałaś, że jedziesz do domu. Mieszkasz w tym mauzoleum przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. Razem z bratem i siostrą. Do mnie będzie po drodze.

- Weź taksówkę.

- Mój telefon komórkowy się rozładował.

- Pożyczę ci swój. - Sięgnęła do małej torebki, wyciągnęła telefon, podała Coltrane'owi. Była zdecydowana pozbyć się intruza.

- Onieśmielał cię - stwierdził. Nawet nie wyciągnął ręki po telefon. - Dlaczego?

- Nic podobnego - zaprzeczyła. - Po prostu śpieszę się na randkę.

Dwa kłamstwa naraz, pomyślał. Ale ona nie umie kłamać. W tej rodzinie to niespotykana cecha. Dean Meyer już dawno przestał odróżniać kłamstwo od prawdy, a jego ojciec sterował ludźmi za pomocą kłamstwa tak samo naturalnie jak kierowca używa kierownicy. Tylko Jilly Meyer nie potrafiła kłamać. Dziwne i głupie,

ale podbiła tym serce Coltrane'a, choć nie zdołała zmienić jego planów.

- Skoro masz randkę, to pewnie przedtem pojedziesz do domu, żeby się przebrać. Ja mieszkam po drodze -mówił tak spokojnie, jakby wcale nie zależało mu na tej przejażdżce.

- Wsiadaj! - Wsunęła niepotrzebny telefon z powrotem do torebki, obeszła samochód i usiadła za kierownicą.

Coltrane był ciekaw, czy Jilly stchórzy i odjedzie bez niego. Mogłaby nie odblokować drzwi od strony pasażera i po prostu nie wpuścić go do środka. Wiedział, że daleko by nie ujechała, bramę garażu także otwierał elektroniczny kod.

Ale Jilly pozwoliła mu usiąść obok siebie. Corvette była świetnie utrzymana, po prostu piękna. Coltrane zakochał się w tym aucie od pierwszego wejrzenia.

Za gigantyczną pensję, jaką mu wypłacał Jackson Meyer, mógł sobie kupić wszystko, co dusza zapragnie, a w Los Angeles było to możliwe. Tyle że Coltrane zapragnął mieć właśnie corvette, i to dokładnie tę, która należała do Jilly Meyer, a nie jakąś tam corvette z 1966 roku, choćby nie wiem jak dobrze utrzymaną.

Jilly zapięła pas i spojrzała na niego wymownie, ale Coltrane nie zamierzał zapinać swego.

- Lubię niebezpieczeństwo - powiedział tytułem wyjaśnienia.

Króciutka spódniczka Jilly podciągnęła się jeszcze wyżej, ale Coltrane nie zwracał już na to uwagi. Przekazał] sygnał i teraz nie

tylko mógł, ale wręcz powinien się wycofać. Przynajmniej na jakiś czas. Ta taktyka nie zawiodła go jeszcze nigdy.

Minęli stojącego na swoim miejscu nowiutkiego range-rovera, ale Coltrane nawet na niego nie spojrział. Wiedział, że Jilly wkrótce zobaczy to auto, ale był pewien że nie skojarzy z tym, które mignęło jej w garażu Meyer Enterprises tego wieczoru, kiedy się poznali. Wykluczone, pomyślał. Za bardzo ją wkurzyłem, żeby przyglądała się samochodom w garażu.

Prowadziła jak szatan. Tego także się po niej nie spodziewał. Ledwie otworzyła się brama, Jilly wypadła na ulicę niczym Mario Andretti, jakby nie zależało jej na życiu i zdrowiu.

Coltrane miał obojętną minę, ale jego dłoń odruchowe zacisnęła się na skórzanym siedzeniu.

Musiał przyznać, że Jilly wiedziała, jak się prowadzi takie auto. Przeskakiwała z jednego pasa ruchu na drugi, zawsze znajdując najszybsze przejścia, ostro brała zakręty, przyspieszała, kiedy najmniej się tego spodziewał. A przy tym jakoś udawało jej się unikać zderzenia z innymi samochodami, wpadania na pieszych, a nawet spotkań z policją. Kilkakrotnie z największym trudem pohamował się, by nie chwycić za kierownicę, protestując przeciwko takim wyczynom. Jeśli postanowiła przestraszyć go tą jazdą, to cel został osiągnięty.

Jilly doskonale panowała nad samochodem. Wychowała się w Los Angeles, tutaj uczyła się jeździć... Teraz miała możliwość odegrać się na Coltrane za to, że wprowadził ją w zakłopotanie.

Podczas szaleńczej jazdy przez miasto ani razu nawet na niego nie spojrzała. Była spokojna i skoncentrowana, a Coltrane coraz mocniej zaciskał palce na fotelu. Milczał i szczerze żałował, że jednak nie zapiął pasa.

Zatrzymała się przed jego domem z piskiem opon, niemal w jednej chwili redukując prędkość z setki do zera, tak że Coltrane musiał się oprzeć o deskę rozdzielczą. Oczywiście, jeśli nie chciał wylecieć przez przednią szybę. Dopiero wtedy Jilly spojrzała na niego. Uśmiechnęła się słodko i niewinnie, ale w jej oczach lśnił tryumf.

Jesteś w domu.

- Jeśli chciałaś mnie w ten sposób przestraszyć, to popełniłaś błąd. - Coltrane'owi udało się zachować obojętną minę. - Lubię niebezpieczeństwo.

- Przywiozłam cię do domu - powiedziała Jilly z naciskiem. - Żegnam.

- A co z twoim bratem?

- Jak to co? - spytała nieco zaniepokojona.

- Nie jesteś ciekawa, co ojciec dla niego wymyślił? Zdawało mi się, że właśnie po to chciałaś się z nim spotkać.

- A co ojciec dla niego wymyślił?

- Powiem ci jutro wieczorem. Zjemy kolację. Przyjadę po ciebie o siódmej.

- Jestem zajęta.

- Odwołaj. Sama wiesz najlepiej, że brat jest dla ciebie najważniejszy. Masz to wypisane na twarzy.

Stanowczo za daleko się posunął, ale przypuszczał, że Jilly zaakceptuje to. Chciał, żeby była na niego zła, żeby się nim zainteresowała i żeby stanęła do walki.

- Dobrze. Spotkajmy się gdzieś w mieście.

- Nie ma mowy - pokręcił głową. - Przyjadę po ciebie. Nie przepuszczę okazji zobaczenia na własne oczy legendarnego La Casa de Sombras.

- Jeśli interesują cię sławne domy Hollywood, możesz się wybrać na wycieczkę. Organizują ich mnóstwo. La Casa de Sombras jest we wszystkich programach.

- Tylko w tych, które pokazują miejsca największych skandali. Wolałbym obejrzeć ten dom w towarzystwie właścicielki. - Uśmiechnął się fałszywie. - Mam nadzieję, że zechcesz mi służyć za przewodnika.

- Dom należy także do Deana. Traktuj go dobrze, to może cię kiedyś oprowadzi.

- Nie jestem w jego typie.

- W moim też nie.

- A jaki jest twój typ? Taki jak Alan Dunbar? Prawdę mówiąc, nie rozumiem, jak mogłaś poślubić tego faceta.

Zaskoczył ją. Nie pomyślała, że miał przecież dostęp do wszystkich dokumentów rodziny, a więc także do jej dokumentów rozwodowych.

- Jak na jeden wieczór mam cię stanowczo dosyć - powiedziała podejrzanie spokojnie.

- W porządku - zgodził się natychmiast. Otworzył drzwi i wystawił na chodnik swoje długie nogi. - Będę jutro punktualnie o siódmej.

Natychmiast włączyła silnik i ruszyła z takim impetem, że drzwiczki samochodu zatrzasnęły się same, po czym zniknęła w ulicznym ruchu.

Coltrane stał pod wysmukłą palmą i patrzył w ślad za samochodem. Nie był pewien, czy bardziej pragnie Jilly, czy jej corvetty. I którą z nich chciałby mieć na zawsze.

Wzruszył ramionami. Tak naprawdę nie chciał ani jednej, ani drugiej. Niemal rok czekał na to, by sprawy przybrały wreszcie właściwy obrót. Teraz, kiedy wszystko szło po jego myśli, był gotów do działania. Złamanie oporu tej upartej Jilly Meyer* pokonanie muru obronnego, którym się otoczyła, mogłoby co najwyżej zwieńczyć dzieło.

Zamierzał zacząć od Rachel-Ann. Chciał ją uwieść, a potem doprowadzić do upadku resztę rodziny Meyera. Rachel-Ann była najdelikatniejsza z nich wszystkich, jednak Coltrane nie miał dotąd okazji poznać jej osobiście. Najpierw wybrała się w podróż poślubną z trzecim z kolei małżonkiem, potem się z nim rozwiodła, a w końcu przepadła bez śladu na jakiejś dobrze strzeżonej odwykówni.

Rachel-Ann miała trzydzieści trzy lata, lecz wciąż była piękna. Przynajmniej tak mówili ludzie. Mówili też rzeczy, z których wynikało, że będzie dla niego łatwym łupem.

Coltrane lubił wprawdzie trudne wyzwania, takie jak na przykład Jilly, ale tak czy siak najpierw musiał się do nich zbliżyć. Do całej trójki tak różnych od siebie dzieci Meyera. .

Spojrzał na elegancki ponad wszelką miarę budynek, w którym przez cały miniony rok mieszkał w otoczeniu takich samych jak on wysokiej klasy krętaczy i szubrawców bez sumienia.

Przyszło mu do głowy, że już od dawna niczego nie podpalił.

Jilly pędziła długą, zarośniętą drogą, prowadzącą do domu. Spod kół corvetty pryskał żwir.

Z impetem zatrzymała auto na jednym z siedmiu miejsc parkingowych przydomowego garażu. Ręce jej drżały, gdy wyłączała silnik, siedziała więc jeszcze przez chwilę, nie rozpinając pasa, z zamkniętymi oczami. Próbowwała pozbyć się dręczącego ją napięcia.

Była na siebie wściekła. Dokładnie zepsuła całą sprawę. Owszem, była dobrze przygotowana na awanturę z ojcem, ale zapomniała, że zanim się z nim spotka, musi pokonać panią Afton, Ta podła harpia zabiła ją z tropu, kazać czekać w nieskończoność... Jilly zasnęła i pozwoliła ojcu wymknąć się z biura. A przecież nietrudno było to przewidzieć. Była śmiertelnie zmęczona, przez całą noc prawie nie zmrużyła oka, martwiąc się o Deana i zastanawiając się, jak najlepiej załatwić całą tę sprawę. Żeby normalnie funkcjonować, Jilly potrzebowała dużo snu.

Najgorsze jednak było to, że pozwoliła temu przekłętemu facetowi wyprowadzić się z równowagi.

Był dokładnie taki, jak go Dean opisywał: gładki, przystojny i tak pewny siebie, że Jilly miała ochotę dać mu w łeb.

Jednej tylko rzeczy jej brat nie powiedział. Otóż Coltrane był także dokładnie w typie Deana. Jilly nie mogła odżalować, że nie jest gejem, bo wtedy wszystko byłoby prostsze. Na pewno nie patrzyłby na nią tak, jakby miał przed sobą Julię Roberts. Wdałby się w romans z Deanem, a Jilly miałyby święty spokój.

Oparła głowę o obciążoną skórą kierownicę swego ukochanego auta. Była bardzo zmęczona nieustannym troszczeniem się o rodzeństwo i o ten dom, który z każdym dniem popadał w coraz większą ruinę, dom, który kochała do szaleństwa.

Zrobiło się późno. Wokół legendarnego La Casa de Sombras było cicho jak makiem zasiał. Nawet duchy, o których tyle mówiono, zachowywały się spokojnie. Dean albo gdzieś pojechał, albo siedział przed komputerem. Co robiła Rachel-Ann, wiedział chyba tylko jeden Bóg.

Trzy miesiące temu wróciła z odwyku. Nigdy nie wytrzymała dłużej. Po trzech miesiącach zawsze zaczynała stopniowo wracać do nałogu. Teraz też codziennie gdzieś wychodziła, wracała późno, trzeźwa i milcząca.

Jeśli przypadkiem była teraz w domu, mogła potrzebować kogoś, na kim można by się wyładować, a siostra nadawała się do tego doskonale.

Jilly westchnęła i wysiadła z samochodu. Znow była sobą. Wiedziała, że ze wszystkim sobie poradzi. Dzięki Bogu, nałogi, niezdrowe potrzeby i gwałtowne emocje jej nie dotyczyły. Była silna, potrafiła wyjść z każdej katastrofy i wesprzeć brata lub siostrę, kiedy tylko któreś z nich tego potrzebowało.

Zamknęła ciężkie, drewniane drzwi garażu. Właściwie nie wiadomo, po co zadawała sobie tyle trudu, skoro zamki były zardzewiałe, a klucze do nich dawno poginęły. Gdyby nie to, że dom pochłaniał niewiarygodne sumy pieniędzy, już dawno zainstalowałyby automatyczną bramę garażową. Przekraczało to jednak jej możliwości finansowe, zwłaszcza że wówczas należałoby także wymienić kompletnie spróchniałe futryny. A poza tym byłby to wydatek pozbawiony sensu.

Dean miał dwa samochody, ale obydwa w nienajlepszym stanie, Rachel-Ann jeździła bmw. Był jeszcze skorodowany wrak dusenberga, niegdyś własność kochanka Brendy de Lorillard. Tylko corvetta Jilly przedstawiała prawdziwą wartość, a dla jednego samochodu taki wydatek...

Szła powoli zwirowaną ścieżką w stronę domu, napawając się panującą wokół ciszą. Pomyślała, że ten ciągły, coraz bardziej dokuczliwy brak pieniędzy ma także; swoje dobre strony. Ogród rozrósł się tak bardzo, że niebotyczne palmy stały się naturalnym ekranem, pochłaniającym odgłosy miasta. Dzięki nim dom był oazą spokoju i bezpieczeństwa, prawdziwym azylem.

Przynajmniej dopóty, dopóki Rachel-Ann nie zacznie znowu pić i sypiać z byle kim, pomyślała Jilly.

Szerokimi schodami weszła na wielki, wyłożony marmurowymi płytami taras. Odetchnęła z ulgą, widząc, że światła palą się tylko w niektórych pokojach. A więc będzie miała spokój. Przynajmniej przez kilka godzin. Właściwie niczego więcej nie potrzebowała -trochę czasu, żeby przeanalizować to wszystko, co się stało, i wymyślić nowy plan. Musiała jakoś pomóc Deanowi. -

Poczuła się bardzo głodna, więc wprost z tarasu weszła do ogromnej, staromodnej kuchni. Usiadła przy długim, trzymetrowym stole i srebrną łyżeczką od Tiffany'ego zjadła dwa pojemniczki jogurtu, zagryzając kanapką z masłem orzechowym, ułożoną na talerzyku z saskiej porcelany.

Pomyślała, że koniecznie musi wybrać się na zakupy. Lodówka świeciła pustką.

Kiedy Rachel-Ann nie brała i była trzeźwa, bez opamiętania opychała się słodyczami, natomiast Dean zawsze był na jakiejś dziwacznej diecie. Bez najmniejszych oporów wyjadali zapasy z lodówki i przepastnego kredensu, oczywiście tylko takie, które wydawały im się wyjątkowo smakowite.

Jilly wstawiła talerzyk do starego, stalowego zlewu i skierowała się do najdalszego skrzydła domu, gdzie znajdowały się apartamenty jej brata.

Zapukała, ale wewnątrz panowała cisza. Otworzyła drzwi.

Dean leżał na łóżku z twarzą wtuloną w poduszkę. Mrok pokoju rozjaśniała jedynie poświata z monitorów. Zawsze miał włączone co najmniej dwa komputery naraz.

Zajmowana przez niego część domu zupełnie nie pasowała do reszty. Dean zamieszkał w skrzydle dla służby, ponieważ było tu stosunkowo mało ozdób i dekoracji. Kazał wyburzyć ściany, pomalować wszystko na biało i wypolerować na wysoki połysk, a potem wstawił nowoczesne meble i kilka komputerów.

Jilly cicho podeszła do brata i przyglądała mu się przez chwilę z matczyną czułością. Klimatyzację włączono na cały regulator i w pokoju było zimno, lecz Jilly nie zmieniła temperatury, nie była też na tyle nierozsądna, by dotykać komputerów. Przykryła Deana pledem, marząc o tym, żeby wszystko było jakoś inaczej, choć sama dokładnie nie wiedziała, co najbardziej chciałaby zmienić ani w jakim kierunku powinny te zmiany pójść.

Zostawiła śpiącego brata w jego sterylnym, mroźnym kokonie i wróciła do przytulnego ciepła La Casa de Sombras. Domu Cieni.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zachariasz Redemption Coltrane był dzieckiem lat sześćdziesiątych; urodził się w samym środku tej burzliwej dekady. Aż do trzynastych urodzin imię, jakie nosił, było dla niego przekleństwem, choć - prawdę mówiąc - był to jeden z lżejszych krzyży, które przyszło mu dźwigać. Kiedy skończył trzynaście i pół roku, miał prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i właśnie pochował ojca, ostatniego członka swojej rodziny. Wyruszył więc w świat, o którym wiedział już, że jest okrutny i wrogi. Na początek zmienił imię: został Zackiem. Oczywiście tylko na te okazje, kiedy w ogóle uznawał za stosowne użyć swojego prawdziwego imienia.

Dzieje większości rodzin są proste i jasne, ale istnieją też takie, które zamiast historii mają zbiór legend i niewiarygodnych opowieści.

Coltrane nigdy nie wiedział, co było prawdą, a co zmyśleniem w gorzkich opowiadaniach ciotecznej babki Esther czy w nasączonych whisky wspomnieniach ojca. Nie wiedział, jak zmarła jego matka ani nawet jak się naprawdę nazywała. Znał ją jako Anandę i właściwie jej nie pamiętał. W związanych z nią wspomnieniach istniało jedynie światło, śmiech i unoszący się w powietrzu słodko-cierpki zapach marihuany. Wyobrażał sobie czasami, że mieszkają w zamku, pełnym smoków i innych niebezpieczeństw, a jego mama jest zaginioną księżniczką.

To było przedtem, zanim ją zamordowano.

Nie wiedział, skąd te wyobrażenia się wzięły. Przez całe życie mieszkał w małym, posepnym domu w Indianie razem z wiecznie pijanym ojcem i cioteczną babką, której język był ostrzejszy od brzytwy. Nie istniało żadne czarodziejskie miejsce ani roześmiana królewna, która byłaby jego mamą. I nikt nigdy o czymś takim mu nie opowiadał.

Najpierw umarła cioteczna babka Esther. Złośliwy nowotwór zjadł ją do kości, aż dziw, że było jeszcze co pochować. Wkrótce po niej zginął ojciec. Skręcił kark, spadając w pijanym widzie do jakiegoś dołu. Zanim zdołała go dopaść opieka społeczna, Coltrane zwiął, wędrował po kraju, aż z trzynastolatka wyrósł na mężczyznę.

Wykształcenie zdobył właściwie jakby wbrew sobie. Był to raczej wynik szczęśliwego zbiegu okoliczności niż przemyślanego działania. Został prawnikiem. Prawnicy mieli pieniądze i wpływy, i to był właśnie taki zawód, jakiego Coltrane potrzebował,

Ale zanim go zdobył, robił różne dziwne rzeczy, z których zgodne z prawem były tylko nieliczne.

W końcu został asystentem prokuratora okręgowego w Nowym Orleanie. Oskarżał najgorsze szumowiny. Praca ta była beznadziejna i niewiele go obchodziła, podobnie zresztą jak jego własna przeszłość; pozbył się nawet niejasnych wspomnień o wiecznie roześmianej mamie.

Nie miał pojęcia, co go podkusiło, żeby wziąć do ręki tamto pismo, zwyczajny plotkarski szmatławiec w kolorowej szacie graficznej. Coltrane nigdy nie interesował się ani południową

Kalifornią, ani tym bardziej nawiedzonymi domami, a już na pewno nie obchodziły go ekscesy z życia pięknych i bogatych.

A jednak pewnego dnia sięgnął po egzemplarz „Życia Los Angeles”. Kiedy od niechcienia przerzucał stronicę, przeglądając zdjęcia miejsc, gdzie wydarzyły się największe skandale stulecia, nagle jego wzrok przyciągnęła reprodukcja starej, wyblakłej fotografii gazetowej. Patrzyła z niej twarz jego uśmiechniętej mamy.

Jednym tchem przeczytał wszystko na temat historii, którą ilustrowało stare, prawie zatarte zdjęcie jego matki.

W latach sześćdziesiątych za wtargnięcie na opuszczony teren La Casa de Sombras aresztowano zgraję hollywoodzkich hippisów.

Nikommu nie chciało się wytoczyć im sprawy, więc intruzi prędko wrócili do zrujnowanego domu, by dalej żyć w braterskiej komunie. Przy okazji przyspieszyli upadek historycznej posiadłości, doprowadzając jednocześnie do apopleksji wszystkich bogatych sąsiadów.

Jedną z aresztowanych była jego mama. Coltrane nie potrafił stwierdzić, czy na fotografii jest także ojciec, nie pamiętał, czy kiedykolwiek jego rodzic wspominał o pobycie w Los Angeles. Ale mama była tam na pewno: młoda i śliczna, taka sama jak we wspomnieniach, choć tylko na czarno-białej fotografii.

Szefem, guru, bogiem tej komuny, w której żyła roześmiana mama Coltrane'a, był pewien wypierdek z bogatej rodziny, do której należała posiadłość La Casa de Sombras.

Tak oto Coltrane trafił na ślad Jacksona Deana Meyera. Było to pierwsze napotkane nazwisko, jakie mógł połączyć z utraconą mamą. Pierwsze i jedyne, ale wreszcie było się o co zaczepić.

Bardzo wczesnie nauczył się nie zadawać pytań. Zwłaszcza dotyczących mamy. Kiedy o nią pytał, ojciec płakał i pił na umór, a cioteczna babka Esther kazała mu się zamknąć i na dokładkę dawała po pysku.

Jak na staruszkę, miała twarde, mocne dłonie. Niestety umarła, zanim dorósł i stał się dość silny, żeby jej na to nie pozwolić. Umarła, zanim zdołał znaleźć odpowiedź na swoje pytania.

Teraz wreszcie poznał nazwisko tego, kogo szukał! Znalezienie jego właściciela, dawnej czarnej owcy rodziny Meyerów, nie było trudne. Jackson Dean Meyer zszedł ze złej drogi, wrócił do Harvardu, zdobył stopień naukowy, miał trzy żony w rozsądnych odstępach czasu, trójkę dorosłych dzieci z pierwszego małżeństwa, z czego jedno adoptowane, i dwójkę młodszych z trzeciego małżeństwa.

Aktualnie był posiadaczem pakietu kontrolnego firmy deweloperskiej, obracającej miliardami dolarów. Doskonale sobie radził, no, ale przecież nie zaczynał od zera; rodzice zostawili mu w spadku ogromny majątek.

Dom, w którym kiedyś mieściła się komuna hippisów, należał teraz do trójki jego dzieci z pierwszego małżeństwa; on sam mieszkał w nowoczesnej, luksusowej posiadłości w Bel Air.

Coltrane rozumiał, że ten człowiek zna odpowiedź na wszystkie jego pytania, że wie, co się stało z jego mamą. Miał szczerzy zamiar grzecznie go o wszystko wypytać.

Ojciec często mu powtarzał, że matka, która była półkrwi Irlandką, „miała dar”. Dar jasnowidzenia, który, zdaniem ojca, był istnym przekleństwem.

Coltrane często się zastanawiał, czy przypadkiem nie odziedziczył tego daru po matce. Kiedyś spojrzął na ojca i w jednej sekundzie pojął, że on niedługo umrze. Gdyby wiedział, że stanie się to tak szybko...

Umocnił się w przekonaniu posiadania tej zdolności, kiedy udało mu się dotrzeć do gabinetu Jacksona Meyera. Nie było to łatwe, jeśli się zważy ilość środków bezpieczeństwa, chroniących starego łajdaka przed światem zewnętrznym.

Coltrane'owi wystarczyło jedno spojrzenie w jasne, spokojne oczy Meyera, żeby nabrać pewności, że to właśnie ten człowiek zamordował jego mamę.

Oczywiście Meyer nie miał pojęcia, kim jest Coltrane, i nie obchodziło go to. Nie wiedział także, że Coltrane ma jeszcze jeden dar - potrafi dawać ludziom to, czego akurat potrzebują, i umie zdobywać ich zaufanie.

Bez trudu dostał się do Meyer Enterprises, stosunkowo szybko zdobył zaufanie szefa, a razem z nim pozycję, która dawała prawie nieograniczoną władzę.

Stary był zwykłym draniem bez skrupułów, więc Coltrane zaoferował mu jedyną rzecz, jakiej mu brakowało: pokrewną duszę.

Podczas długich lat poniewierki Coltrane nauczył się wielu rzeczy, w tym także cierpliwości. Przez cały rok ciężko pracował, stopniowo utwierdzając Meyera w przekonaniu, że jest takim samym pozbawionym sumienia draniem jak on sam. I w końcu dostał to, o co mu chodziło: pełną kontrolę nad departamentem prawnym Meyer Enterprises.

Zack Coltrane, uzbrojony w fałszywy dyplom jednego z najlepszych uniwersytetów, bo ten, który zdobył faktycznie, byłby daleko niewystarczający, czarujący uśmiech i kalifornijską ogładę, trwał w gotowości bojowej, czekając na dogodny moment, by zniszczyć Jacksona Deana Meyera.

Ale doprowadzenie Meyera do bankructwa nie było wszystkim, co chciał osiągnąć. Coltrane pragnął prawdziwej zemsty.

Nigdy nikogo nie zabił, chociaż kilka razy był o krok od takiego czynu, przypuszczał jednak, że z Jacksonem Meyerem poszłoby mu łatwo.

Ale śmierć zamyka wszystkie ziemskie sprawy i pozbawienie życia byłoby zbyt łaski dla tej obrzydliwej kreatury, chociaż z pewnością stanowiło najprostsze rozwiązanie. Coltrane pragnął jednak, żeby człowiek, który zamordował jego matkę, cierpiał niekończące się katusze. Na tym świecie.

Ale najpierw musi otrzymać odpowiedź na wszystkie swoje pytania, potem znaleźć dowód, zdobyć go... I dopiero wtedy Jackson

Meyer dowie się, kto i dlaczego zniszczył jego imperium i zrujnował mu życie.

Coltrane pracował nad tym od chwili przybycia do Los Angeles. Najpierw zamierzał zniszczyć przedsiębiorstwo Meyera, potem jego reputację, a w końcu - rodzinę. Oko za oko. Miała to być zemsta za życie w degradującej, bezdusznej biedzie lodowatego Środowego Wschodu, za utratę mamy, pijaństwo ojca, a także za wszystkie krzywdy przeszłe i przyszłe.

Coltrane musiał odpłacić pięknym za nadobne, choćby miał przez to stać się takim samym bezwzględny łajdakiem jak Jackson Meyer.

Niestety, okazało się, że plan jest wprawdzie dobry, ale trudny do zrealizowania, choć, na szczęście, tylko w ostatniej części. Problem polegał na tym, że Jackson Meyer kochał wyłącznie siebie. Uwielbiał swoją sztuczną opaleniznę i nabytą na sali gimnastycznej tężyznę fizyczną. Swoją młodą żonę traktował jak zdobycz wojenną i odnosił się do niej jak ojciec, który nie ma dość cierpliwości dla kapryśnego dziecka. Dwójkę najmłodszych dzieci ledwie tolerował, traktując jak źle wychowane psiaki, i chyba nawet nie pamiętał ich imion.

Gdyby Jilly, jego średnia córka, nagle zniknęła z powierzchni ziemi, pewnie by nawet tego nie zauważył, nic a nic go bowiem nie obchodziła.

Dean był już załatwiony. Jedyne dziecko Meyera poddał się bez walki. Nadąsany jak primadonna, wrócił do swoich komputerów. Jilly

się nie liczyła, choć Coltrane postanowił, że ją też zdobędzie, o ile, oczywiście, starczy mu na to czasu.

Co innego Rachel-Ann. Była oczkiem w głowie Meyera, jego jedyną słabością. Dlatego jej właśnie Coltrane postanowił poświęcić najwięcej czasu.

Rachel-Ann przez większą część swojego życia balansowała na krawędzi, o czym wszyscy wiedzieli. Wystarczyło ją lekko popchnąć, żeby runęła w dół. Popchnąć i patrzeć, jak Meyer rzuca się w przepaść za ukochaną przybraną córeczką.

Coltrane wołał się nie zastanawiać, kim on sam się stanie po wykonaniu tego zadania.

Nalał sobie szkockiej. Bez lodu i bez wody. Powoli sącząc trunk, wyszedł na patio.

To była najlepsza szkocka na rynku, wyjątkowo udana partia z maleńkiej gorzelni w Hebrides. Od długiego już czasu stanowiła część rytuału, milczący toast wznoszony za ojca, który zapił się na śmierć. Toast i jednocześnie wyzwanie wobec losu: niechby spróbował to samo zrobić z nim!

Robił to już od dziesięciu lat, ale nie zdołał polubić smaku tego alkoholu. A mimo to codziennie wypijał jedną szklaneczkę na oczach mściwych bogów.

Plan Coltrane'a był prosty. Za pomocą Jilly zamierzał dotrzeć do jej starszej siostry, a potem działać już samodzielnie. Był bardzo cierpliwy, lecz czekał naprawdę długo. Najwyższy czas zakończyć dzieło.

Właściwie wcale nie chciał krzywdzić niewinnych ludzi. Chociaż, jeśli wszystkie dorosłe dzieci Meyera byłyby takie jak Dean, to nie można było ich określić mianem niewiniątek.

Zrobiło się ciemno. Coltrane patrzył na miasto, zwrócony tyłem do pięknie urządzonego mieszkania, które było dla niego wyłącznie dekoracją. Jak w teatrze.

Czuł w żyłach chłodny nurt oczekiwania, uderzający do głowy bardziej niż świetna whisky. Nazajutrz, w drodze do uzyskania odpowiedzi, których szukał prawie całe swoje życie, miał przekroczyć próg legendarnej posiadłości La Casa de Sombras.

Zadzwonił telefon. Coltrane podniósł słuchawkę zaraz po trzecim dzwonku, tuż przed włączeniem się automatycznej sekretarki. Doskonale wiedział, kto dzwoni.

- Pozbyłeś się jej? - warknął Jackson Dean Meyer.

- Na jakiś czas. Nie powiedział pan, że mam zrobić coś nieodwracalnego.

Na drugim końcu kabla zaległa cisza.

- A mógłbyś coś takiego zrobić?

- Mógłbym znaleźć odpowiedniego człowieka. Jeśli uzna pan, że to konieczne...

- To wcale nie jest śmieszne - powiedział Meyer lodowatym tonem. - Nie mam zwyczaju mordować swoich dzieci.

Dzieci nie, ale kochanki owszem, pomyślał Coltrane, wpatrując się w szklaneczkę z alkoholem.

- W takim razie będzie pana nachodzić, dopóki nie dostanie tego, co chce. Wie pan, jakie są kobiety.

- Zawsze była uparta jak osioł. Podobnie jak jej matka - prychnął Meyer. - A czego ona właściwie chce?

- Dokładnie nie powiedziała, ale odniosłem wrażenie, że chciałaby, żeby pokochał pan swojego syna, a ja żeby znaleźć się na samym dnie oceanu.

W suchym śmiechu Meyera słyszeć było lekką za-dyszkę.

- Mam nadzieję, że zrobiłeś na niej dobre wrażenie?

Uprzedzałem cię, że kontakt z nią może być trudny. Co zamierzasz zrobić?

- Jutro wieczorem zabieram ją na kolację.

- Nie uda ci się zaciągnąć jej do łóżka. Jilly to taka nasza rodzinna cnotka.

- Dlaczego miałbym to robić? - Coltrane napił się szkockiej. Dorzucona kostka lodu już się rozpuściła i trunek był teraz nieco rozwodniony, ale i tak jeszcze piekielnie mocny.

- Żeby ją czymś zająć. Jest niebrzydka. Nie wmawiaj mi, że nie zauważyłeś tego. Oczywiście, nie umywa się do Rachel-Ann, ale i tak jest ładna. Mimo tych jej strasznych włosów. O ile dobrze pamiętam, nie masz teraz żadnej narzeczonej.

Coltrane był pewien, że Meyer stara się dokładnie wiedzieć, z kim jego pupil sypia i jak długo trwa każdy z tych związków.

Poczynania wynajętych przez jego pracodawcę detektywów były jednak żałosne. Coltrane podsuwał im dokładnie tyle informacji, ile

trzeba, żeby stary był zadowolony ze swoich ludzi, no i oczywiście z siebie.

- Mam się z nią ożenić - spytał, cedząc słowa - czy tylko przespać?

- Nie przeciągaj struny, Coltrane - w głosie Meyera zabrzmiało ostrzeżenie. - Chcę, żebyś ją czymś zajął. I bez niej mam dość spraw na głowie. Przejęcie posiadłości Cienaga okazało się bardziej kłopotliwe, niż przypuszczałem, jak wiesz. Nie powinno nastęczać aż tylu problemów. No i jeszcze to cholerne ministerstwo sprawiedliwości! Wciąż depczą mi po piętach! Miałeś dać im coś, co ich zajmie. Naprowadź ich na jakiś inny ślad.

- Już to zrobiłem.

- Przekłęci biurokraci! Nie mają pojęcia, jak załatwia się tutaj sprawy. Nie obchodzi ich, skąd ich zwierzchnicy biorą pieniądze na kampanie wyborcze. Trzymaj ich ode mnie z daleka!

- Załatwione - uspokoił go Coltrane.

Tę sprawę rzeczywiście miał już z głowy. Dochodzenie prokuratury w sprawie ciemnych interesów Jacksona

Deana Meyera rozrosło się tak, że teraz zamiast jednego prokuratora zajmował się nimi cały zespół. Meyer nie miał nawet pojęcia, jak niewiele zostało mu czasu.

- Nie zamierzam marnować energii na głupstwa - powiedział.

Na takie głupstwa, jak choćby twoje własne dzieci, pomyślał Coltrane.

Swoboda, jaką mu dawał Meyer, nie była jednak bezgraniczna. Facet potrzebował Coltrane'a do zatuszowywania swoich drobnych matactw, do robienia zasłony dymnej, ale nade wszystko potrzebował przekonania o swojej wszechmocności.

Meyer miał się wkrótce dowiedzieć, że zarówno zaufanie, jakim darzył Coltrane'a, jak i wiara we własną nietykalność, nie były dobrym oparciem. Wszystko już było załatwione, koniec zbliżał się nieubłaganie. Coltrane'owi nie udało się jeszcze tylko pozbawić go dzieci, co miało być ukoronowaniem dzieła. Meyer już dawno żadnych dzieci nie miał i wcale się tym nie przejmował.

- W porządku, szefie - powiedział powoli. Był jedyną osobą, która zwracała się w ten sposób do Meyera, jedyną, która mogła sobie pozwolić na lekko kpiący ton. - Prześpię się z pańską córką. Nawet z obiema pańskimi córkami, ale syna proszę skreślić z tej listy.

- Załatwione. - Meyer roześmiał się, ale nie było w tym śmiechu ani krztyny radości. - Deana ci daruję, a od Rachel-Ann trzymaj się z daleka. Jest teraz w bardzo kiepskim stanie. Nie waż się do niej zbliżać! Jasne?

- Jasne - mruknął Coltrane.

- Zresztą, nie mam z nią problemów - mówił Meyer jakby do siebie. - Nigdy nie miałem. Zupełnie inaczej niż z pozostałą dwójką. No, ale w końcu sam sobie jestem winien, nie trzeba się było żenić z ich matką. Na razie, dopóki nie skończę tego interesu, zajmij jakoś Jilly. Potem możesz ją rzucić. Wiesz, że nie stracisz na tym.

Dobrze, że Meyer nie mógł zobaczyć uśmiechu, jaki pojawił się na ustach Coltrane'a.

- To właśnie najbardziej w panu lubię, szefie. Pańska miłość do dzieci zawsze mnie rozczula.

- Odpieprz się, Coltrane!

- Jasne, szefie.

Ale Meyer już odłożył słuchawkę i tak pewien, że wszystko potoczy się zgodnie z jego życzeniem: Coltrane prześpi się z jego córką, żeby miała zajęcie i nie zawracała mu teraz głowy, a on sam, Jackson Dean Meyer, musi uporać się z nieoczekiwanymi kłopotami finansowymi, które wkrótce mogą zamienić się w klęskę i doprowadzić jego wspaniałe imperium do ruiny.

Nie mógł wiedzieć, że prosi Lisa, by popilnował kurnika.

Kiedy Jilly wchodziła do swojego pokoju, zawsze robiła mnóstwo hałasu.

Zajmowała sypialnię pani domu, największy i najbardziej elegancki ze wszystkich ogromnych pokoi tej starej willi. Nikt nie kłócił się z nią o tę sypialnię, kiedy ją sobie wybrała. Dean wolał swój sterylny raj, a Rachel--Ann była zbyt przesadna, żeby nawet pomyśleć o zamieszkaniu w tym pokoju.

Jilly właściwie nie wierzyła w duchy. Posiadłość La Casa de Sombras należała do rodziny Meyerów na długo przed jej przyjściem na świat. Spędziła tu całe życie i gdyby duchy rzeczywiście istniały, na pewno do tej pory natknęłaby się na któregoś z nich.

Kiedy wszyscy troje byli mali, Dean często próbował ją nastraszyć. Opowiadał ze szczegółami o popełnionym tu morderstwie, o samobójstwie, o duchach przemierzających korytarze i pokoje, ale Jilly nigdy nie bała się tych opowieści.

Jeśli w La Casa de Sombras istotnie mieszkaly jakieś zjawy, musiały być życzliwe, chociaż były duchami osób, które przedwcześnie zeszły z tego świata.

Na wszelki jednak wypadek, nie chcąc na żadnego z nich wpaść zniecacka, Jilly zawsze obwieszczała swoje przybycie głośnym hałasem. Teraz także odkaszlnęła, poruszyła klamką, a dopiero potem otworzyła drzwi i zapaliła światło. Nigdy nie zauważyła żadnych znikających cieni, pokój był zawsze taki sam: dziwaczny, lecz dobrze znany.

Przypominał skrzyżowanie burdelu z haremem tureckiego sułtana, urządzonego niegustownymi chińskimi drobiazgami. Takie właśnie pokoje musiały nawiedzać koszmarnie sny wszystkich dekoratorów świata/Wszystko było okropne: od stołków o słoniowych nogach poczynając, na połączanym łożu w kształcie łabędzia kończąc. Jilly uwielbiała każdy, najbardziej kiczowaty fragment tego pokoju.

Nalała wody do olbrzymiej marmurowej wanny, rozebrała się i zanurzyła w pachnącej kąpieli. Zamknęła oczy.

Miała za sobą męczący, kompletnie nieudany dzień. Nie tylko niczego nie załatwiła, ale być może nawet pogorszyła sprawę. A już na pewno popsuła sobie i tak nie najlepsze samopoczucie.

Nie miała ochoty iść z Coltrane'em na kolację. Starła się trzymać się jak najdalej od tych wszystkich bystrych, pozbawionych jakichkolwiek zasad ludzi, których zatrudniał jej ojciec. Przypominali jej stado wygłodniałych rekinów. Coltrane był kimś więcej niż tylko jednym z nich; i on był przywódcą tej watahy.

Miał wszystkie cechy, których nienawdziła: był ambitny, agresywny, stanowczo zbyt przystojny, ponadto w pełni świadomy swej urody. Dean uważał, że nie można mu się oprzeć. Zawsze miał słabość do zadowolonych z siebie, inteligentnych, ładnych chłopców, zwłaszcza jeśli byli nieosiągalni.

Rachel-Ann zapewne też uznałaby, że Coltrane jest pociągający. Nie był aż tak beznadziejny jak ci wszyscy przegrani faceci, którymi otaczała się jej siostra, ale wystarczająco przystojny, żeby wzbudzić jej zainteresowanie. Tworzyliby razem niesamowitą parę.

Woda ostygła zadziwiająco szybko. Jilly stanęła w głębokiej wannie i wykrzywiła się do swojego odbicia w lustrze.

W tym domu było stanowczo za dużo luster: z każdego dosłownie kąta patrzyło na nią jej własne odbicie. Nie miała pojęcia, czy zamontowanie tylu luster jest zasługą nieznannej aktorki, która wybudowała ten dom, czy może Brendy de Lorillard, która tu umarła. Jilly była osobą całkowicie pozbawioną próżności i te wszystkie lustra irytowały ją.

Natomiast Rachel-Ann panicznie się ich bała. Mimo to Jilly co jakiś czas przyłapywała ją na wpatrywaniu się w któreś z nich, ale Rachel-Ann nie patrzyła na siebie. Była święcie przekonana o

istnieniu legendarnych duchów i wypatrywała tego kogoś, kto umarł bardzo dawno temu.

Noc była chłodna, jednak Jilly wolała włożyć dres, niż pozamykać okna. Lubiła, kiedy świeże powietrze nappełniało dom. Wymiało pajęczyny "\ prawie niewyczuwalny zapach stęchlizny, ale nigdy jednak nie zdołało wywiać mdłego zapachu dymu tytoniowego ani delikatnej nuty perfum, przypominających Jilly dzieciństwo.

Takich perfum używała babcia. Być może rozbiła kiedyś flakonik i aromat tak głęboko wniknął w drewnianą podłogę, że mimo upływu lat wciąż delikatnie miesza się z powietrzem. Jilly lubiła ten zapach. Myślała czasami, że babcia, która właściwie nie była dla niej niczym więcej jak tylko jej opiekunką, w jakiś sobie tylko znany sposób spogląda na nią z góry.

Po opustoszałym domu rozniosło się echem trzaśnięcie drzwi.

Dziwne, pomyślała Jilly. Niektóre dźwięki tak dobrze się rozchodzą, a innych nie słychać prawie wcale.

Zawsze wiedziała, kiedy Rachel-Ann wraca do domu. Wnosiła ze sobą rodzaj nerwowej energii, która natychmiast wypełniała cały dom. Coś w rodzaju naelektryzowanego powietrza przed burzą.

Jilly zamarła, nasłuchując odgłosów, ale nic nie usłyszała.

Rachel-Ann była sama. Bogu dzięki! Była sama już od trzech miesięcy. Częściej się denerwowała, robiła awantury, ale był to wielki krok na drodze do ozdrowienia.

Po chwili na górze rozległ się gwałtowny hałas i szybki tupot stóp na schodach. Zanim Jilly zdążyła wyjść do holu, Rachel-Ann

była już w połowie drogi. Ogniście rude włosy powiewały, gdy z wyrazem przerażenia na bladej twarzy przebiegała pozostając do pokonania przestrzeń.

Drżąca i zapłakana, padła w otwarte ramiona Jilly. Była taka drobniutka, krucha i mała. I chuda jak szkielet. ! Jilly objęła siostrę swymi silnymi ramionami, uspokajając ją jak małą dziewczynkę.

- Co się stało, kochanie? Potknęłaś się? Słyszałam jakiś hałas.

- Nie wiem! Chyba coś się stłukło, ale nie zauważyłam, co. -
Była przerażona, ale zupełnie trzeźwa.

- Nie przejmuj się - powiedziała Jilly najspokojniej, jak umiała.
W La Casa nie pozostało już zbyt wiele wartościowych przedmiotów, które można by potłuc. - Przestraszyłaś się czegoś?

Rachel-Ann odsunęła się i patrzyła zmieszana na siostrę. Źrenice jej zielonych oczu były rozszerzone, lecz nie pod wpływem narkotyków. Jilly poczuła ulgę.

- Nie wiem - powtórzyła Rachel-Ann. - Chyba na mnie patrzyli. Czułam ich obecność. Cały czas mi się przyglądają. Wiem, że mi nie wierzysz, ale oni tutaj są. Wyczuwam ich obecność.

- Naprawdę? - Jilly wiedziała, że Rachel-Ann nie lubi, kiedy się ją traktuje jak wariatkę. - Może byś weszła do mnie, porozmawiamy o nich.

- Za nic w świecie nie wejdę do tego pokoju - powiedziała Rachel-Ann, patrząc z przerażeniem na drzwi sypialni Jilly. - Nie wiem, jak ty możesz tu spać. Wiesz przecież, co się stało...

- Ja nie wierzę w duchy.

- A ja wierzę. Przed chwilą na mnie patrzyły. - Cichy głos Rachel-Ann nabrał ze zdenerwowania wysokiego brzmienia.

Ostatnio jeszcze bardziej schudła. Wyglądała jak zabiedzony wróbel o rudych piórkach. Była zagubiona i wystraszona.

- Wobec tego pójdziemy do twojego pokoju. Posiedzę przy tobie, dopóki nie zaśniesz.

- Zawsze ta sama, dobra Jilly. - Rachel-Ann uśmiechnęła się smutno. - Czy ty nigdy nie masz nas dosyć?

- Nigdy.

- Nie martw się o mnie. - Rachel-Ann jakby trochę się uspokoiła.

- W moim pokoju nic mi nie grozi. Oni nigdy tam nie wchodzi.

- Nie ma duchów, Rachel-Ann.

- Nie rozśmieszaj mnie, Jilly. Innych może nie ma, ale te tutaj są! Umiem je odpędzić. Wystarczy parę łyków...

- Rachel-Ann! - zawołała wystraszona Jilly.

- Nie bój się - uspokoiła ją siostra. - Nie chcę ich widzieć, ale już nie za taką cenę. Zaraz pójde do łóżka, a rano już będę bezpieczna. Za dnia mnie nie nachodzą.

- Rachel-Ann się skrzywiła. - Nie patrz tak na mnie! Nie zwariowałam. Ten dom naprawdę jest nawiedzony.

- Rozmawiałaś o tych duchach ze swoim terapeutą? - spytała Jilly.

- Po co? Żeby pomyślał, że całkiem mi odbiło? - W śmiechu Rachel-Ann słysząc było delikatną nutkę hysterii.

- Te duchy są tu, w domu, a nie w mojej głowie. Nie wiem, dlaczego ciebie się nie czepiają.

- Może mam za mało wyobraźni.

- Albo zbyt trzeźwo myślisz - powiedziała Rachel--Ann.

Uścisnęła Jilly. - Zobaczymy się rano, siostrzyczko. Byle nie za wcześnie.

- Chętnie przy tobie posiedzę...

- Nie trzeba - zapewniła ją Rachel-Ann. - Nic mi nie będzie.

Jilly patrzyła, jak siostra przemierza korytarz, omijając szerokim łukiem otwarte drzwi sypialni Jilly. Po chwili była już w swoim własnym apartamencie. Bardzo dokładnie zamknęła za sobą drzwi.

Jilly wciąż stała w progu sypialni. Zastanawiała się, czy mimo wszystko nie powinna jednak pójść za Rachel-Ann.

Nie była w pokoju siostry od czasu jej powrotu z ostatniej kuracji. Postanowiła nie przeszukiwać go, nie rozglądać się za pustymi butelkami ani za pudełkami po pigułkach.

Rachel-Ann zawsze twierdziła, że potrafi trzymać duchy z dala od siebie, lecz Jilly nie miała pojęcia, jaki ma na to sposób. Dopiero teraz... No, ale siostra zapewniła ją, że tym razem z niego nie skorzysta.

Jilly straciła rachubę czasu, nie miała pojęcia, która jest godzina. Zapewne po jedenastej.

Miała za sobą naprawdę okropny dzień. Niczego nie załatwiła, a ta głupia wizyta w biurze ojca tylko ją zdenerwowała. No i poznała Coltrane'a - premia, bez której z powodzeniem mogła się obejść.

Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby się go pozbyć albo nakłonić, żeby mi pomógł, pomyślała.

Wyjęła spinki ze swoich gęstych włosów. Opadły na plecy ciężką kaskadą.

Postanowiła zastanowić się nad tym, co zrobić z Deanem i z jego kłopotami, rano. Tej nocy mogła przynajmniej spać spokojnie pewna, że jej brat i siostra są bezpieczni, każde we własnym łóżku, i że duchy, w których istnienie tak głęboko wierzyła Rachel-Ann, nie mogą się dostać do jej pokoju.

- Wystraszyłeś ją - powiedziała Brenda z nutą złości. - Przecież ci mówiłam, że jest delikatna. Zawsze taka była. Od dzieciństwa. W jakiś sposób przypomina mi m-nie samą, kiedy byłam w jej wieku.

- Umarłaś^ zanim dożyłaś jej wieku, mój skarbie - powiedział Ted z całkowitym brakiem taktu. - A delikatności było w tobie tyle, co w szarżującym nosorożcu. Ta mała rzeczywiście jest bardzo płochliwa. Za bardzo.

- Ona nas widzi.

- Wielu ludzi nas widzi, ale nie popadają z tego powodu w alkoholizm - stwierdził Ted. - Zresztą większość uważa nas za refleks świetlny czy coś w tym rodzaju. Tylko ona jedna tak reaguje. Gdyby nie poświęcała tyle uwagi w rzucanie w nas różnymi przedmiotami, na pewno by zauważyła, że się o nią martwimy. Jesteśmy przecież zupełnie nieszkodliwi.

- Całkowicie - mruknęła Brenda i nachyliła się, żeby go pocałować. - Poza tym ona nie powinna pić. Gdybyśmy jej się wtedy nie pokazali, to wypiłaby zawartość szklanki, którą w nas rzuciła.

- Może tak, a może nie - Ted wzruszył ramionami.

- Nalała sobie już wcześniej, a nie wypila. Zresztą to nieważne. Przestraszyliśmy to biedne dziecko i nawet nie możemy się z tego wytłumaczyć". Po prostu musimy trochę bardziej uważać. Jeszcze tylko tego nam brakuje, żebyśmy nabawili się poczucia winy.

- Poczucia winy - powtórzyła Brenda. - Nie, tego z pewnością nam nie trzeba. Chodźmy na spacer, kochany. Posiedzimy sobie na tarasie, popatrzymy w gwiazdy.

Ted wziął ją pod ramię i spojrzał na nią z miłością.

- Niebiański pomysł, ukochana.

- Niebiański - powtórzyła znowu Brenda i pomyślała, że niebo to miejsce, którego nigdy nie zobaczy. - Każde miejsce, gdzie ty jesteś, jest niebem - powiedziała, a Ted ją pocałował.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Środa była paskudnym dniem, ale czwartek okazał się jeszcze gorszy. A najgorzej z całego dnia zapowiadał się wieczór.

Jilly, jak zwykle, wstała wcześnie. Ozdobne łoże w kształcie łabędzia było przytłaczające i nieszczególnie wygodne. Od dawna myślała o tym, żeby kupić nowy materac, ale łoże zostało zrobione na zamówienie. Miało niestandardowe wymiary, a Jilly nie mogła sobie pozwolić na tak duży wydatek jak materac na zamówienie, zwłaszcza że w łóżku spędzała zaledwie jedną czwartą doby, a i to nie zawsze. Zresztą materac nie był taki znów stary, wymieniono go po 1951 roku.

Wieczór był ciepły. Jilly siedziała sama na tarasie i zastanawiała się, czy rzeczywiście tak dużo wymaga od życia. Czy naprawdę nie mogłaby mieć choć raz miłego, dobrego dnia?

Niestety, w jej pracy dobre dni zdarzały się nader rzadko, a ten z pewnością do takich nie należał.

Praca konserwatora zabytków w Los Angeles była właściwie zajęciem dla masochisty; stanowiła niemal nieprzerwane pasmo porażek. Jilly wiedziała o tym, zanim ją podjęła. W tym mieście liczyły się wyłącznie pieniądze i władza. Piękno, a nawet historia nie były ani w modzie, ani w cenie.

Jilly od trzech lat pracowała w Towarzystwie Ochrony Zabytków Los Angeles. Patrzyła bezradnie, jak kolejne zabytkowe budowle znikają z powierzchni ziemi, a na ich miejscu powstają paskudne pudła, które mają tylko tę zaletę, że przynoszą właścicielom

krociowe zyski. Na dobrą sprawę można tu było chronić wyłącznie wspomnienia.

Tego dnia Jilly sporządzała dokumentację Teatru Marokańskiego, a raczej tego, co jeszcze z niego zostało. Fotografowała, robiła pomiary, notowała... a wszystko to Ze świadomością, że za kilka dni nie zostanie po nim żaden ślad. Oczywiście poza jej notatkami.

Kiedy skończyła pracę, usiadła w jednym ze starych, obitych pluszem foteli widowni i solidnie się wypłakała. Nie była pewna, czy płacze nad losem starego budynku, czy może opłakuje własne życie.

Gdy wczesnym popołudniem wróciła do domu, nie zastała już ani Deana, ani Rachel-Ann. Nawet się z tego ucieszyła. Coltrane był trudnym przeciwnikiem. Wołała nie mieć na głowie rodzeństwa i rozmówić się z tym draniem w cztery oczy.

Wykąpała się, splukała z siebie kurz starego teatru, a potem naląła sobie pełniutką szklanekę mrożonej herbaty i wyszła na taras, żeby obejrzeć zachód słońca.

Uwielbiała ten taras z jego metalowymi meblami, marmurowymi płytami, wyszczerbionymi przez czas kamiennymi kolumnami, a także okalające go niebotyczne palmy. Niestety, w samym środku ogromnego trawnika, jakieś sto metrów od domu znajdował się ciemny, zarośnięty algami basen. Jilly nie potrafiła opanować drżenia, kiedy spoglądała w tamtym kierunku.

Trzeba by znów zamówić brygadę, pomyślała. Od ostatniego czyszczenia - kiedy to było... - znowu zebrało się w tym przeklętym basenie sporo brudnej wody.

Basen od lat nie był używany, choć Jilly świetnie pływała i często korzystała z ogrodowych basenów u znajomych. Jednak ten ją przerażał. Nie tylko z powodu kołyszących się nad nim wysokich drzew czy dziwnej mozaiki na dnie, ale także...

Wolała o tym nie myśleć. Być może zresztą była to tylko wybujała, dziecięca wyobraźnia. Jilly nie wdawała się w rozważania, po prostu trzymała się z daleka od tego miejsca. Od bardzo wielu lat.

Gdy tylko odziedziczyli posiadłość, kazała z basenu spuścić wodę, ale napełniał się sam, widocznie przez jakieś pęknięcia w powłoce. Nigdy nie było dość pieniędzy na sprowadzenie ciężkiego sprzętu i zasypanie basenu, co definitywnie skończyłoby ten koszmar. Tylko dlatego wciąż jeszcze istniał, ciemny, nieprzyjazny...

Na szczęście dzikie róże całkiem go zasłaniały i nikt się nawet nie domyślał, że w ogrodzie jest w ogóle jakiś basen. Nikt, prócz tych, którzy o jego istnieniu wiedzieli.

Jilly przysiadła na otaczającej taras szerokiej, kamiennej balustradzie i wdychała zapach róż zmieszany z dalekim oddechem parującego zmęczeniem miasta. Najchętniej weszłaby do swojej wielkiej, marmurowej wanny pełnej ciepłej wody i siedziałaby tam tak długo, jak to możliwe. Nie chciała nikogo widzieć, z nikim rozmawiać ani tym bardziej nikogo ratować. Nie dzisiaj. A nade wszystko nie

miała ochoty na spotkanie z R. Coltrane'em. Zwłaszcza że nie potrafiła sobie wyobrazić, czego ten podły drań może od niej chcieć.

Właściwie nie było żadnego konkretnego powodu, by uważać go za drania, w dodatku podłego. Żadnego, poza jej instynktowną niechęcią do wszelkiej maści prawników i brakiem zaufania do przystojnych facetów. Lata spędzone w Los Angeles nauczyły ją ostrożności, a doświadczenie z Alanem dopełniło lekcji.

Coltrane zupełnie nie przypominał byłego męża Jilly. Alan był naprawdę piękny, miał długie czarne włosy, zawsze rozmarzony wyraz twarzy, dłonie artysty i - duszę rzeźnika.

Coltrane miał włosy jasne, nie był artystą ani poetą, tylko prawnikiem, człowiekiem interesów. I nie silił się na udawanie delikatności i szlachetności, jak to robił Alan.

A jednak był takim samym kłamcą i oszustem jak jej były mąż. W każdym razie na pewno nie był tym, za kogo się podawał. Jilly nie miała na to żadnego dowodu, tylko bardzo mocne przeczucie.

Coltrane umiał odkryć, na czym jego rozmówcy najbardziej zależy, i dostosowywał do tego nie tylko temat rozmowy, ale w ogóle całe swoje zachowanie. Jilly była przekonana, że chciał ją zirytować, bo nie wyobrażał sobie chyba, że zdoła ją przekonać o swojej nieszkodliwości.

Tak czy inaczej, umówiła się na to spotkanie. Na służbowe spotkanie. Mieli porozmawiać o Deanie, o jego pozycji w Meyer Enterprises. Potem Jilly zamierzała wrócić do domu i zapomnieć o Coltrane. Nie bywała na wytwornych przyjęciach, jakie wydawał jej

ojciec. Zresztą od paru lat nie zapraszano jej tam, więc nie mogłaby się natknąć na tego faceta nawet przypadkiem.

Popijała mrożoną herbatę, starając się nie patrzeć w stronę basenu. Myślała o czekającej ją nieprzyjemnej rozmowie, nie miała bowiem cienia wątpliwości, że będzie nieprzyjemna. Może nawet zupełnie niepotrzebna?

Po wielu smutnych doświadczeniach Jilly wreszcie się nauczyła, że walka z wiatrakami nie ma sensu. Angażowała się wyłącznie w sprawy, które miały szansę powodzenia, odpuszczając sobie te, których w żaden sposób nie dawało się załatwić. Tym razem szansa istniała. Gdyby jednak z jakiegoś powodu nagle stała się nierealna, gdyby prawdopodobieństwo powodzenia zanadto zbliżyło się do zera, Jilly. była gotowa się wycofać i zgodzić się, żeby jej brat jakoś sobie poradził sam.

Od strony podjazdu dobiegł szum opon. Nie był to żaden z domowych samochodów, a więc mógł to być tylko jej nieproszony gość.

Coltrane wiedział, że posiadłość La Casa de Sombras zasłaniają nadmiernie wyrosnięte drzewa. Był tutaj kilka razy, chociaż nigdy nie wszedł do środka.

Fascynował go ten dom i jego otoczenie, ale w końcu nie było w tym nic dziwnego. Kiedyś mieszkała tu jego mama, o czym dowiedział się z artykułu w gazecie. Nie miał pojęcia, jak długo ani czy w ogóle był tu wtedy także jego ojciec. Artykuł nie podawał żadnych dat i nie było nikogo, kogo Coltrane mógłby o to spytać.

W tej chwili liczyło się to, że La Casa de Sombras był częścią historii jego rodziny, miejscem, które może kryło odpowiedzi na najważniejsze jego pytania. Długo szukał tego miejsca i ludzi z nim związanych. Nareszcie je znalazł i wszystko zaczęło do siebie pasować.

Całkiem niedawno myślał o tym, żeby dostać się do środka niezupełnie legalnie. Nie byłoby to wcale takie trudne, jeśli się weźmie pod uwagę, że w młodości nauczył się wielu pożytecznych rzeczy od włóczęgów, z którymi się zadawał. Potrafił włamać się do mieszkania i nie zostawić po sobie najmniejszego nawet śladu. A jednak postanowił uzbroić się w cierpliwość i nie ryzykować. Miał czas. Wiedział, że prędzej czy później wejdzie tani frontowymi drzwiami.

Teraz, kiedy ten czas wreszcie nadszedł, odczuwał niezwykle, dla siebie zdenerwowanie. Wiele lat, a może nawet całe życie poświęcił na rozwiązywanie zagadki śmierci swojej roześmianej mamy, a kiedy był już całkiem blisko, nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o Jilly Meyer.

Powtarzał sobie w duchu, że nie chodzi mu przecież o nią, tylko o jej wrażliwą starszą siostrę, że Jilly to tylko środek do osiągnięcia celu, jakim jest dokonanie zemsty doskonałej. Kluczem do serca Jacksona Meyera, jedynym, co może sprawić mu dotkliwy ból, jest nadwrażliwa Rachel-Ann Meyer.

Prowadząca na teren posiadłości ozdobna brama była otwarta na oścież i zupełnie zardzewiała. Nic by z niej nie zostało,, gdyby w tej okolicy częściej padał deszcz.

Coltrane jechał krętą, zarośniętą aleją, omijając zwieszające się nad nią gałęzie drzew i porastające drogę kępy trawy.

W Los Angeles, najbardziej chyba zurbanizowanym miejscu świata, w prawie każdym garażu stał przynajmniej jeden samochód terenowy, ale to było chyba jedyne miejsce w okolicy, gdzie takie auto naprawdę mogłoby się przydać. Coltrane nie miał pojęcia, w jaki sposób Jilly udaje się omijać te wszystkie wyboje wspaniałą, ale nisko zawieszoną corvetta.

Najpierw zauważył ogromny garaż. Pokryty dachówką dach był połamany i zapadnięty. To prawdziwe szczęście, że deszcze nie padały tu prawie nigdy. Gdyby nie to, budynek nadawałby się wyłącznie do rozbiórki.

Garaż miał siedem bram. Trzy z nich były zamknięte, trzy boksy stały puste, w jednym pyszniła się corvetta Jilly.

Coltrane zaparkował tuż za nią, na wszelki wypadek blokując wyjazd. W pobliżu nie było nikogo, więc podszedł do czerwonego cacka i jak czuły kochanek musnął palcami lśniący lakier.

Kiedyś marzył o mercedesie ze skrzydłami, potem o klasycznym jaguarze XKE. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że w głębi serca jest bardzo amerykański.

Nie mógł się powstrzymać i dotknął klamki. Dopiero wtedy poczuł, że nie jest sam. Nawet się nie wzdrygnął, gdy usłyszał oschły głos Jilly.

- Uprzedzałam, że nie wolno ci jej dotykać. Mimo to robił to dalej, pieścił auto dłońmi, wiedząc, że Jilly na niego patrzy. A potem nagle się odwrócił i spojrzał na nią spod opadających na czoło włosów.

Miała na sobie bawełnianą koszulkę i szorty, więc pozwolił sobie obejrzeć te jej długie nogi od dołu do góry i z powrotem. Nie miała pojęcia, jak te nogi na niego działały, bo gdyby wiedziała, na pewno by ich nie odsłoniła. Wprawdzie szorty były stare i spłowiałe, ale nogi...

Rachel-Ann jest twoim celem, napominał się w myślach. To ona jest kluczem do całej sprawy. Los młodszej córki nie obchodzi Meyera ani trochę.

- Cieszę się, że nie robiłaś sobie kłopotów z mojego powodu - powiedział nie bez złośliwości.

- Wybacz, ale zmieniłam zdanie. Nie musimy nigdzie jechać. Równie dobrze możemy omówić całą sprawę tutaj.

- Albo wyskoczyć do McDonalda - zaproponował bez chwili wahania. - Nie jest to najlepsze miejsce do omawiania interesów, ale jeśli masz ochotę, to ja nie mam nic przeciwko temu. Możemy nawet wziąć jedzenie do samochodu. Nawet jakbym chciał cię trochę popieścić, to też nikt tego nie zauważy.

Nie bardzo rozumiał, czemu powiedział to ostatnie zdanie. Chyba tylko po to, żeby jej sprowokować. Naprawdę chciałby jej dotykać, gdyby czas i miejsce były po temu odpowiednie. Teraz jednak Jilly była tylko środkiem do celu.

- Chcesz rozmawiać o interesach? - spytała.

Była przekonana, że nie chodziło mu o żadne interesy. O pieśzczoły też nie. A więc o co?

- Czy nie po to się ze mną umówiłaś? - Coltrane trochę się zdziwił. - Chcesz mnie przekonać, żebym pomógł twemu braciszкови odzyskać miłość i zaufanie tatusia. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie się dowiem, co z tego będę miał. Jestem otwarty na propozycje.

- A nie mógłbyś zrobić tego z dobroci serca? - zapytała jak kompletna idiotka.

Doskonale wiedziała, że ta gnida nie ma w sercu ani odrobiny dobroci. O ile w ogóle ma serce.

- Nie ma we mnie zbyt wiele dobrego, a już na pewno brak mi czegoś takiego, jak dobroć serca - powiedział, uśmiechając się do niej najpiękniej, jak potrafił. Jakby ; odgadł myśli Jilly.

Ucieszył się, bo miał wrażenie, że udało mu się ją I spłoszyć.

Coltrane zawsze ostrzegał innych przed swoją podłością. Taki miał zwyczaj. Oczywiście, nikt mu nie wierzył, ; Zazwyczaj uważano, że sobie żartuje. Dopiero potem, kiedy było już po wszystkim, skrzywdzeni przez niego ludzie przypominali sobie, że przecież od

początku uprzedzał ich, z kim mają do czynienia. Jilly jednak uwierzyła mu.

Odsunął się od corvetty, starając się nie pokazać po sobie, że sprawiło mu to przykrość.

- No więc jak, oprowadzisz mnie po tym swoim sławnym domu?

- zapytał. - Tylko nie proponuj mi wycieczki z biurem podróży. Chcę zobaczyć to miejsce oczami właściciela. Choćby tylko tymczasowego. Jak tylko się poddacie, twój ojciec natychmiast zlikwiduje i dom, i zarośnięty chwastami park.

- Jesteś bardzo dobrze zorientowany w sprawach tego domu - stwierdziła bez zdziwienia.

- Jestem szefem departamentu prawnego. Twój ojciec słono mi płaci za to, żebym wszystko wiedział.

Trochę za późno ugryzł się w język.

Do diabła, pomyślał. Dlaczego akurat teraz muszę tyle gadać? Trzeba uważać na tę całą Jilly. Jest o wiele bardziej spostrzegawcza niż jej brat.

- Lubię legendy Hollywoodu. - Szybko zmienił temat. - I lubię stare domy. Pewnie nie wiesz, ale najpierw studiowałem architekturę, a dopiero potem przenieśliem się na prawo.

Nie uwierzyła mu.

- Skończyłam architekturę w Princeton - powiedziała tytułem ostrzeżenia.

- Wiem. - Coltrane się uśmiechnął. - Możesz mnie przeegzaminować. Na pewno uważasz, że kłamię lub coś ukrywam.

Otóż, nie. Niestety, jestem prawdomównym człowiekiem. - Rozłożył ręce.

- Szczerze wątpię - mruknęła Jilly - ale widzę, że nie pójdziesz sobie, dopóki nie oprowadzę cię po domu.

- Bystra jesteś. - Uśmiechnął się łobuzersko. - I wiesz co? Bardzo bym chciał poznać twoją siostrę. - Był zadowolony, że udało mu się powiedzieć to aż tak obojętnym tonem.

- Po co? - teraz Jilly zaniepokoiła się naprawdę.

- Z ciekawości. Jestem szefem prawników twojego ojca i mam do czynienia ze wszystkimi prawnymi sprawami waszej rodziny. Od twojego rozvodu poczynając, poprzez wypadek samochodowy Deana aż po rozmaite... sprawki Rachel-Ann.

- Przykro mi, ale to niemożliwe - powiedziała, choć wyraz zadowolenia na jej twarzy był widoczny na pierwszy rzut oka. - Przynajmniej nie dzisiaj. Rachel-Ann wyszła. Dean zresztą też, choć to pewnie nie bardzo cię obchodzi.

- A więc jesteśmy sami - ucieszył się Coltrane. - Wobec tego rzeczywiście lepiej zostaniemy w domu.

Tym razem Jilly ani się nie przestraszyła, ani nawet nie zdenerwowała.

- To zależy od tego, co rozumiesz, mówiąc „sami” i czy wierzysz w zjawy. Być może już słyszałeś, że w La Casa de Sombras mieszkają duchy. Wielu ludzi je widziało, chociaż ja osobiście nigdy. Na twoim miejscu starałabym się ich nie denerwować. Z duchami nigdy nic nie wiadomo.

- Na szczęście nie jestem bardzo denerwujący - stwierdził pogodnie. Chciał znowu zobaczyć niedowierzanie, malujące się na jej twarzy.

- Dobrze - westchnęła zrezygnowana Jilly. - Oprowadzę cię. po domu, a potem pogadamy.

Chciała się go pozbyć, choć nie bardzo wiedziała, dlaczego. Był czarujący i większość kobiet na pewno byłaby nim zachwycona. Jilly także była pod jego wrażeniem - jak królik zahipnotyzowany przez węża. Wprawdzie nie była w stanie zobaczyć duchów, ale intuicja rzadko ją myliła.

Coltrane nie wierzył w duchy. Kiedy był mały, miał nadzieję, że przyjdzie do niego kiedyś mama. Lecz jego mama nie kontaktowała się ze światem żywych. Gdyby było inaczej, już dawno by o tym wiedział.

Mama na pewno spoczywała w spokoju, mimo że umarła gwałtowną śmiercią. Niespokojnym duchem był on, wciąż szukający odpowiedzi, ciągle pragnący zemsty.

Jilly szła szybko szeroką, prowadzącą do domu aleją. Coltrane podążał za nią. Nie patrzył pod nogi, jego wzrok przykuwały zgrabne biodra przewodniczki.

Monotonnym głosem opowiadała historię willi, lecz Coltrane nie słuchał zbyt uważnie. Pozwalał, by słowa Jilly zapadały mu w pamięć, gdzie poczekają do chwili, gdy będzie wszystkich tych informacji potrzebował.

Dom został wybudowany przez braci Greene, był świadkiem eleganckich przyjęć, romantycznego morderstwa i potem samobójstwa, aż w końcu na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych stał się schroniskiem wędrownych hippisów.

Wszystko to Coltrane już dawno wiedział, natomiast Jilly nie miała pojęcia, że jej własny ojciec także należał do zamieszkującej tę posiadłość hippisowskiej komuny.

Słuchał jednym uchem, aż stanęli u stóp szerokich schodów, wiodących na olbrzymi taras. Przed nimi w zapadającym mroku majaczył legendarny dom.

Coltrane stanął jak wryty. Słowa Jilly stały się szumem bez sensu i znaczenia, przeszkadzały jak brzęczenie natrętnej muchy.

Kamienna poręcz kruszyła się. Spomiędzy marmurowych płyt wyrastały chwasty, sztukaterie były poobijane, a to, co z nich zostało, nosiło ślady zacieków. W pokrytym ceramiczną dachówką dachu brakowało wielu płytek, a stojące na tarasie meble ogrodowe były zardzewiałe i połamane. Dom wyglądał jak wielka księżna, którą los sprowadził na ulicę, odarł z godności i pełnej wyrafinowania elegancji. Czarodziejski zamek zaginionej księżniczki...

Coltrane wiedział już na pewno, że mama nie była jedyną osobą z jego rodziny, która mieszkała tutaj przed dziesiątkami lat.

Nagle uprzytomnił sobie, że Jilly przestała mówić. Oderwał wzrok od domu i spojrzał na nią. Patrzyła na niego zdumiona.

- Nie tak to sobie wyobrażałeś? - spytała. - Tak, wiem, strasznie to wygląda. Ledwie mi starcza pieniędzy, żeby dom całkiem nie

obrócił się w ruinę. Nie wiem, jak długo jeszcze dam radę go utrzymać.

- Nie wyglądasz na osobę, która łatwo przyznaje się do porażki - stwierdził z całkowitym spokojem.

Był zdumiony, że głos mu nawet nie zadrżał, że może w tej chwili mówić o sprawach, które ani trochę go nie obchodzą, że odkrycie, jakiego dokonał, jego psychika przyjmuje z takim spokojem.

- Jestem realistką, a nie idiotką.

Ona jest taką realistką, jak ja ministrantem, pomyślał.

Była niepoprawną optymistką, największą idealistką, jaką kiedykolwiek w życiu widział. Kochała wszystko, co nie miało szans. Na przykład stare domy Los Angeles. Zwłaszcza ten stary dom.

- Możemy wejść do środka? - zapytał. Właściwie spodziewał się, że mu odmówi, ale Jilly szybko skinęła głową. Poszła przodem, a Coltrane podążył za nią.

Musiał obejrzeć to miejsce dokładnie. Zwłaszcza teraz, kiedy już wiedział, że on także tu mieszkał. Przypomniawszy to sobie od razu, jak tylko zobaczył dom od strony tarasu.

Nikt mu tego nigdy nie powiedział. Utrzymywano go w przekonaniu, że pierwsze trzynaście lat swego życia spędził w Indianie. Nawet kiedy oglądał tamto zdjęcie w gazecie, uznał, że zrobiono je, zanim przyszedł na świat, zanim jego rodzice się poznali.

Jakże się pomylił! To tu mieszkał z roześmianą mamą, chociaż jego świadomość nie przechowała z tamtego okresu nawet cienia

wspomnień. Miał jednak dziwną, podświadomą pewność, że kiedyś, bardzo dawno temu, to miejsce było także jego domem.

Coś jeszcze go zaskoczyło. Zapach. Wszedł do środka i natychmiast poczuł dobrze znany, na zawsze zapamiętany z dzieciństwa zapach tego domu.

Był zadowolony, że Jilly idzie przed nim. Obawiaj się, że tym razem, mimo silnej woli i najszczerzych chęci nie zdołałby zaprezentować jej obojętnej miny.

Pamiętał ten hol, pamiętał wielkie kręcone schody. Szedł w milczeniu za Jilly, która początkowo opowiadała o domu znudzonym głosem, lecz stopniowo, wbrew jej woli, coraz cieplejszym, wypełniającym się jej niekłamana fascynacją.

Ona kocha ten dom, pomyślał Coltrane, kocha go miłością szczerą i prawdziwą. Miała wielkie serce. Kochała dom, kochała brata i kochała siostrę.

Jakże łatwo byłoby ją wykorzystać. Wystarczyło tylko zagrozić jednej z tych miłości, żeby zrobiła wszystko, czego się od niej zażąda.

Przechodzili przez gabinety, jadalnie, salony i pokoje śniadaniowe. Dom zdawał się nie mieć końca; jego budowniczowie nie liczyli się z kosztami. Tym bardziej zdumiewała jego pustka. Prawie nie było mebli; zaledwie kilka pamiętających czasy świetności, zniszczonych egzemplarzy.

- Aby urządzić wszystkie wnętrza, Brenda de Lorillard wynajęła cały zespół dekoratorów - opowiadała Jilly. - Niestety, był w tym gronie ktoś, kto pracował także dla Cecila B. DeMille'a. Dlatego

niektóre pomieszczenia bardziej przypominają dekoracje operowe aniżeli dom mieszkalny.

Miała rację. Wszystko było oszałamiającym, uroczym i chyba niepowtarzalnym kiczem. Od włoskich tapet poczynając, a na połączonych meblach kończąc. Olbrzymia kuchnia stanowiła istny pomnik niepraktyczności. Nie było tu nawet zmywarki do naczyń. Budynek nie posiadał też klimatyzacji, lecz mimo to panował tu przyjemny chłód. Być może z powodu duchów, o których wszyscy opowiadali.

- A co jest na górze? - spytał, gdy Jilly w końcu przestała mówić.

- Sypialnie - odparła.

- Gzy właśnie tam się to stało?

- Gdzie? - Jilly na moment straciła orientację. - Co takiego?

- Morderstwo i samobójstwo. A może w tym domu zdarzyło się więcej podobnych tragedii?

Coltrane wiedział, że tak właśnie było, Jilly natomiast żyła w nieświadomości. Tak przypuszczał.

- Zbrodnia wydarzyła się w głównej sypialni - Jilly wróciła do rzeczywistości. - Ale tam nie ma nic ciekawego do oglądania. Ślady krwi usunięto prawie pół wieku temu.

- Mimo to chciałbym ją zobaczyć.

- Przykro mi, ale to niemożliwe. - Głos Jilly stał się lodowaty. - Teraz to jest moja sypialnia i nie chcę, żeby pętali się po niej obcy faceci.

- Dlaczego?

- Lubię spokój.

- Ale nie przeszkadza ci, że śpisz w miejscu, w którym dokonano zbrodni? W miejscu, w którym straszy?

- Już ci mówiłam, że nie wierzę w duchy.

- Nie wierzysz czy tylko ich nie widzisz? Spojrzała na niego. Jej wzrok był naprawdę nieprzyjemny.

- Zaczynasz mnie męczyć.

- A ja zgłodniałem. Pokaż mi, gdzie popełniono morderstwo, a potem zabiorę cię do jakiegoś baru. Chyba że w międzyczasie zmienisz zdanie i zdecydujesz się na porządną restaurację.

- Nigdzie się z tobą nie wybieram - prychnęła.

- Skoro tak, to twój brat pójdzie na dno. Chyba że nauczy się pływać o własnych siłach.

Nie odezwała się ani słowem. Nie musiała. Jej spojrzenie było wystarczająco wymowne. Coltrane był doskonałym obserwatorem, a poza tym miał po mamie ten swój szczególny dar. Dlatego wiedział już, że Jilly reaguje na niego inaczej niż na większość ludzi.

Gwałtowniej. Był tego absolutnie pewien.

Szybko nauczył się nią sterować. Wiedział, jaką presję wytrzymuje, kiedy należy zwolnić uścisk, a kiedy całkiem się wycofać.

- Dobrze - powiedziała zrezygnowana. - Pozwolę ci rzucić okiem na pokój, w którym dokonano morderstwa, ale potem porozmawiamy.

Odwróciła się do niego plecami, poszła w stronę holu. Coltrane pokonywał po dwa stopnie naraz, aż zrównał się z Jilly.

Uspokoił się już. Teraz był ciekaw jej reakcji. Jakby chciał ją jeszcze lepiej poznać. Czyżby naprawdę mogła spokojnie spać w pokoju, w którym popełniono morderstwo? Czy rzeczywiście jej to nie przeszkadzało?

Poza tym był ciekaw, czy rozpozna ten pokój.

Na jego widok omal nie wybuchnął śmiechem. Klasyczny, choć już nieco staroświecki kicz robił przedziwne wrażenie; zarówno łoże w kształcie łabędzia, osłonięte przezroczystymi draperiami, jak i zaśmiecające pokój, stanowczo za duże meble, na przykład ogromna toaletka, której nikt nie używał.

Coltrane minął Jilly, wszedł do środka i spojrzał przez szklane drzwi na biegnący wzdłuż całego domu szeroki balkon i na wielki zarośnięty trawnik. Dostrzegł ukryty za drzewami prostokątny, ciemny zarys pokrytego lizajem butwiejących liści basenu i dreszcz przeszedł mu po plecach.

Odwrócił się i popatrzył na Jilly. Stała w progu, tam, gdzie ją zostawił, z założonymi rękami, z ponurym wyrazem twarzy.

- Jesteś pewna, że oni umarli tutaj? W tym łóżku?

- To powszechnie znany fakt. Hollywood uwielbia skandale, a ten był chyba najdokładniej opisany.

- Brenda de Lorillard zastrzeliła swego żonatego kochanka, a potem strzeliła do siebie. Dobrze pamiętam? -upewnił się Coltrane. - Czy wiadomo, dlaczego to zrobiła?

- Bo ja wiem? - Jilly wzruszyła ramionami. - Może już mu się znudziła. Z facetami nigdy nic nie wiadomo.

- Tak uważasz? - Uśmiechał się do niej, choć już nie tak ostentacyjnie.

Pomyślał, że ktoś wreszcie powinien nauczyć tę kobietę skutecznej samoobrony. Była odsłonięta i bezbronna, jak mały kociak. Syczała, drapała, ale można było z nią zrobić wszystko, co się chciało.

- Ile tu jeszcze jest sypialni? - spytał, chcąc zmienić temat.

- Siedem. Jedną zajmuje Rachel-Ann, a Dean ma swój apartament w skrzydle po drugiej stronie kuchni. Pozostałe są zamknięte.

A więc było tu mnóstwo miejsca. Nawet gdyby Rachel-Ann nie zechciała go zakwaterować u siebie.

- Już zobaczyłem, co chciałem. - Uśmiechnął się leciutko. - Teraz chodźmy poszukać czegoś do jedzenia.

Jilly stała nieporuszona i patrzyła na niego przez całą przestrzeń pokoju.

- Nie lubię cię - powiedziała nagle. - I nie ufam ci.

- Wiem - odparł z nieoczekiwaną delikatnością.

- Podaj mi jeden powód, dla którego powinnam ci ufać.

- Żaden nie przychodzi mi do głowy.

- Pomożesz mi?

Kłamstwo było jego drugą naturą, dlatego nie zawahał - się nawet na ułamek sekundy.

- Tak - powiedział. .

Miał wrażenie, że tym razem jednak dała się nabrać, że popełniła ten straszny błąd i naprawdę mu uwierzyła.

Scandalous

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na niebie pojawiły się lawendowe i pomarańczowe pasma. Z powodu unoszącego się nad miastem gęstego smogu zachód słońca nad Los Angeles prezentował się mało efektownie.

Jilly czekała na Coltrane'a, siedząc na schodach prowadzących do zaniedbanego ogrodu.

Co on tam tak długo robi? Powiedział, że musi skorzystać z toalety. Nie mogła mu przecież tego zabronić, nie mogła też czekać pod drzwiami łazienki. Nawet jeśli ta łazienka miała kafelki w różowe łabędzie i połączane krany.

Jilly poszła więc do kuchni, wyjęła z lodówki dwie butelki piwa i zaniósła je na taras:

Wcale nie chciała być grzeczna i gościnna. Po prostu miała interes do tego podstępnego drania, no i była potwornie zmęczona. Między innymi dlatego nie chciała iść do żadnej restauracji. Ale piwem mogła go poczęstować. To była zwyczajna uprzejmość.

Co on tam robi, zastanawiała się.

Pomyślała, że chyba zaczyna popadać w obsesję. Wiedziała z doświadczenia, aż za dobrze, dlaczego ludzi pokroju Coltrane'a interesowały takie ruiny jak La Casa.

Wreszcie się pojawił. Bez marynarki i krawata, z podwiniętymi rękawami koszuli. Jasne włosy miał potargane i wyglądał naprawdę bardzo interesująco. Jilly udała, że tego nie widzi. Popijała piwo prosto z butelki jak gdyby nigdy nic.

- Pewnie masz tylko jedno - stwierdził.

Bez słowa wręczyła mu drugą butelkę. Coltrane z niekłamaną przyjemnością wypił długi łyk chłodnego piwa. Patrzyła na jego szyję, na kapiące z oszronionego szkła krople wody, ale szybko odwróciła wzrok i zaczęła przyglądać się swojej na pół opróżnionej butelce, jakby nagle dostrzegła w niej coś niesłychanie interesującego.

- No więc, co zrobimy z tym twoim bratem? - spytał Coltrane, ugasiwszy pragnienie.

- Rozumiem, że twoja rezygnacja z pracy i powrót do Nowego Orleanu nie wchodzi w rachubę - upewniła się Jilly.

- Sprawdzałeś mnie - Coltrane był bardzo zadowolony z siebie. Tak bardzo, że Jilly pożałowała, że nie ugryzła się w język.

- Człowiek powinien znać swojego wroga.

- Nie jestem twoim wrogiem, Jilly - powiedział tak jakoś miękko i ten ton wcale do niego nie pasował.

- Każdy, kto zagraża mojemu bratu, jest moim wrogiem.

- Wobec tego musisz mieć całą armię wrogów. Twojemu bratu bardzo łatwo zagrozić - stwierdził Coltrane. - Dlaczego nie chcesz, żeby sam załatwiał swoje sprawy? Jeśli uważa, że ojciec go nie docenia, to powinien mu to powiedzieć.

- Jackson tylko na to czeka - mruknęła. - Jedno, co miałby mu do powiedzenia, to żeby przestał jęczeć.

- Dean rzeczywiście bez przerwy narzeka - zauważył Coltrane, Znow spojrziała na niego. Siedziała w pewnym sensie u jego stóp, co może nie było zbyt dobre w tej sytuacji, ale nie zamierzała

zmieniać miejsca, ponieważ nie chciała także, żeby siedział obok niej. Chciała, żeby się trzymał z daleka.

- Zrozum wreszcie, że nie dasz rady go uratować -mówił Coltrane- - Musi wreszcie wstać od komputera i zacząć samodzielnie sobie radzić z własnym życiem.

- Oczywiście, że mogłabym mu pomóc, gdybyś tylko przestał... Gdybyś przestał.... - Jilly nie wiedziała, jak to powiedzieć. To znaczy wiedziała, tylko nie bardzo chciało jej to przejść przez gardło.

- Gdybym co przestał? - Bardzo go zaciekała.

- Gdybyś przestał być takim chodzącym ideałem i czasem coś schrzanił. Trudno jest współzawodniczyć z takim cudownym dzieckiem.

Coltrane wpatrywał się w dawno nie strzyżony trawnik.

- Uważasz więc, że powinienem być trochę mniej cudowny. - Spojrzał na nią z góry. - Czego ty naprawdę ode mnie oczekujesz? Mam zwać z kasą Meyer Enterprises? Obawiam się, że to akurat jest niemożliwe, ale poza tym jestem do twojej dyspozycji. Chcesz, żeby ojciec dał Deanowi do załatwienia jakąś ważną transakcję? W każdej chwili mogę mu powiedzieć, że mam za dużo pracy i potrzebuję pomocnika. Potrafię mu nawet wmówić, że nikt nie nadaje się do tego lepiej niż twój brat. Nie ma sprawy, umiem kłamać jak z nut.

- Nie jesteś zbyt miły;

- Nie, ale za to zamówiłem coś do jedzenia. Niedaleko stąd jest knajpka, gdzie robią fantastyczną pizzę. Zamówiłem dużą, na wypadek, gdyby twoja siostra wcześniej wróciła do domu.

Jilly znów poczuła się nieswojo.

- Dlaczego tak cię interesuje moja siostra?

- Już ci mówiłem, że dużo o niej słyszałem.

- Połową to wierutne kłamstwa. Poza tym nie lubię pizzy.

- Nie umiesz kłamać. Nie tak dobrze jak ja. Rzeczywiście, Jilly nigdy nie umiała kłamać. Mimo to brnęła dalej.

- Chyba rzeczywiście już cię nie potrzebuję - powiedziała. - Ale nie sądz, że mi nie pomogłeś. Masz rację. Dean powinien się postawić Jacksonowi.

- Na pewno, tylko nie wiem, co by mu z tego przyszło. -

Coltrane wzruszył ramionami. - Tobie to pomogło?

- Skąd wiesz, że się postawiłam?

Coltrane tylko się uśmiechnął. Dopił piwo, pustą butelkę postawił na kamiennej poręczy.

- Pomogło ci? - powtórzył pytanie.

- Nie. Jackson lubi tylko potulne dzieci.

- Dean jest bardziej potulny, a mimo to Jackson za nim nie przepada - stwierdził Coltrane. - O, jest już nasza pizza.

Jilly wprawdzie nie zauważyła nadchodzącego ścieżką młodego mężczyzny, ale doleciał ją aromat sera i sosu pomidorowego. Nagłe poczuła, że jest strasznie głodna.

Zanim Coltrane zapłacił za pizzę, Jilly zdołała opanować dojmujące uczucie głodu, choć kosztowało ją to wiele wysiłku.

- Prawdziwa włoska pizza - zachwalał Coltrane, podsuwając jej pod nos pudełko. - Bez żadnych szprotek, brokułów i bez okruszyny

tofu czy innego koziego sera. Masz pojęcie, jak trudno dziś o taki przysmak?

Walka stawała się coraz bardziej dramatyczna. Jilly potrafiła się oprzeć każdemu facetowi, nawet tak przystojnemu i czarującemu jak Coltrane, ale prawdziwa pizza to całkiem inna sprawa.

- Nie jestem głodna - zapewniła słabym głosem.

- Rozumiem. - Uśmiechnął się łobuzersko. - Zresztą muszę już iść.

Niewiele brakowało, a Jilly upuściłaby pustą butelkę po piwie.

- Iść? - powtórzyła jak echo, zupełnie bez sensu.

- Wiem, że to dla ciebie straszny cios, ale naprawdę nie mogę zostać dłużej. Obowiązki wzywają. A o twojej rodzinie pogadamy innym razem. Może twoja siostra wymyśli jakiś sposób, żebyśmy mogli pomóc Deanowi. Pizzę zostawię. Jeśli ty jej nie zjesz, to może zasmakuje twoim duchom.

- Wątpię.

- Może jednak zdecydujesz się spróbować. Czy choć raz w całym swoim eleganckim życiu jadłaś prawdziwą, naprawdę dobrą włoską pizzę? - Kpił z niej, ale bardzo delikatnie.

- Studiowałam w Princeton - przypomniała mu Jilly. - W New Jersey też mają świetną pizzę.

- Skąd wiesz? Przecież jej nie lubisz. - Położył pudełko na schodku obok Jilly. - Zastanów się nad tym, co powiedziałem. Twój brat będzie musiał zacząć sam dbać o siebie wcześniej czy później. Czy on cię w ogóle prosił, żebyś poszła do ojca w jego sprawie?

- Otwarcie nie, ale...

- A więc mam rację. Wcale nie chce, żebyś się wtrącała w jego sprawy. Im bardziej starasz się coś mu załatwić, tym gorzej wszystko się układa.

- To nieprawda! - próbowała się bronić, lecz Coltrane nie zwracał na nią uwagi.

- Jeśli będziesz mnie potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać.

Odwrócił się, zszedł ze schodów i zwirowaną ścieżką skierował się w stronę garażu.

Jilly poczekała, aż ucichną jego kroki, a potem odgłos odjeżdżającego samochodu. Czekalaby jeszcze dłużej, ale zapach sera i salami był stanowczo zbyt kuszący.

I co ja biedna mogę przeciwko siłom zła, pomyślała, delektując się wyśmienitą pizzą. Ten cały Coltrane miał rację. Pizza jest rewelacyjna.

- Co jesz?

Jilly aż podskoczyła. Obok niej stała Rachel-Ann, jej własna ukochana siostra. Błada, smutna i piękna, o cudownych rudych włosach i wielkich, zielonych oczach.

- Pizzę - odpowiedziała Jilly z pełnymi ustami. - Od wieków nie jadłam takiej pysznej pizzy. Poczęstuj się. . .

- Nie jestem głodna. - Rachel-Ann usiadła na schodach obok Jilly. Wzięła jednak kawałek i długo mu się przyglądała, jakby tam właśnie znajdowało się wyjaśnienie wszystkich zagadek wszechświata. - Zresztą jestem wegetarianką.

- To zdejmij salami. Ja zjem - zaproponowała wspaniałomyślnie Jilly.

- Skąd to masz? - Rachel-Ann zdejmowała plasterki salami i wrzucała je do pudełka. - Nigdy nie zamawiasz jedzenia do domu. Jesteś na to zbyt oszczędna

Jilly nie fatygowała się nawet, żeby sprostować, że jej skąpstwo czy też oszczędność, jak to ładnie ujęła Rachel-Ann, zostały na niej brutalnie wymuszone.

Zgodnie ze skomplikowanymi postanowieniami ostatniej woli Julii Meyer, trójka rodzeństwa otrzymała La Casa de Sombras jako współwłasność na jednakowych warunkach. Wraz z tytułem własności każde z nich otrzymało taką samą ilość gotówki z przeznaczeniem na utrzymanie domu.

Rachel-Ann wydała swoje pieniądze w rekordowo krótkim czasie - kokaina sporo kosztuje. Jilly nie miała pojęcia, ile pieniędzy zostało Deanowi, choć przypuszczała, że niewiele. W każdym razie ani brat, ani siostra nigdy nie dołożyli złamanego centa do olbrzymich kosztów utrzymania starego domu.

- To pamiątka po moich szkockich przodkach - zażartowała. - Zresztą zapłaciłam za pizzę nie ja, tylko to nowe cudowne dziecko Jacksona.

- Był tutaj? - Rachel-Ann z apetytem pochłaniała swój kawałek pizzy. Na chwilę zamknęła oczy z rozkoszy. - Czy naprawdę jest taki przystojny, jak mówią? -zainteresowała się.

- No.

- Sypiasz z nim? - Rachel-Ann przejawiała niezwykłą dla niej ciekawość.

- Nie. Wszystkie noce spędzam w domu, sama. Zauważyłabyś, gdybym miała romans.

- Nie zwracam zbyt wielkiej uwagi na te sprawy -stwierdziła Rachel-Ann, sięgając po drugi kawałek.

Jilly musiała jej przyznać rację, Siostra była tak zamknięta w swoim tajemniczym świecie, że ledwie zauważała, czy na dworze świeci słońce, czy pada deszcz. Ludzie zupełnie jej nie obchodzili.

- Pycha - mruknęła. - Jeśli ty nie sypiasz z facetem, który potrafi zdobyć taką fantastyczną pizzę, to może ja się z nim prześpię.

Z jakiegoś powodu Jilly uznała, że to nie jest dobry pomysł. Rachel-Ann zmieniała mężczyzn jak rękawiczki. Wprawdzie od powrotu ze szpitala była sama, ale ta sytuacja nie mogła trwać wiecznie. Coltrane na pewno był mniej niebezpieczny niż większość facetów, z którymi Rachel-Ann zazwyczaj się zadawała. Nie był ani handlarzem narkotyków, ani narkomanem, nie był też alkoholikiem, a w każdym razie nie wyglądał na żadnego z nich.

- To nie jest dobry pomysł, Rachel-Ann - powiedziała z udaną obojętnością. Była pewna, że siostra nie wyczuje jej fałszu. - Moim zdaniem on jest niebezpieczny.

W oczach Rachel-Ann zaśniły dawne iskierki i Jilly pomyślała, że nie należało tego mówić.

- Niebezpieczny, przystojny i przynosi pizzę? Naprawdę, trudno mu się oprzeć.

- Oprzyj mu się - poradziła ponuro Jilly. Rachel-Ann lubiła mężczyzn, a Coltrane na pewno chciałby ją mieć, podobnie zresztą jak większość mężczyzn. Przecież już się nią interesował, chociaż ani razu jej nie widział. Nietrudno było zgadnąć, dlaczego.

Wszyscy wiedzieli, że Rachel-Ann była ukochanym dzieckiem Jacksona. Dla ambitnego, młodego mężczyzny była to duża szansa. Jackson nie był zadowolony z własnego syna, więc łatwo zaakceptowałby sprytnego i oddanego zięcia, który kiedyś odziedziczy po nim firmę.

Rachel-Ann była słodka, piękna i zupełnie bezbronna. Bez trudu można było nią manipulować. Jackson robił to od lat.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby się oprzeć - Rachel-Ann się uśmiechnęła. - Jest bardzo przystojny?

- Za bardzo - mruknęła Jilly. - Ale nie chcę o nim rozmawiać ani nawet myśleć. Jeśli będę miała w tej sprawie coś do powiedzenia, to jego noga nigdy więcej nie postanie w La Casa. A pizzę możemy sobie zamówić same. Na pudełku jest numer telefonu. Nawet takie skąpi-radło jak ja czasami ulega słabościom.

Rachel-Ann uśmiechnęła się obojętnie. Jilly poczuła skurcz w sercu.

- Może pójdziemy na górę i obejrzymy sobie jakiś stary film - zaproponowała. - Pamiętasz, kiedyś często to robiłyśmy? Może jakiś kiczowaty, romantyczny wy-ciskacz łez?

- Nie chce mi się płakać - powiedziała Rachel-Ann. - I na romanse też nie mam ochoty. A jeśli chodzi o kicz, to żyję w jego

otoczeniu od jakiegoś czasu i naprawdę nie uważam tego za przyjemność.

Wstała, taka szczuplutka, delikatna i pełna gracji. Jilly starała się ukryć rosnący niepokój. Bardzo bała się o siostrę.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić, kochanie? Rachel-Ann pokręciła głową i zniknęła we wnętrzu domu jak jeden z duchów, które podobno często widywała.

Jilly oparła głowę o kamienną poręcz i patrzyła w ślad za oddalającą się siostrą. W jednej sprawie Coltrane na pewno miał rację: powinna pozwolić rodzeństwu usamodzielnić się, kiedyś wreszcie muszą stanąć na własnych nogach, nauczyć się żyć o własnych siłach.

Lecz w tej chwili Rachel-Ann była tak bezbronna, że tylko jakiś bezduszny potwór mógłby ją zostawić własnemu losowi.

Rachel-Ann ostrożnie szła prosto przed siebie z wysoko podniesioną głową. Tak było najbezpieczniej. Nie patrzyła w górę, nie rozglądała się na boki.

Nigdy nie dostrzegła ich wprost przed sobą. Zawsze był to tylko jakiś ruch w ciemności, szept wśród wiatru, zapach perfum albo tureckiego tytoniu w domu, w którym nikt nie palił papierosów.

Duchy La Casa nie chciały jej zrobić krzywdy. Była tego absolutnie pewna. Ale miała w życiu tyle problemów, że nie starczało w nim miejsca na duchy.

Dawniej, kiedy była mała, widywała je często, a ich obecność nie przeszkadzała jej. Ale przez kilka ostatnich lat coraz trudniej znosiła ich spojrzenia, wypowiedane ledwie słyszalnym szeptem

komentarze. Widok ich przezroczystych, bladych twarzy, na których malowało się współczucie, także stawał się dla niej nie do zniesienia.

Oni są martwi, powtarzała sobie. Są wymysłem mojej zniszczonej przez narkotyki, nazbyt rozbudzonej wyobraźni. Brenda de Lorillard i Ted Hughes zmarli prawie pół wieku temu. Nie wałęsają się po La Casa, nie patrzą na mnie.

Im była bliżej swego pokoju, tym szybciej szła. Dopadła drzwi, prawie biegnąc, zatrzasnęła je za sobą i oparła się o nie plecami, usiłując opanować nerwowe drżenie. Była bezpieczna.

Duchy nigdy nie wchodziły do jej pokoju, mimo że nie było tam ani warkoczy czosnku, ani żadnego krucyfiks. Nie wiedzieć czemu, było to jedyne miejsce, w którym nigdy ich nie widziała.

Nie miała pojęcia, dlaczego tak jest i, szczerze mówiąc, nie była ciekawa. Najważniejsze, że tutaj wreszcie mogła odetchnąć.

Włączyła telewizor. Zawsze był nastawiony na Weather Channel, program, gdzie mówiono wyłącznie o pogodzie i jej anomaliach, ale za to na całym świecie.

Rachel-Ann rozebrała się i położyła na swoim zwyczajnym łóżku. Kiedy była w szpitalu, Jilly zabrała stąd stare, ogromne łoże i gdzieś je wywiozła, a może kazała spalić. Dobrze zrobiła. Razem z mm zniknęły wspomnienia, rozwiały się w niepamięci tabuny bezimiennych facetów, którzy się przez nie przewinęli. No i nie było ani śladu krwi.

Popatrzyła na blizny na przegubie dłoni.

Mogłabym się w końcu nauczyć, jak się to robi, pomyślała. Dlaczego nigdy nie mogę zrobić tego porządnie. Tyle zamieszania... A przecież wystarczyłoby raz a dobrze, i byłoby po kłopotach...

Ojciec życzył sobie, żeby poddała się operacji plastycznej i usunęła blizny. Rachel-Ann uparcie odmawiała i ta jedna, jedyna odmowa, na jaką było ją stać wobec ojca, była jakimś niewielkim przyczółkiem jej niezależności. Tylko te blizny...

Lubiła je. Dla niej nie były piętnem klęski, lecz symbolem zwycięstwa; były historią jej życia, mówiły o tym, kim była, przez co przeszła i ile wycierpiała. Nie mogłaby się ich pozbyć. Miała nadzieję, że już nigdy nie doprowadzi się do stanu, w którym doda do nich następne. Chyba że byłby to ostatni raz. A raczej - ostateczny.

Właśnie zaczął się sezon huraganów. Reporterzy Weather Channel mówili przyciszonymi, pełnymi podziwu głosami o niszczącej sile huraganu Daria. Głupie imię dla huraganu. Rachel-Ann przypominało imiona postaci z „Łobuziaków”, czarno-białego serialu o przedwcześnie dojrzałych dzieciach.

W skupieniu obserwowała ekran telewizora. Nie miała pieniędzy, ale po co pieniądze, jeśli ma karty kredytowe i jeśli zadłużenie tych kart jest systematycznie i terminowo spłacane. Taką kartą można by zapłacić za bilet i polecieć w sam środek huraganu. Tego o śmiesznym imieniu albo jakiegoś innego.

Rachel-Ann marzyła o tym, żeby na własnej skórze poczuć siłę wichury, żeby otoczył ją ulewny deszcz i porywisty wiatr. I żeby w tym szalejącym wichrze stanąć nago z rękami wyciągniętymi do

nieba, a fale oceanu wspinałyby się coraz wyżej, zgarniając wszystko, co im stanie na drodze...

Ale była zbyt zmęczona, żeby dokądkolwiek lecieć, jechać, czy nawet iść. Zmęczona spotkaniami, na których wszyscy wygłaszali banały bez głębszego sensu.

Zbliźmy się do Boga! Niech Bóg ma 'nas w opiece.

A jeśli Boga nie ma? Albo uznał, że nic nie jesteś wart i porzucił cię wiele lat temu, a wrócić do niego nie da się w żaden sposób?

Bóg, do którego Rachel-Ann modliła się w dzieciństwie, był bezkompromisowy i nigdy nie przebaczał. Rachel-Ann miała na sumieniu zbyt wiele ciężkich grzechów, by móc żywić choćby nadzieję na przebaczenie. Choćby cień nadziei.

Nie pomogło nawet to, że na dzisiejszym spotkaniu widziała Skye, która wyglądała na obrzydliwie szczęśliwą. Jakieś pięć lat temu były razem na odwyku. Rachel--Ann była pewna, że Skye nie wytrzyma, że przedawkuje. Jeśli nie następnym razem, to za rok lub dwa.

Ale Skye od pięciu lat była czysta i trzeźwa, zapewniała, że od wyjścia ze szpitala nie miała ani jednej wpadki, chyba że kłamała.

Przez tych pięć lat Rachel-Ann wracała na oddział aż trzy razy.

Oczywiście, ani przez chwilę nie myślała o Skye w kategoriach współzawodnictwa. Sukces koleżanki naprawdę bardzo ją cieszył, tylko...

Jeśli ktoś tak uzależniony jak Skye mógł zerwać z nałogiem, to dlaczego ja wciąż tułam się od szpitala do domu, potem do klubu i znów do szpitala, myślała Rachel-Ann. I tak w kółko, ciągle w kółko.

Spojrzała na ekran telewizora. Pokazywano, jak wichura wygina drzewa, jak łamie słupy telegraficzne...

Rachel-Ann zamknęła oczy, wtuliła twarz w poduszkę. Wciąż jeszcze miała w ustach smak pizzy. Zastanawiała się, czy nie powinna pójść do łazienki i z wymiotować. Bulimii pozbyła się już dziesięć lat temu, ale teraz nie była pewna, czy nie wolała bulimii od narkomanii.

Nic z tego, postanowiła. Ta pizza była zbyt dobra, żeby ją zmarnować. A, swoją drogą, ciekawe, co to za facet, ten, który ją zamówił. Może po prostu potrzebuję nowego faceta? Może przestałabym wtedy myśleć o tym, o czym nie powinnam? Dobrze by było znów mieć o kim myśleć i marzyć, być młodą, głupią i roztrzepaną.

Nie pamiętała, czy kiedykolwiek taka była. Młoda na pewno, ale głupia i roztrzepana? Chyba nie, a jeśli nawet, to bardzo krótko.

Znów zaczęła zauważać mężczyzn. Na razie tylko tych, którzy przychodzili na spotkania Anonimowych Alkoholików. A konkretnie jednego mężczyznę. Ciemnowłosa, zapewne Meksykanin, w pomiętym ubraniu. Miał taką miłą, wiecznie zmęczoną twarz.

Rachel-Ann zwróciła na niego uwagę, choć nie powinna. Wśród obowiązujących w grupach wsparcia AA zasad jedna stanowiła, że w pierwszym roku trzeźwości nie należy dokonywać żadnych

zasadniczych zmian. Żadnych nowych partnerów ani nowej pracy, żadnego nowego życia.

Jeśli trzeba przez rok być trzeźwym, zanim można będzie iść z kimś do łóżka, to lepiej od razu wstąpić do klasztoru, pomyślała wtedy Rachel-Ann.

Ten cały Coltrane na pewno nie uznawał żadnych reguł. Rachel-Ann miała przeczucie, że nie powinna się z nim zadawać. W każdym razie Jilly by się to nie spodobało.

W sprawach męsko-damskich Jilly zachowywała się jak zakonnica. Jej małżeństwo z Alanem Dunbarem tylko pogorszyło sprawę.

Alan był gnojkiem. Cholernie przystojnym, samolubnym, pozbawionym jakichkolwiek skrupułów gnojkiem. Bardziej w typie Rachel-Ann niż Jilly. Uważał się za namiętnego kochanka, podczas gdy akt płciowy w jego wykonaniu był dziełem rzeczywiście artystycznym, ale pozbawionym jakiegokolwiek czułości czy współodczuwania. Rachel-Ann bardzo to odpowiadało, za to Jilly czuła się traktowana przedmiotowo i wykorzystana.

Rachel-Ann nie miała pojęcia, czy Jilly wiedziała o jej romansie z Alanem, który trwał przez cały czas krótkiego małżeństwa jej siostry. Oczywiście, potem się dowiedziała. Rachel-Ann sama jej o wszystkim opowiedziała. Jeśli, rzecz jasna, można nazwać romansem szybkie zbliżenia, w których najprzyjemniejsze było to, że w każdej chwili mógł ich ktoś przyłapać.

Jilly jej przebaczyła, ponieważ bezgranicznie kochała siostrę. Na całym wielkim świecie była jedyną osobą, która naprawdę ją kochała.

Więc może jednak trzymać się z daleka od tego Coltrane'a, nawet jeśli rzeczywiście jest taki zabójczo przystojny, jak twierdzi Dean. Jilly jest mądra, na pewno go nie zechce, ale - nie wiedzieć czemu - nie chce też, żeby miał go ktokolwiek inny.

No więc niech tak będzie, postanowiła Rachel-Ann. Niewielka to pokuta za sypianie z mężem Jilly.

A zresztą, Jilly powiedziała, że jeśli to będzie od niej zależało, noga Coltrane'a nigdy więcej nie postanie w La Casa. A Jilly była uparta jak osioł. Można było mieć pewność, że ogień piekielny wygaśnie i diabłom zamarznie smoła w kotłach, nim ulubiony prawnik Jacksona ponownie przestąpi próg La Casa de Sombras.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Coltrane zamieszkał w La Casa de Sombras następnego dnia, zanim jeszcze Jilly zdążyła wrócić z pracy.

Zrzuciła buty już w holu, rozpuściła włosy i poszła do kuchni po mrożoną herbatę. Lodówka, która zwykle świeciła pustkami, tym razem była pełna.

Zanim Jilly dotarła na taras, zanim zobaczyła ubranego w garnitur z białego lnu Deana, zanim usłyszała, jak brat śmieje się z czegoś, co powiedział Coltrane, właściwie wiedziała już, co się stało.

- Co tu robisz? - spytała ostro, nie siląc się nawet na zwyczajowe powitanie.

- Co to za maniery, moja droga? - Dean rzucił jej gniewne spojrzenie. - Coltrane tutaj mieszka.

Dean zawsze był szarmancki. Zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn, zwłaszcza przystojnych. A ponieważ uważał Coltrane'a za wyjątkowo atrakcyjnego mężczyznę, traktował go z wyjątkową atencją.

Jeszcze wczoraj Jilly była pewna, że Coltrane'a to zupełnie nie interesuje, a tymczasem...

Właściwie nie powinno to mieć żadnego znaczenia, a jednak miało. I to wielkie. Tak wielkie, że nagle poczuła chłód wokół serca.

Usiadła na jednym z krzeseł. Miała nadzieję, że żaden z nich nie zauważył, jak bardzo jest roztrzęsiona, choć Coltrane uważnie ją obserwował.

- Nie wiedziałam, że jesteście parą - powiedziała starając się, by zabrzmiało to obojętnie.

- Nie jesteśmy parą, kochana. - Dean sprawiał wrażenie raczej rozbawionego niż obrażonego. Jakimś cudem tym razem nie miał pretensji do świata ani w ogóle do nikogo. - W mieszkaniu Coltrane'a wybuchł pożar, więc Jackson zaproponował, żeby Zamieszkał u nas przez tych kilka tygodni, zanim skończy się tam remont. Chyba nie masz nic przeciwko temu? W naszym domu jest aż za dużo wolnego miejsca.

Owszem, miała coś przeciwko temu. Ale w głębi ducha odczuła ulgę. Coltrane'a zignorowała całkowicie.

- Miejsca rzeczywiście mamy dużo - stwierdziła - ale dom jest w strasznym stanie. Nie wiem, czy w którymkolwiek z pustych pomieszczeń w ogóle da się mieszkać.

- Coltrane już sobie znalazł pokój na końcu korytarza, ten, który wygląda, jakby był pod wodą.

- Pokój Morski - powiedziała Jilly. - Nie zdziwiłabym się, gdyby przez ten czas wyrosły tam wodorosty. Dach przecieka co najmniej w trzech miejscach.

- W Los Angeles nigdy nie pada deszcz. A jeśli przypadkiem spadnie, nasz gość zejdzie na dół i prześpi się ze mną. - Dean spojrzał tęsknie na Coltrane'a.

- Nie wiem, dlaczego uparł się mieszkać akurat tutaj - mówiła Jilly, w dalszym ciągu ignorując Coltrane'a, który przecież cały czas

był z nimi na tarasie. - Jackson płaci mu kupę forsy. Może sobie wynająć każde mieszkanie, jakie...

- Jackson rzeczywiście płaci mi kupę forsy - wpadł jej w słowo Coltrane. - Ale widzisz, razem z Deanem mam przeprowadzić pewną ważną transakcję. Uznałem, że będzie wygodniej, jeśli zamieszkamy pod jednym dachem.

-Ten dom jest tak samo twój jak i mój, Jilly - przypomniał jej Dean. - Nie widzę powodu, dla którego to właśnie ty miałabyś decydować o tym, kto tutaj zamieszka, a kto nie. Zawsze narzekasz na brak pieniędzy, a Coltrane może nam pomóc. Przypuszczam, że Rachel--Ann się ze mną zgodzi. Właśnie opowiadałem o niej Coltrane'owi. Jest zachwycony.

Znowu Rachel-Ann! Jilly poczuła się dziwnie. Siedziała bez ruchu, próbując odgadnąć, co to uczucie oznacza.

Dlaczego myśl o Coltranie i Rachel-Ann jest dla mnie tak samo nieprzyjemna jak myśl o Coltranie i Deanie? Czyżbym była zazdrosna i naprawdę miała aż tak źle w głowie, że interesuje mnie tego rodzaju mężczyzna? Czyżby nauczka, jaką dostałam od Alana, nie była wystarczająca?

A jednak Coltrane bardzo różnił się od Alana. Był o wiele bardziej niebezpieczny.

- Rachel-Ann nie może się w tej chwili z nikim wiązać - powiedziała chłodno.

- Nie uważasz, że ona sama powinna o tym zdecydować, kochana? Co cię to obchodzi?

To takie typowe dla Deana, pomyślała Jilly. Tylko on może mnie tak potraktować w obecności obcego faceta.

Skoro rodzony brat torpedował wszystkie jej wysiłki, nie miała innego wyjścia i musiała wreszcie zauważyć" Coltrane'a...

- Uważam, że byłoby ci wygodniej w jakimś bardziej nowoczesnym miejscu - zwróciła się do niego, choć sprawa była właściwie beznadziejna.

- Podoba mi się tutaj. Ten dom ma charakter. Oczywiście, dołożę się do jego utrzymania.

- Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

- Podobno dach przecieka.

- Wątpię, żebyś był skłonny zapłacić za mieszkanie aż tyle.

- Nigdy nic nie wiadomo. Potrafię być bardzo hojny. Miał wyraziście zielone oczy, bardzo niebezpieczne zielone oczy. Jilly zdawały się znajome, a przecież nigdy w życiu nie była związana z żadnym zielonookim mężczyzną.

- Jak już wspominałem - ciągnął Coltrane - muszę przekazać Deanowi kilku bardzo ważnych klientów. Dlatego dobrze by było, żebyś był w pobliżu na wypadek, gdyby chciał coś ze mną skonsultować. Mam nadzieję, że nie będzie ci to przeszkadzać.

Wiedział, że ma ją w garści. Oto dawał jej to, czego od niego oczekiwała: stworzył Deanowi możliwość zdobycia aprobaty ojca.

Coltrane uważał, że mimo wszystko sprawa jest beznadziejna. Jackson nigdy nie okazał uczucia żadnemu ze swoich dzieci oprócz

Rachel-Ann. No, ale trzeba było przynajmniej spróbować. Może jednak Deanowi uda się zwrócić na siebie uwagę ojca.

- Nie marudź, Jilly - skarcił ją Dean. - Przecież ciągle ktoś u nas mieszka. Dom jest paskudny, ale ogromny.

- Jest piękny! - zaprotestowała Jilly.

- Dobrze wiesz, że należałoby go zrównać z ziemią. Rozumiem, że gdyby to zależało od ciebie, ocaliłabyś każdą walącą się rudere, jaką kiedykolwiek postawiono w Dolinie San Fernando. Nie wiem, skąd u ciebie ten sentyment do staroci. Na pewno nie odziedziczyłaś go po naszym ojcu, ale po kim? Może po Edith?

- I co w tym złego? - obruszyła się Jilly. - Mama była dobrym człowiekiem, chociaż ty jej prawie nie pamiętasz.

- Jak mam ją pamiętać? Umarła, kiedy miałem osiem lat, a przedtem nigdy jej przy mnie nie było. A wszystko przez to, że nie potrafiła się postawić Jacksonowi. Chociaż na jej usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że nikt tego nie potrafił. Nikt oprócz ciebie.

- Zamknij się, z łaski swojej - powiedziała ostrzegawczo Jilly. - Nie jesteśmy sami.

- Wiem wszystko o waszej rodzinie - uspokoił ją Coltrane. - Na dobrą sprawę możesz mnie uważać za jednego z was.

- Zrobię jeszcze drinka - powiedział Dean wstając. - Tobie też, Zack?

- Nie, dzięki. - Coltrane odczekał, aż Dean zniknie w głębi domu, a potem zwrócił się do Jilly. - No, wal prosto z mostu.

Dlaczego nie chcesz, żebym tu zamieszkał? Nie jestem jadowity.

Jilly wybuchnęła niewesołym śmiechem.

- Może innych potrafisz o tym przekonać, ale mnie nie. Nie zapominaj, że jestem biologiczną córką Jacksona. Niełatwo mnie wyprowadzić w pole, a drania potrafię rozpoznać na kilometr.

- Myślisz, że jestem taki sam jak Jackson. - Jakoś nie podobało mu się to porównanie.

- Owszem, uważam, że jesteś dokładnie taki sam jak Jackson Meyer. Bezwzględny i ambitny. Nie dziwię się, że woli ciebie od własnego syna. Większość mężczyzn marzy o tym, żeby ich następca był do nich podobny. Nie udało mu się ani ze mną, ani z Deanem, ani z Rachel-Ann, więc rozejrzał się za kimś bardziej odpowiednim niż własne dzieci. Sam dobrze o tym wszystkim wiesz. Jesteś bardzo inteligentny. Nie myśl, że mnie oszukasz. - Zamilkła, przerażona własnym zachowaniem. Nauczono ją ukrywać prawdziwe uczucia za parawanem dobrego wychowania, a tymczasem Coltrane zerwał z niej tę maskę, i to bez żadnego wysiłku.

- Chyba rzeczywiście mnie nie lubisz powiedział po chwili, jakby jej wrogie nastawienie nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. - Dlaczego?

- Chcesz zniszczyć wszystko, co kocham. Zagrażasz mojemu bratu, stanowczo za bardzo interesujesz się moją siostrą i działasz mi

na nerwy. A teraz wdarłeś się do mojego domu. Nie wiem, jak się od ciebie uwolnić.

- Do twojego domu? - zdziwił się Coltrane. - Zdawało mi się, że należy do całej waszej trójki. Przynajmniej na razie.

- To prawda - przyznała ponuro.

Dom rzeczywiście należał do trójki rodzeństwa, ale kochała go tylko Jilly, tylko ona o niego dbała i łożyła na jego utrzymanie, ale to nie robiło z niej jedynej właścicielki, o czym Dean przed chwilą jej przypomniał.

Jednak najgorsze ze wszystkiego było to, że gdyby kiedyś opuścili La Casa de Sombras, posiadłość stanie się własnością Meyera, który tylko na to czeka, i wówczas ten stary dom przestanie istnieć.

- Może jednak zawrzemy rozejm - zaproponował Coltrane. - To wielki dom. Przy odrobinie szczęścia możemy się w ogóle nie widywać. Może nawet uda ci się zapomnieć, że tu mieszkam.

- Nie licz na to.

- Dlaczego? - chciał wiedzieć Coltrane. - Czemu tak bardzo ci przeszkadzam? A może nie tyle przeszkadzam, co wprawiam w zakłopotanie i...

- Nie oszukuj się - nie pozwoliła mu dokończyć. - Nie jesteś w moim typie.

- Oczywiście. Nie jestem długowłosym, pretensjonalnym skurwielem jak Alan Dunbar.

- Nie. Jesteś jasnowłosym, zachłannym skurwielem - odparowała bez namysłu Jilly. -1 radzę ci nie wierzyć we wszystko, co Jackson opowiada o moim byłym mężu.

- Nie muszę. Twojego byłego męża znam osobiście. Mam z nim do czynienia za każdym razem, kiedy próbuje wyciągnąć od Meyera forszę.

Jilly pobladła. Jakby dostała pięścią w żołądek.

Rozwiodła się z Alanem dwa i pół roku temu i myślała, że już nigdy nie poczuje tego piekącego bólu. I wcale nie chodziło o zdradę, tylko o jej własną, bezdenną głupotę.

- Spodziewam się, że nic nie dostaje - powiedziała podejrzanie chłodno.

- Zależy od tego, z czym przychodzi.. Masz zamiłowanie do dziwnych facetów. Czemu nie miałabyś tym razem wypróbować jasnowłosego, zachłannego skurwiela?

- Nie mam ochoty.

- Na co nie masz ochoty? - Dean wyszedł na taras i usadowił się na krześle naprzeciw Coltrane'a. - Coś przegapiłem?

- Jilly i ja zawarliśmy traktat pokojowy - powiedział Coltrane. - Pozwoli mi zostać pod warunkiem, że nie będę jej deptał po piętach.

- Nie ma potrzeby. - Dean się roześmiał. - Bez wątplenia to Jilly jest wilczycą alfa w naszym małym stadzie, ale poza tym panuje tu demokracja. Zgodziłem się, żebyś został, i Rachel-Ann też nie będzie miała nic przeciwko temu. Jilly jest w mniejszości, więc tym razem jej głos się nie liczy.

- Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz. - Coltrane przywołał go do porządku. - Skoro jest wilczycą alfa, to tylko jej zdanie liczy się naprawdę.

Ja chyba oszaleję, pomyślała zrozpaczona Jilly. Nie mam pojęcia, czego ta gnida ode mnie chce i czemu mnie broni. Skończy się na tym, że będę błagać Jacksona o litość, żeby tylko pozbyć się stąd tego faceta.

Problem w tym, że Jackson nie miał litości. Jilly wiedziała o tym prawie od zawsze.

Na szczęście nie musiała na niego liczyć. Ani na niego, ani na jego litość. Zwłaszcza w tej sprawie. Wystarczy, że Rachel-Ann wróci do domu, Coltrane natychmiast się w niej zakocha i przestanie się czepiać Jilly. Problem zostanie rozwiązany. Przynajmniej do czasu, aż Rachel--Ann znów zacznie pić i ćpać.

- Skoro już mówimy o wilkach, to może przypadkiem miałeś jakąś wiadomość od weterynarza? - Jilly zmieniła temat na taki, który naprawdę ją obchodził.

- A tak! - Dean dopiero teraz sobie przypomniał. -Możesz już zabrać Rufusa. Chociaż o tej porze jest już chyba za późno.

Jilly miała ochotę rzucić w niego szklanką. Musiała się bardzo postarać, żeby tego nie zrobić.

- Dawno dzwonili?

- Wczoraj.

- I dopiero teraz mi o tym mówisz?

- Bo dopiero teraz o to pytasz. Trzeba było spytać wczoraj.

Jakby zapomniał, że wczoraj była u Jacksona w jego własnej sprawie, a on nawet nie poczekał na jej powrót, tylko upił się do nieprzytomności. Jednak wołała mu o tym nie przypominać. Bała się, że w końcu wybuchnie.

- Może ktoś tam jeszcze będzie. - Jilly tak gwałtownie zerwała się z krzesła, że metalowy mebel przewrócił się z łoskotem. Zbiegła ze schodów, nie oglądając się za siebie.

- Kto to jest Rufus? - zapytał Coltrane.

- To jej wielki pies z piekła rodem. Kiedy ta bestia zacznie biegać po domu, to ty staniesz się prawie niewidzialny. Jak nasze duchy.

- Podobno te wasze duchy wcale nie są takie niewidzialne - mruknął Coltrane. - Co się stało psu? Miał operację?

- Nie mam pojęcia. - Dean się skrzywił. - Najważniejsze, że chociaż przez kilka dni nie było go w domu.

Dean nie lubił Rufusa. Za jego gabaryty, rodowód, a raczej jego brak, i w ogóle za to, że istniał.

Rufus był mieszańcem staroangielskiego psa pasterskiego z bernardynem oraz kilkoma innymi psimi rasami. Był ogromny, kudłaty i wesoły, gubił sierść jak wściekły i przy lada okazji warczał na Deana. Dean nie wpuszczał go do swoich sterylnych pokoi, a Rufus odmawiał wchodzenia tam. Chyba że przypadkiem miał ubłocone łapy.

Był psem bardzo inteligentnym, mimo że Dean twierdził coś wręcz przeciwnego.

Los jej sprzyjał. Przynajmniej ten jeden raz. Klinika doktora Parkera była jeszcze otwarta. Oczywiście Rufus był w siódmym niebie. Oblizał Jilly dokładnie, a potem pobiegł prosto do corvetty.

Gdy wrócili do domu, rangerovera już nie było. Jilly odetchnęła z ulgą, choć nie bardzo liczyła na to, że Coltrane wyniósł się stąd raz na zawsze. Musiała się uzbroić w cierpliwość. Nie można przecież żyć w stałej gotowości bojowej.

Rufus wyskoczył z auta. Zadowolony z siebie, znaczył wszystko po drodze, a zwłaszcza opony należące do Deana lexusa. Potem zniknął, poszczekując radośnie. Zwyczajem dobrego gospodarza musiał się rozejrzeć, czy podczas jego nieobecności nic się nie zmieniło i czy przypadkiem nie ma w pobliżu jakichś nieproszonych gości.

Zanim Jilly przygotowała jedzenie dla psa i dla siebie, zapadł zmierzch. Siedziała przy zniszczonym kuchennym stole, który pamiętał uczyty wielkich gwiazd, i jadła zimną pizzę, popijała mrożoną herbatą, a uszczęśliwiony Rufus leżał u jej stóp.

Wciąż jeszcze była trochę zdenerwowana. Żeby się uspokoić, zaczęła analizować, co złego może się wydarzyć nazajutrz. To był jej stary, bardzo skuteczny sposób na oswojenie strachu. Wynalazła go, kiedy jeszcze chodziła do szkoły - zawsze, leżąc w łóżku, zastanawiała się, jakie nowe nieszczęścia przyniesie jej nadchodzący dzień: który z nauczycieli zrobi jej awanturę, który się zorientuje, że nie odrobiła pracy domowej, i która przyjaciółka się na nią obrazi.

Jednak tym razem horyzont był czysty. Wszystko, co się miało stać, już się stało. Choćby to, że Coltrane wprowadził się do La Casa.

Mieszkanie z nim pod jednym dachem to jakiś koszmar, ale Jilly musiała mu oddać sprawiedliwość. Wprosił się do jej domu, ale w zamian zrobił dokładnie to, czego od niego chciała, i to bez żadnych nacisków z jej strony. Zmusił Meyera, by dał Deanowi odpowiedzialne zajęcie, i postanowił dopilnować, żeby Dean wywiązał się z zadania i znów nie schrzanił roboty.

Rachel-Ann kolejny dzień nie piła i nie ćpała, Rufus leżał tuż obok, pochrapując z cicha, a La Casa de Sombras na razie jeszcze się nie rozpadł. Życie nigdy nie było łatwe, a ten dzień mógł przynieść znacznie gorsze nieszczęścia niż jakiś tam Coltrane.

Jilly zdołała już wprowadzić się w całkiem niezły nastrój, gdy do kuchni weszła Rachel-Ann. Była blada i spięta, co u niej stanowiło widomą oznakę trzeźwości.

Jeszcze jeden dzień, jeszcze jedno zwycięstwo.

- Kto przyjechał? - spytała Rachel-Ann, nie siląc się na powitania.

Zatrzymała się na chwilę, żeby podrapać Rufusa za uchem. Pies uwielbiał ją co najmniej tak samo jak nienawidził Deana. Wywrócił się na grzbiet jak przerośnięty szczeniak, zadowolony, że ktoś chce się z nim bawić.

- Nie mam pojęcia - odparła Jilly zgodnie z prawdą, choć miała jak najgorsze przeczucia.

- Przed garażem stoi jakiś range-rover, a Dean rozmawia z kimś w jadalni. Słyszałam, jak się śmieją. Ma kogoś nowego?

- Nie on - mruknęła Jilly. A więc jednak przeczucie jej nie zawiodło. - My mamy.

- Jak to: „my”. Co to znaczy? - Rachel-Ann usiadła.

- Mam gościa. Podpalił swoje mieszkanie i teraz przez jakiś czas będzie mieszkał u nas.

- Fajny?

- Nie bądź dziecinna, Rachel-Ann - Jilly wzruszyła ramionami. - Nie jest w twoim typie.

- Wobec tego na pewno jest w typie Deana.

- Też nie. Jest za bardzo podobny do Jacksona. Założę się, że nie będziesz chciała mieć z nim nic wspólnego, choćby był nie wiem jaki przystojny.

- Przystojny? - zainteresowała się Rachel-Ann. Zawsze miała słabość do pięknych mężczyzn, pomyślała ponuro Jilly. Cholera! Do wszystkich mężczyzn.

- Nie będzie ci się podobał - mimo wszystko próbowała przekonać siostrę.

- A tobie się podoba? - Rachel-Ann wzięła z talerza ostatni kawałek pizzy.

- Jak ty w ogóle możesz mnie o coś takiego pytać?

- A czemu nie? - Rachel-Ann nie rozumiała i nawet nie próbowała zrozumieć. - Zostało jeszcze trochę pizzy?

- Nie, ale jak poprosisz Coltrane'a, na pewno zamówi ci następną.

- Ach, to ten! Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś? Przystojny facet, który wie, skąd się bierze dobrą pizzę, i którego lubi nasz tatuś - mruknęła Rachel-Ann. - Nic więcej mi do szczęścia nie trzeba.

Serce Jilly podskoczyło do gardła. Wszystkie nieszczęścia, jakie zaraz się wydarzą, stanęły jej przed oczami.

- Nie idziesz dziś na spotkanie? - spytała, żeby odwrócić uwagę siostry od nieproszonego gościa.

- Nic z tego, kochanie. - Rachel-Ann od razu ją przejrzała. - Byłam tam w południe. A teraz zamierzam odpocząć sobie w miłym towarzystwie.

Jilly usłyszała zbliżające się do kuchni radosne, męskie głosy. Już się nie denerwowała. Teraz była przerażona. Najchętniej zwałaby drugimi drzwiami, zabierając ze sobą Rachel-Ann.

Rufus uniósł łeb. Warknął ostrzegawczo, rozpoznawszy swego wroga. Nie cierpiał Deana. Jilly była pewna, że Coltrane'a też znienawidzi od pierwszego wejrzenia. W końcu był inteligentnym psem.

- Chodźmy na spacer - zaproponowała prędko. Rufus popatrzył na nią z nadzieją, ale tym razem nie o niego chodziło. Rachel-Ann, osoba, do której skierowana była propozycja, całkowicie ją zignorowała.

Wysunęła się zza stołu z błyskiem w oku.

- Chcę poznać tego faceta od pizzy - oświadczyła.

Jilly straciła wszelką nadzieję.

Nietrudno było rozpoznać ten błysk. Widziała go w oczach Rachel-Ann tyle razy. Pojawiał się zawsze, kiedy w pobliżu znajdował się przystojny mężczyzna. Właściwie nawet nie musiał być przystojny, byleby był mężczyzną.

Rachel-Ann była drobna, delikatna, prawie dziewczęca. Ale obecność mężczyzny powodowała, że podnosiła głowę, prostowała plecy, poprawiała wspaniałe złotoczerwone włosy, a w jej oczach zapalał się uwodzicielski blask. Przemiana dokonywała się w ciągu sekundy.

Tym razem było tak samo. Gdy Dean z Coltrane'em weszli do kuchni, Rachel-Ann promieniowała zmysłowością.

Jilly siedziała bez ruchu. Cóż mogła zrobić, ona, bezradny świadek gigantycznej katastrofy?

Coltrane trzymał w ręku butelkę piwa, jednym uchem słuchał jakieś anegdoty, którą mu Dean opowiadał, ale patrzył prosto na Jilly. Dopiero po chwili dostrzegł Rachel-Ann. Bijący od niej blask przykuł jego uwagę.

Dean zamilkł, w kuchni zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Rachel-Ann i Coltrane patrzyli na siebie. Oboje tak bardzo spięci, że prawie widać było iskrzenie powietrza.

Rufus też je wyczuł. Wstał, warknął cicho i w tym samym momencie butelka Coltrane'a uderzyła o podłogę, rozpryskując się na kawałki.

Rachel-Ann wiedziała, że robi wielkie wrażenie na mężczyznach. Była do tego przyzwyczajona. Zazwyczaj zaraz po pierwszej wymianie spojrzeń podkreślała wzmacniacz do oporu. Ale teraz stało się inaczej.

Jilly patrzyła zdumiona, jak jej piękna siostra zamyka się w sobie, jak paw z powrotem zamienia się w kanarka.

- Cześć - mruknęła Rachel-Ann.

Rufus warczał, Dean był rozdrażniony, a Coltrane miał taką minę, jakby w biały dzień na własne oczy zobaczył ducha.

Rachel-Ann często wywoływała u mężczyzn podobną reakcję, więc właściwie nie było w tym nic dziwnego. Dziwne było to, że tym razem mężczyzna nie wzbudził zainteresowania Rachel-Ann.

- Spokój - powiedziała Jilly do Rufusa. Tylko po to, by przerwać krępujące milczenie.

Pies posłusznie położył się z powrotem koło stołu, ale minę miał bardzo groźną.

- Dean - odezwała się Jilly nieswoim głosem -przedstaw sobie Coltrane'a i Rachel-Ann, a ja przyniosę coś na to potłuczone szkło.

Uciekła z kuchni. Nie chciała być świadkiem dziwnego spotkania swojej siostry z tym przystojnym łajdakiem. Chociaż z drugiej strony nie posiadała się z radości. Już nie musiała się bać o Rachel-Ann!

Kiedy wróciła z szufelką i zmiotką, było już po wszystkim. Napięcie minęło, Rachel-Ann śmiała się z jakiegoś żartu Deana, a

Coltrane siedział na miejscu Jilly i - co było po prostu zdumiewające - drapał Rufusa po wielkim łbie.

Jilly stała w miejscu i patrzyła, jak długie, piękne palce Coltrane'a drapią kark Rufusa. Nie wierzyła własnym oczom. A więc Rufus go zaakceptował, pomyślała. Niesłychane, ale przecież możliwe.

Rufusowi zdarzało się czasem polubić jakiegoś mężczyznę, choć niezbyt często. Nie cierpiał zarówno byłego męża Jilly, jak i jej ojca, co świadczyło o dobrym wyczuciu ludzkich charakterów. Widocznie stracił tę zdolność, skoro tak chętnie poddawał się pieścizotom Coltrane'a.

Jilly podeszła do miejsca, w którym powinna leżeć rozbita butelka, i zdziwiła się znowu. Szkło było uprzątnięte. A przecież, jak daleko Jilly sięgała pamięcią, żadne z jej rodzeństwa nigdy nie kiwnęło nawet palcem, żeby cokolwiek uprzątnąć.

- Wychodzę - niespodziewanie oświadczyła Rachel--Ann. Była niespokojna i nie mogła usiedzieć na miejscu. - Czy ktoś ma ochotę iść ze mną?

Jilly sądziła, że zaproszenie dotyczy Coltrane'a. Zapragnęła zepsuć im wieczór i powiedzieć, że ona też idzie, ale Dean ją uprzedził.

- Mieliliśmy dziś z Coltrane'em ciężki dzień - oznajmił. - A ty wyglądasz jak z krzyża zdjęta, maleńka. Mogłabyś choć raz położyć się wcześniej spać.

Rachel-Ann uśmiechnęła się niepewnie.

- Wydawało mi się, że całkiem nieźle wyglądam. Jak sądzisz, Coltrane?

To jawnie prowokacyjne pytanie zabrzmiało jednak jakby trochę nienaturalnie.

Coltrane spojrział na nią, ale z jego twarzy nie dało się niczego wyczytać. Na całym świecie nie było niczego, co by podkreślało Rachel-Ann bardziej niż obojętność mężczyzny.

- Fantastycznie - pochwalił, nie przestając głaskać Rufusa.

W końcu Jilly nie wytrzymała rosnącego znów napięcia.

- Nie wiem, jak wy, ale ja mam dosyć - powiedziała. - Chodź, Rufus. Pora spać.

Pstryknęła palcami, lecz pies się nie poruszył. Trwało to tylko moment, ale i tak było zupełnie niesłychane. A kiedy po chwili wstał i podszedł do Jilly, obejrzał się na Coltrane'a, jakby chciał sprawdzić, czy on także idzie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Było już bardzo późno, gdy Coltrane wreszcie znalazł się w swoim pokoju na tyłach domu. Przechodząc obok pokoju Jilly, wyobraził ją sobie śpiącą w łóżu o kształcie łabędzia.

Na pewno nie nosiła przezroczystej bielizny, w jakiej sypiały dawne gwiazdy filmowe. Przypuszczał, że spała w piżamie, zwinięta w kłębek z rękami oplecionymi wokół ciała, by chroniły ją przed wszelkim niebezpieczeństwem.

Pokój Rachel-Ann znajdował się tuż obok pokoju Jilly. Tam także panowała cisza, ale dlatego, że Rachel-Ann nie było. Wyszła zaraz po tym, jak Jilly oświadczyła, że idzie spać. Mimo pozorów zachęty w wygłoszonym zaproszeniu, widać było na pierwszy rzut oka, że nie chce, by ktokolwiek jej towarzyszył.

Coltrane zastanawiał się, czy wiedziała to, co on, czy знаła prawdę, która jego omal nie zwała z nóg.

Raczej niczego się nie domyślała. Nie miała żadnych danych, żeby zgadnąć, nie mogła nawet przypuszczać, że w ogóle istnieje taka możliwość. Miała tylko jakieś przeczucie i dlatego uciekła.

Zamknął za sobą drzwi, włączył światło.

Pokój znajdował się na samym końcu długiego korytarza, dlatego miał okna po dwóch stronach oraz duże oszklone drzwi, prowadzące na biegnący wzdłuż całego domu balkon. Ciemnozielone tapety odklejały się w kilku miejscach, a tam, gdzie trzymały się ściany mocno, brązowe zacieki od sączącej się przez dziurawy dach

wody znaczyły nieprzyjemne smugi. Wszystko to rzeczywiście sprawiało wrażenie, jakby wchodzący tu człowiek znajdował się pod wodą. Nie było to przyjemne uczucie, zwłaszcza że Coltrane nie przepadał za algami.

Łóżko nie nadawało się do użytku. Sprężyny były połamane, więc Coltrane ściągnął materac na podłogę, a rozpadającą się ramę łóżka postawił pionowo przy ścianie. Na koniec pootwierał wszystkie okna w nadziei, że balsamiczne powietrze nocy usunie wszechobecny zapach stęchlizny.

Pokój miał własną łazienkę. Toaleta działała, ale umywalka i wanna nie nadawały się nawet do naprawy.

Dean zaproponował, żeby Coltrane korzystał z łazienki którejś z siostr albo zszedł na dół do jego wspianego pokoju kąpielowego. Coltrane jednak odmówił. Nie odpowiadała mu zwłaszcza ostatnia propozycja.

Teraz, kiedy jeden z jego planów okazał się niewykonalny, musiał przemyśleć wszystko od nowa. Nie mógł dosięgnąć Meyera, krzywdząc Rachel-Ann, ale miał przecież jeszcze inne wyjście. Było co najmniej tak samo przyjemne i również nie wymagało sypiania z Deanem.

Skoro nie mogę się przespać z Rachel-Ann, to zajmę się drugą siostrą, pomyślał. Jilly coś do mnie czuje, chociaż nie chce się do tego przyznać. Nie będę tracić czasu, czekając, aż sama to sobie uświadomi.

Oparty plecami o ścianę, rozglądał się po pokoju. Dywan był podarty, a marmurowa posadzka popękana i poplamiona. Rano będzie na pewno piekielnie zimna. Na szczęście materac jest gruby i dobrze izoluje.

Większość jego odzieży przepadła w pożarze, ale z tym nie miał żadnego problemu. Już dzwonił do sklepu i zamówił, co trzeba. Nim to wszystko przyślą, zdezynfekuje i wywietrzy szafę. Nie przepadał za zapachem pleśni.

Podpalenie mieszkania okazało się łatwe, zwłaszcza dla człowieka tak wszechstronnie utalentowanego jak on.

Od dawna obserwował swoich sąsiadów i doskonale wiedział, kto w tym wytwornym budynku potajemnie pali papierosy.

W Los Angeles mniej naganne było bicie żony niż palenie papierosów, toteż jego sąsiedzi nawet we własnych mieszkaniach oddawali się swojemu nałogowi potajemnie. Przypadkowy pożar był niemal nie do uniknięcia. Naprawdę łatwo go było zaaranżować, choć realizacja planu była prawdziwym majstersztykiem.

Coltrane był całkowicie poza podejrzeniem. Kiedy wybuchł pożar, siedział w swoim biurze i nikomu do głowy nawet by nie przyszło, żeby powiązać to zdarzenie z jego osobą.

Reszta była prosta jak konstrukcja gwoźdza. Kilka niby nic nie znaczących uwag całkowicie wystarczyło, by zakwaterować się w La Casa de Sombras.

Tylko ofiara się zmieniła. Rachel-Ann Meyer była poza zasięgiem. Coltrane miał nadzieję, że pójdzie za głosem swojej

intuicji i będzie się trzymała od niego z daleka. Za nic na świecie nie chciał, żeby stało się inaczej. Sytuacja nagle się skomplikowała, i to w sposób, jakiego zupełnie się nie spodziewał.

Nie miał pościeli ani żadnego ręcznika. Nie sądził, że trzeba to wszystko przywieźć ze sobą.

Rozpiął koszulę, zdjął także buty, żeby móc poruszać się po domu, nie robiąc hałasu. Nie mógł usiedzieć w miejscu, ale teraz jego celem była Jilly, więc właśnie postanowił zaatakować. Nie będzie zachwycona, kiedy zobaczy go w progu swego pokoju bez koszuli, ale to nawet lepiej. Była nim zafascynowana wbrew swojej woli i Coltrane zamierzał to wykorzystać. Postanowił spędzić noc z Jilly. Może nawet tę noc. Miał na to wielką ochotę.

Z punktu widzenia planów Coltrane'a uwodzenie Jilly nie miało żadnego sensu. Dobranie się do Rachel-Ann, o, to co innego. Była jedynym czułym punktem Jacksona, jedyną osobą, jaką darzył uczuciem. Ale Jilly?

Nie musiał z nią sypiać, żeby dostać się do domu, ponieważ już tu był, a Jacksona ani trochę nie obchodziło, czy Coltrane ją uwiedzie, czy nie. Co więcej, dał mu nawet w tej sprawie swoje błogosławieństwo.

Jilly nie miała pojęcia o machinacjach finansowych swego ojca ani o jego mrocznej przeszłości, więc i z tego punktu widzenia była całkowicie bezużyteczna. Nie ulegało wątpliwości, że romans z Jilly nie przyniesie Coltrane'owi żadnych korzyści.

Ale zbliżenia z nią pragnął i tak. Bez żadnej ubocznej korzyści, wyłącznie dlatego, że miał na to ochotę. Dlatego, że patrzyła na niego tymi swoimi wielkimi oczami, wykrzywiła się zniecierpliwiona jego arogancją i trzymała się od niego tak daleko, jak tylko było to możliwe. Wszystko to razem wzięte bardzo go podniecało.

Ten romans mógł przynieść mu tylko jedną korzyść: istniała szansa, że siostra i brat uznają go za nietykalnego.

Chociaż i tu nadzieje były raczej płonne. Alan Dunbar od wielu miesięcy dostawał od Meyera spore pieniądze tylko za to, żeby nie opowiadał po świecie o szaleństwach Rachel-Ann. Wiedzę tę nabył, kiedy jeszcze był mężem Jilly. Rachel-Ann nie przejmowała się zbyt zasadami monogamii ani nawet siostrzanej lojalności. Przynajmniej wtedy, kiedy piła.

W każdym razie może choć trochę ochłodziłoby to jej zapały. A Coltrane'owi na pewno dałoby pretekst do trzymania się z dala zarówno od Deana, jak i od jego najstarszej siostry; taki pretekst, który ich nie obrazi, nie zrani ich wybujałej miłości własnej.

Byleby tylko Rachel-Ann nie zaczęła znów pić, bo gotowa jeszcze zaproponować trójkąt, pomyślał Coltrane. Wtedy nawet prawdziwy powód mojej wstrzemięźliwości nie zrobi na niej wielkiego wrażenia.

Wyszedł na mroczny korytarz. Większość żarówek była albo przepalona, albo potłuczona.

Zapukał do pokoju Jilly i uśmiechnął się, usłyszawszy przytłumione warczenie jej wielkiego psa.

Ze wszystkich mieszkańców tego dziwaczного domu najbardziej polubił Rufusa. Pies, jak to pies - nie kombinował, nie narzekał, brał świat takim jaki był i bez sprzeciwu przyjął do wiadomości, że w ich domu zamieszkał wąż.

Coltrane słyszał, jak pazury wielkich łap stukają o podłogę, jak głuche powarkiwanie przechodzi w radosne skomlenie na znak, że pies już rozpoznał, kto stoi po drugiej stronie drzwi.

Wystarczyło wiedzieć, w którym miejscu podrapać, żeby Rufus był cały mój, pomyślał zadowolony z siebie Coltrane. Ciekawe, czy Jilly też jest taka łatwa w obsłudze. Pewnie tak. Problem w tym, że najpierw trzeba się do niej w ogóle zbliżyć.

Zapukał ponownie. Rufus skomlał i coraz gwałtowniej drapał drzwi.

Coltrane usłyszał skrzypienie sprężyn. Wyobraził sobie, jak potargana, zaspana i niezadowolona Jilly podchodzi do drzwi. Tylko po to, żeby powiedzieć mu parę słów do słuchu. Biedna, nie ma pojęcia, co ją czeka.

Uchyliła drzwi i spojrzała na niego. Grube, brązowe włosy okalały jej twarz, sprawiając, że wyglądała jak mała dziewczynka. Nie miała na sobie piżamy.

Przez małą szparę w drzwiach widać było jej długie nogi i właściwie nic innego. Tyle że na tych nogach nie było spodni od piżamy. Były długie, nieziemsko zgrabne i całkiem gołe.

- Wynoś się - mruknęła rozespana.

Była wściekła, lecz Coltrane nie zamierzał tak łatwo się poddawać.

- Nie masz tu przypadkiem jakiegoś zapasowego ręcznika i pościeli? - spytał. - Ten stary materac do niczego się nie nadaje.

- Sam sobie jesteś winien. To nie Hilton. I nie mów, że cię nie uprzedzałam. - Powoli się budziła, choć było jasne, że nie ma na to zbyt wielkiej ochoty. - Zaczekaj, zaraz ci coś znajdę.

Chciała zamknąć mu drzwi przed nosem, lecz Rufus okazał się niezawodnym przyjacielem. Zresztą Coltrane od początku liczył na jego pomoc.

Olbrzymie psisko wyskoczyło zza drzwi i radośnie witało się z nocnym gościem. Rufus miał swoją własną, psią skalę ocen i nie przejmował się tym, że jego pani stoi półnaga przed całkiem obcym facetem.

Coltrane pochylony udawał, że zajmuje się wyłącznie psem, ale przy okazji oglądał sobie śliczne, długie nogi Jilly.

- Nie mam pojęcia, dlaczego cię polubił - powiedziała Jilly zgryźliwie. - Dotąd znał się na ludziach. Może , ten weterynarz coś mu zrobił z głową.

Coltrane spojrział w górę, ponad jej długie nogi i roześmiał się.

- Może zna się na ludziach lepiej niż ty - stwierdził. - Jeśli chodzi o mnie, to mam większe zaufanie do psów niż do ludzi.

Jilly patrzyła na niego tak, jakby rozważała możliwość, której dotąd nie brała pod uwagę.

- Ja też - mruknęła, nie spuszczać wzroku z Coltrane'a. A potem pokręciła głową, jakby sama siebie przekonała, że to absolutnie niemożliwe. - Nawet pies może się czasem pomylić.

- Tym bardziej uparta młoda kobieta - odparł Coltrane.

Teraz przyglądał się jej włosom. Gęsta kasztanowa fala sięgała do pasa.

Ciekawe, jak to jest, kiedy taka żywa fala całkiem człowieka przykryje, pomyślał. Muszę się przekonać, koniecznie.

- Pościel - przypomniał.

Nie dlatego, żeby patrzeć na nią nie sprawiało mu przyjemności, ale dlatego, że był już pewien, że dzisiaj nie pozwoli mu się do siebie zbliżyć. Jutro też chyba nie.

- Już idę - westchnęła zrezygnowana. Obejrzała się na swój ciemny pokój, zawahała się.

- Przyszedłem nie w porę? - Coltrane się wyprostował, ale nie przestał drapać Rufusa za uchem. - Nie wiedziałem, że nie jesteś sama.

- Jestem sama - warknęła przez zaciśnięte zęby.

- Nie musisz się z tego powodu wściekać. Bardzo chemie dotrzymam ci towarzystwa.

- Jak śnieg spadnie w Los Angeles - powiedziała ponuro. - Zastanawiałam się tylko, czy mam tu gdzieś jakiś szlafrok.

- Przysięgam, że się na ciebie nie rzucę. Zresztą jesteś bardziej ubrana niż na plaży. Znajdź mi tylko jakąś pościel i dam ci spokój.

- Obiecanki cacanki - mruknęła.

Minęła go i poszła korytarzem w kierunku jego sypialni. Rufus pobiegł za nią.

Coltrane trochę żałował, że tej nocy nic nie wskóra. Miał jednak nadzieję, że nie będzie musiał nad tym zbyt długo pracować, zwłaszcza że nie dostanie nic w zamian. Niestety, paskudnie się przeliczył.

Gdyby miał choć odrobinę rozumu, poszukałby sobie jakiejś normalnej dziewczyny. Lubił jednak ryzyko, a myśl o oplatających go długich nogach Jilly, o jej włosach wijących się wokół niego, sprawiała mu wielką przyjemność.

Zniknęła za jakimiś drzwiami, których wcześniej nie zauważył, i po chwili pojawiła się z naręczem prześcieradeł i ręczników.

- Tam jest tylko jedno łóżko - powiedział rozbawiony, gdy wręczyła mu całą tę stertę.

- W tym domu wszystko się rozpada. Niektóre z tych prześcieradeł pochodzą z lat czterdziestych, inne z pięćdziesiątych. Będziesz miał szczęście, jeśli nie rozejdą ci się w rękach.

- A ty czym powlekasz swoją pościel?

- Najdroższą egipską bawełną, ale nie licz na to, że się z tobą nią podzielę - warknęła. - Jak ci się te prześcieradła nie podobają, to kup sobie lepsze. Pewnie długo tu nie zabawisz, a po powrocie do siebie i tak będziesz potrzebował nowej pościeli.

Uśmiechnął się do niej, pozostawiając jej słowa bez komentarza. Tylko on jeden wiedział, że kiedy nadejdzie pora opuszczenia tego miejsca, nie będzie sobie zawracał głowy żadną pościelą.

- Idziemy, Rufus - powiedziała Jilly, strzelając palcami.

Pies i tym razem się zawahał. Popatrzył tęsknie na Coltrane'a, potem na swoją panią. Zupełnie nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

- Nie bardzo umie wybrać pomiędzy nami - mruknął Coltrane, ale nie zaproponował jedyne logicznego w tej sytuacji rozwiązania.

- Zdrajca - syknęła Jilly. - Rufus! Do nogi!

W końcu wygrała. Trudno było mieć pretensję do psa.

Coltrane pomyślał sobie, że gdyby w ten sposób pstryknęła palcami na niego, też posłusznie podreptałby za nią. Zwłaszcza gdyby wiedział na pewno, że wpuści go do swojego łóżka.

Spodziewał się trzaśnięcia drzwiami, lecz Jilly zamknęła je cichutko. Nie słyszał zgrzytu przekręcanego klucza. Może zamek był uszkodzony. A może sama nie wiedziała, czy na pewno chce, żeby Coltrane został za drzwiami.

Na wszelki wypadek wrócił jednak do siebie. Wolał nie ryzykować awantury, i to w pierwszą noc pod gościnnym dachem La Casa.

Pokój wydawał mu się ciemniejszy niż przedtem. Myślał, że zwariuje, zanim wreszcie udało mu się naciągnąć cienkie prześcieradło na materac. Jilly miała rację: większość z nich była tak zleżała, że najzwyczajniej w świecie rozłaziły się w rękach.

Wreszcie jakoś mu się udało. Rozebrał się i w samych szortach wyciągnął na twardym podłożu. Nie miał poduszki, ale potrafił się bez niej obejść. Sypiał już w znacznie gorszych miejscach. Poza tym w

pewnym sensie podobała mu się podupadła wielkość La Casa de Sombras. Domu Cieni.

Położył się na plecach i podłożył sobie ręce pod głowę.

W powietrzu czuć było delikatny, drażniący zapach, nakładający się na odór pleśni i kurzu. Widocznie przyniósł go wiatr, wpadający do pokoju przez otwarte drzwi balkonowe.

Coltrane znał ten niezwykły zapach, zapach dobrego, tureckiego tytoniu. Bardzo dziwny, zupełnie inny niż papierosowego dymu, który czepia się człowieka, wchodzi we włosy i ubrania. Jakiś taki świeży i całkiem przyjemny. Jakby nie pochodził z papierosów, produkowanych w dzisiejszych czasach. Nie przypominał także zapachu cygara ani kwaśno-słodkiego aromatu marihuany.

Może ten zapach był tu od dawna? Czyżby jeszcze jeden ślad dawnej świetności domu? Całkiem możliwe. W latach trzydziestych i czterdziestych dwudziestego wieku palenie było w dobrym tonie. Robili to prawie wszyscy.

Dziwne, ale dym pachniał tak, jakby był zupełnie świeży, jakby palacz znajdował się w pokoju Coltrane'a, a papieros palił się tuż nad jego głową.

- Duchy - powiedział dosyć głośno, tylko po to, żeby usłyszeć własny głos w spowijającej dom ciszy.

Czekał, jakby spodziewał się, że z głębi mroku ktoś mu odpowie. Nie wierzył w duchy, ale nie potrafił także wykluczyć ich istnienia.

- No cóż - powiedział do otaczającej go ciemności - jeśli nadal straszycie w tym domu, to niezbyt dobrze się spisujecie. Może czas przejść na emeryturę, czy co tam powinno się zrobić w waszej sytuacji.

Oczywiście, znów nie było żadnej odpowiedzi. Coltrane zaśmiał się cicho.

- Może nawet bym w was uwierzył, ale musielibyście zrobić coś więcej niż tylko rozdmuchiwać papierosowy dym. Chciałbym was zobaczyć. Jeśli oczywiście nie macie nic przeciwko temu.

Tym razem także nic się nie stało.

Coltrane przewrócił się na brzuch, przytulił twarz do prześcieradła. Myślał o dwóch tak różnych od siebie córkach Jacksona Meyera. O wysokiej, wojowniczej i ekscytującej Jilly, o jej myślących, brązowych oczach, pełnych ustach. I o Rachel-Ann, która patrzyła na niego zielonymi oczyma jego mamy. I ta twarz... Prawie identyczna, tyle że pozbawiona jej uśmiechu. Rachel-Ann, siostra, o której istnieniu nikt mu nie powiedział.

Coltrane wciąż nie mógł oswoić się z myślą, że ma siostrę.

Na pewno nie byłaby zadowolona, gdyby dowiedziała się, co zamierzał zrobić jej ojcu.

- Ty mój niedobry skarbie - powiedziała Brenda, wyjmując z palców Teda papieros bez filtra. Zaciągnęła się, trzymając papieros elegancko w dwóch paluszkach. - Nie powinieneś dokuczać temu biedakowi.

- To nie żaden biedak, ukochana-Ted Hughes był szczerze ubawiony. - Jemu o coś chodzi. Nie chcę, żeby się kręcił po naszym domu i denerwował nasze dziewczynki.

- To nie są nasze dziewczynki, Ted - przypomniała mu Brenda.

- No tak, masz rację. - Odebrał jej papieros, zaciągnął się, po czym dmuchnął dymem prosto w twarz tego mężczyzny. Nie ufał mu ani trochę.

Brenda przysiadła na toalecie, skromnie okrywając przejrzystym szlafrocikiem kształtne kolana.

- Bogu dzięki, że umarłaś w tym szlafrocuku - odezwał się Ted. - Jeśli istnieje jakiś strój, w którym chciałbym cię oglądać przez całą wieczność, to właśnie ten szlafroczek.

- Nie chcę o tym rozmawiać, kochany. - Jasna twarz Brendy zachmurzyła się.

- Wiem - powiedział cicho.

- To zbyt przygnębiające - dodała. Roześmiała się i spłynęła z toaletki. - Jesteśmy martwi i nic już tego nie zmieni. Lepiej się nad tym nie zastanawiać.

- I ja tak uważam - zgodził się Ted.

Brenda patrzyła na leżącego na materacu półnagiętego mężczyznę.

- Jest całkiem przystojny, nie sądzisz? - spytała. Ted wzruszył ramionami i wyrzucił niedopałek przez otwarte okno balkonowe.

- Jeśli się lubi takie typy. Jak myślisz, o co mu chodzi?

- Dlaczego uważasz, że o coś mu chodzi? - znowu spytała Brenda. - Wiesz, że lubię przystojnych mężczyzn. Dlatego ciągle jestem z tobą.

- Jesteś tu ze mną, bo umarliśmy razem i nie możemy się ruszyć z tego domu - mruknął Ted.

- Ted!

- Wybacz mi, mój skarbie. Mam dzisiaj podły nastrój. Przecież wiem, że nie lubisz o tym myśleć. - Pocałował ją w śliczny, mały nosek. - Dlatego nie będziemy więcej mówić o tych sprawach. Nieważne, dlaczego tu jesteśmy. Wcześniej czy później dowiemy się tego. A tymczasem cieszę się, że jest tak jak jest. Tylko ty i ja, nikt nam nie przeszkadza... Tak właśnie powinno być.

- Ty i ja - powtórzyła Brenda.

- Na zawsze. Tak jak ci obiecałem, mój skarbie.

- Na zawsze - powiedziała głucho, a potem uśmiechnęła się promiennie. - Rachel-Ann chyba wreszcie wróciła do domu. Zobaczymy, co robi? Jeśli kogoś sobie przyprowadziła, to go wystraszymy.

- Najmilsza - powiedział z uczuciem Ted. - Chodź, zrobimy trochę zamieszania.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rachel-Ann wstrzymała oddech i weszła do olbrzymiego holu. Nigdy nie wiedziała, czy duchy czekają na nią, czy może zajmują się czymś innym. W żaden sposób nie uprzedzały jej o swojej obecności. Gdzieś czytała, że kiedy się zjawiają, natychmiast robi się zimno. Może właśnie temu zawdzięczamy tę niezwykłą naturalną klimatyzację La Casa, pomyślała ponuro.

Zamknęła za sobą drzwi, starannie przekreśliła klucz. Kiedy piła, o wiele łatwiej było żyć. Po pijanemu nigdy nie widziała duchów. A nawet jeśli widziała, to jej nie przerażały.

Teraz jednak była całkiem trzeźwa i z tego powodu bardzo nieszczęśliwa. Naprawdę miała zamiar się upić, tylko po to wyszła wieczorem z domu. Pobila już wszystkie swoje poprzednie rekordy trzeźwości i od kilku dni czuła się bardzo dziwnie. Była wytrącona z równowagi i nie wiedziała, dlaczego.

Chciała uwieść tego przystojnego faceta, który z niewiadomych przyczyn zamieszkał w La Casa i wiedział, gdzie kupić świetną pizzę. Zrezygnowała z alkoholu i narkotyków, ale przecież nie musiała wyrzekać się seksu. A ten cały Coltrane był naprawdę tak przystojny, jak opowiadał Dean.

A jednak kiedy spojrzała w jego zimne, zielone oczy, poczuła się dziwnie; jakby odrzucona.

Nie rozumiała, dlaczego. Nie dostrzegła w nim nic odpychającego i sądziła, że ich romans nikomu by nie zaszkodził. Na

pewno nie byłby bardziej naganny niż tyle innych, jakie już miała za sobą. I na pewno mniej niebezpieczny; Coltrane zupełnie nie wyglądał na damskiego boksera.

A jednak Rachel-Ann czuła się przy nim nieswojo i nic nie zdołało tego zmienić.

Dlatego wczoraj wieczorem wyszła z domu i dzisiaj zrobiła to samo. Szukała czegoś, co odwróciłoby jej uwagę. A raczej kogoś. Młodego, silnego i zdrowego mężczyzny, z którym mogłaby się kochać do woli, bez żadnych zobowiązań, bez imion nawet, pozostawiając po sobie tylko uśmiech i wspomnienie.

Jechała do klubu „Kit-Kat”, ale, nie wiedząc czemu, nie dotarła tam. Jakimś cudem trafiła do kościoła unitarian na kolejne spotkanie AA. Siedziała, nie odzywając się ani słowem, słuchała szeleszczących wokół niej słów i kipiała od tłumionego żalu. Nie chciała być tutaj!

Inni mogą się zapić i zaćpać do nieprzytomności i potem nigdy tego nie powtórzyć. Dlaczego właśnie ona dała się schwytać w pułapkę uzależnienia, nad którym nie potrafiła zapanować?

Po spotkaniu kilka osób poszło na kawę i Rachel-Ann przyłączyła się do nich. Robiła tak często. Sączyła gorzką, za mało posłodzoną kawę i nigdy się nie odzywała. Ani słowem.

Zresztą nikt nie zmuszał jej do mówienia. Pozwalali jej po prostu być z nimi, milczącemu duchowi o smutnych oczach, tak samo nawiedzonemu jak dom, w którym mieszkała.

On też tam był. Nie pamiętała, kiedy po raz pierwszy go zauważyła, ale na pewno widziała go na trzech kolejnych spotkaniach. Dzisiaj nawet poszedł z nimi na kawę. Cały czas ją obserwował.

Był wysoki, bardzo szczupły. Miał za długie włosy i pogniecione ubranie. Nie miała pojęcia, z czego żyje. Wiedziała tylko tyle, ile sam o sobie powiedział: „Cześć, nazywam się Rico i jestem alkoholikiem”. Latynos, może Meksykanin.

Nie mogła się zdobyć na rozmowę, nie mogła mu nawet spojrzeć w oczy. Nie powinien się jej przyglądać. Oboje dobrze wiedzieli, że podstawową zasadą terapii jest niewiązanie się z nikim przez pierwszy rok. Było jej i tak bardzo ciężko. Gdyby miała pewność, że romans pozwoli jej zapomnieć o potrzebie picia, z radością oddałaby się temu człowiekowi.

Ale nie chciała związku z alkoholikiem na odwyku. Na pewno prawilby jej kazania, ciągnął na spotkania... Była nimi zmęczona do obrzydzenia. Nie wiedziała, dlaczego nadal tam chodzi. Nienawidziła tego całym sercem. A jednak wciąż tam wracała. Może dlatego, że nic lepszego nie miała do roboty. Alternatywą był dom z jego duchami.

Tak więc siedziała obok Rica, wciśnięta pomiędzy ludzi, których życie znała lepiej niż życie swego rodzeństwa.

Susan była prostytutką na Bulwarze Zachodzącego Słońca, ale nie taką wspaniałą jak ta, stworzona przez Julię Roberts. Ważyła dobrze ponad sto kilo, była prawie tak wysoka jak Jilly, miała pełne usta i dobre, życzliwe oczy.

Maggie była rozwódką z trójką dzieci. Straciła wszystko, nawet dzieci. Podobno był to jedyny sposób, żeby z tego wyjść. Spaść na samo dno. Żeby mieć się od czego odbić?

Rachel-Ann była przekonana, że była tam już wiele razy, na samym dnie, tak nisko, że niżej nie było już absolutnie niczego.

Więc czemu nie mogła zaznać tego pieprzonego, błogiego spokoju, jaki emanował z nich wszystkich?

Wywołana zachowaniem Coltrane'a frustracja sprawiła, że Rachel-Ann zareagowała na Rica. Pragnęła kogoś, kogokolwiek, a on był ciepły, silny i pod ręką. Bez trudu mogłaby go poprosić, żeby ją podwiózł do domu. Albo ona mogła podwieźć jego. Cokolwiek, byle nie być samej i nie wracać do tego domu cieni.

Skończyło się na tym, że nie powiedziała ani słowa. Patrzyła, jak Rico wsiada do starego plymoutha i odjeżdża w ciemną, hollywoodzką noc.

Poruszała się po domu bezszelestnie, jakby sama była duchem, mając nadzieję, że one śpią. Przecież duchy też muszą kiedyś spać.

Doskonale widziała, kim są. Wszyscy znali historię popełnionej w tym domu zbrodni. Brenda de Lorillard strzeliła swemu żonatemu kochankowi w tył głowy, a potem zastrzeliła siebie. Wolała go zabić, niż stracić. Jej kariera chyliła się ku upadkowi, żona Teda Hughesa domagała się swoich praw, więc Brenda zastrzeliła i jego, i siebie.

Teraz oboje ją obserwowali. Czekali nie wiadomo na co, schwytani w pułapkę domu, który był kiedyś świadkiem ich wielkiej namiętności.

Rachel-Ann była już przy schodach, kiedy poczuła ten zapach. Zapach tureckich papierosów Teda Hughesa zmieszany z zapachem francuskich perfum Brendy. Kiedyś ta niepowtarzalna kombinacja budziła Rachel-Ann i było jej wtedy dobrze. Bezpiecznie.

Zanim weszła na schody, obejrzała się prędko za siebie, ale nie było ich. Tylko ten aromat perfum i unoszący się w powietrzu dym z papierosa.

Pomyślała, że jednak trzeba było zabrać Rica ze sobą. Nie wątpiła, że poszedłby z nią. Za długo na nią patrzył, żeby jej nie chciał, gdyby przywiozła go ze sobą. Wówczas duchy nie odważyłyby się do niej zbliżyć. Przynajmniej przez jedną noc nie musiałyby się bać.

Poszedłby sobie rano albo jeszcze wcześniej. Kazałaby mu odejść. Ale wtedy zostałyby znowu sam na sam z prawdą, którą przeczuwała i która była rzeczywistym powodem jej lęku. Bo to nie duchów Hollywood bała się Rachel-Ann, lecz swego własnego, pustego życia.

Jilly, jak zwykle, nie mogła spać. Cierpiała na bezsenność od piętnastego roku życia. Nic nie pomagało: ani pigułki, ani bioenergoterapie, ani nawet medytacje. Doskonale pamiętała, kiedy się to zaczęło, chociaż z całego serca wolałaby nie pamiętać. Rodzice Jilly rozwiedli się pod koniec lat siedemdziesiątych. Z nieznanego jej powodu sąd przyznał opiekę nad dziećmi Jacksonowi. Nawet teraz Jilly nie mogła pojąć, dlaczego tak bardzo mu na tym zależało. Dzieci nigdy go nie obchodziły; z wyjątkiem Rachel-Ann. Jilly

przypuszczała, że zrobił to z czystej złości, w rewanżu za to, że Edith Walker Meyer ośmieliła się od niego odejść. Mama zresztą wkrótce potem zginęła w wypadku samochodowym. Jackson powierzył dzieci mieszkającej w La Casa de Sombras swojej matce, mimo że, łagodnie mówiąc, mieli ze sobą na pieńku. Za to Julia Meyer była jedną z nielicznych osób zdolną zmusić Jacksona do posłuszeństwa.

Opiekując się jego dziećmi, przez kilka lat udało jej się równocześnie zmienić stan prawny posiadłości tak, żeby La Casa nie dostał się w brudne łapska Jacksona tak długo, jak tylko będzie to możliwe.

Od czasu popełnionej tutaj zbrodni dom stał pusty przez ponad dziesięć lat, zanim wprowadziła się do niego babcia Jilly. Najpierw wyrzuciła bandę dzikich lokatorów, a potem wydała mnóstwo pieniędzy, aby opóźnić niszczące działanie czasu.

Mieszkała tu przez kilka lat począwszy od wczesnych lat osiemdziesiątych i wkładała w ten dom całą energię i posiadany majątek. Chciała, żeby dzieci mówiły do niej grand mere, choć w jej żyłach nie płynęła ani kropla francuskiej krwi. Jej dom stał się pierwszym prawdziwym domem Jilly.

Jilly zakochała się w La Casa de Sombras od pierwszego wejrzenia. Lubiła sobie wyobrażać, że to tajemniczy, otoczony splątaną roślinnością zamek Śpiącej Królowej.

Dean był w szkole, Rachel-Ann to miejsce wyraźnie irytowało, a mała Jilly całym sercem włączyła się w renowacyjne poczynania

babci, znajdując w tym ujście dla przepelniającej ją miłości i dziecięcej energii.

Mieszkała tu od dwunastego do siedemnastego roku życia, dopóki nie wysłano jej do college'u. Nigdy nie miała wątpliwości, że były to najszczęśliwsze lata. Aż do tamtej nocy.

Basen już wtedy sprawiał kłopoty. Żadne środki chemiczne nie mogły utrzymać wody w czystości dłużej niż przez kilka dni. Nawet babcia gotowa była się poddać, ale nie Jilly. Była młoda, beztroska, a w lecie w Los Angeles panowały straszne upały. Nawet w nocy.

Zaczęło się od zakładu z Rachel-Ann.

Jilly siedziała po turecku na wodnym łóżku siostry i przyglądała się jak Rachel-Ann szykuje się na randkę.

Rachel-Ann prawie co noc wymykała się z domu, żeby spotykać się w domku przy basenie z synem jednej ze służących. Jilly nie chciała nawet myśleć o tym, co tam robili. Już wtedy nadmiernie troszczyła się o swoje rodzeństwo i była w tym jedyna, ponieważ nikt, nawet babcia, tak naprawdę się nimi nie interesował.

- Jeśli tak ci gorąco, to idź sobie popływać - powiedziała beztroska, siedemnastoletnia wówczas Rachel-Ann. - Grandmere kazała dzisiaj oczyścić basen, więc nie będzie dużo glutów. Nie rozumiem, dlaczego nie każe zasypać tego paskudztwa i wykopać nowego basenu. Ten jest obrzydliwy!

- To po co każesz mi w nim pływać? - obruszyła się Jilly.

- No cóż, jeśli się boisz... - zakpiła Rachel-Ann. Była wówczas silniejsza, pewna siebie i zbuntowana. Zupełnie niepodobna do tego

delikatnego, poharatanego stworzenia, jakim się stała. - Ale nikt nigdy nie widział duchów nad basenem. Są tylko w domu, po parku nie chodzą.

- Nie ma żadnych duchów - upierała się Jilly.

- To, że ty ich nie widziałaś, nie oznacza, że ich nie ma. Nie czujesz dymu z papierosów? Ani perfum?

- Na twoim miejscu starałabym się nie zwracać niczyjej uwagi na dym z papierosów. Nawet w piętnastym roku życia Jilly niczego nie owijała w bawełnę. -Poza tym każdy, kto chodzi po tym domu, używa jakichś perfum. Nawet Consuelo.

- Jak podrośniesz, staniesz się bardziej spostrzegawcza. To zapach francuskich perfum, bardzo drogich i rzadkich. W niczym nie przypominają tego, czym perfumuje się nasza gospodyni.

- Jak ty mówisz o Consuelo! Myślałam, że ją lubisz. - Jilly poczuła się urażona. Consuelo była osobą, która najbardziej odpowiadała wyobrażeniom Jilly o matce, i dziewczynka była jej szczerze oddana.

- Lubię, ale mamy odmienny gust. - Rachel-Ann odsunęła się od lustra i podziwiała swoje odbicie. Złoto-rude włosy ufarbowała na ciemny brąz i włożyła brązowe szkła kontaktowe. W tamtych czasach nie była taka przeraźliwie chuda, a suknia z cienkiej koronki opinała jej ciało jak druga skóra. - Jak wyglądam?

- Cudownie. Czy Consuelo wie?

- O czym?

- Ze sypiasz z jej ukochanym synkiem? Z Enrique?

- Z Richardem - sprostowała Rachel-Ann. - Woli, żeby mówić do niego Richard. I ma inne plany na życie niż te, które mu układa matka. Ona ma nieuleczalnego fioła. Marzy, żeby jej syn został lekarzem. Richard nie chce zostać lekarzem.

- A czego chce?

- Mnie - odparła spokojnie Rachel-Ann. - No to jak? Idziesz popływać?

- A czemu cię to interesuje?

- Będziemy w domku przy basenie i chcielibyśmy mieć spokój. Trzymaj się od niego z daleka, bo jeszcze stracisz tę swoją bezcenną niewinność.

- Na pewno wiesz, co robisz, Rachel-Ann?

- Nie zaczynaj, Jilly. Jestem już dorosła. Potrafię się sama o siebie zatroszczyć.

Ale Jilly wiedziała, że nie potrafi. Nie potrafiła wtedy i nie potrafi teraz. Być może już nikt nigdy nie zdoła jej pomóc.

Oczywiście, tamtej nocy Jilly nie zamierzała kąpać się w basenie. Wiedziała, że jej siostra sypia z synem Consuelo i nie chciała się na nich natknąć ani nawet znaleźć się w ich pobliżu. Ale noc była niezwykle gorąca, a dom bardzo stary i pozbawiony elektrycznej klimatyzacji.

Babcia miała w swoim pokoju na parterze klimatyzator okienny. Drzwi zamontowano w przestronnych pomieszczeniach dla służby, ale reszta domowników musiała się zadowolić wiatrem, jaki miało do zaoferowania Los Angeles.

Tamtej nocy powietrze stało nieruchomo. Jilly leżała na łóżku ubrana w letnią piżamkę i czuła, jak całe jej ciało pokrywa się warstwą gęstego potu.

Wzięła zimny prysznic, włączyła wentylator, obłożyła się mokrymi ręcznikami i kostkami lodu. Kiedy usłyszała, jak Rachel-Ann skrada się na palcach do swojego pokoju, nie wytrzymała i wybiegła z domu.

Basen był czysty, woda przejrzysta, odświeżająca. . Postanowiła jednak popływać. Chciała się ochłodzić i zmęczyć. Przynajmniej na tyle, żeby móc zasnąć.

W tamtych czasach brama posiadłości była zamknięta, a mąż i syn Consuelo pełnili rolę ochroniarzy.

Enrique-Richarda spotkanie z Rachel-Ann na pewno wyczerpało, lecz Jaime, jego ojciec, był człowiekiem odpowiedzialnym i na terenie posiadłości na pewno nie było nikogo obcego. Jilly czuła się bezpieczna w swoim ukochanym La Casa de Sombras.

Minęła szpaler pnących róż i weszła na ścieżkę, prowadzącą do basenu.

Na niebie lśnił cienki sierp księżycy, ale właśnie w tamtej chwili schował się za chmury. Ścieżka stała się prawie niewidoczna, a woda w basenie ciemna, jakby gęsta.

Jilly wiedziała, że jest czysta, ale wtedy nie bardzo mogła w to uwierzyć. Zapach środków chemicznych, które po południu

rozpuszczono w basenie, zdążył się już ulotnić, czuła odór butwiejących roślin.

Stała nad krawędzią. Nawet z bliska woda wydawała jej się ciemna, straszna i nieprzenikniona. Ale gdyby teraz stchórzyła, w tym parnym i lepkim powietrzu spociałaby się jeszcze bardziej i byłaby bardziej nieszczęśliwa.

Zrobiła krok naprzód, gotowa zanurkować w basenie nie zdejmując piżamy, i wtedy zza chmury wyrzał księżyc. Był w pełni, chociaż Jilly mogłaby przysiąc, że kiedy wychodziła z domu, na niebie lśnił tylko cienki rogalik. Jakimś cudem, dziwnym i nieodgadnionym, znalazła się w innym czasie, w głębi zupełnie innej nocy, sprzed lat.

Już miała wskoczyć do wody, kiedy nagle zobaczyła twarz. W basenie, tuż pod powierzchnią wody, widziała martwą twarz swojej siostry!

Krzyknęła, lecz było już za późno. Obróciła się w powietrzu, brzuchem uderzyła w wypełniającą basen ciepłą, gęstą i cuchnącą ciecz. Poszła pod wodę, nawet trochę jej połknęła, ale zaraz się wynurzyła i w skrajnym przerażeniu co sił w rękach płynęła do brzegu. Miała uczucie, jakby porastające basen wodorosty oblepiały ją, oplątywały się wokół rąk i nóg, ciągnęły za włosy. Jakby chciały, żeby Jilly też znalazła się pod wodą, tak samo jak tamta kobieta, którą już utopiły. Kobieta, która jednocześnie była i nie była Rachel-Ann.

Wreszcie dotarła do brzegu, chwyciła się cembrowiny, wyskoczyła na trawę. Nie przypuszczała, że ma aż tyle siły. Nie

śmiała spojrzeć za siebie. Krzycząc w niebogłosy, biegła do domu jak strzała. Było jej zupełnie obojętne, czy kogoś wystraszy, wyrwie z głębokiego snu. Jej siostra leżała martwa w basenie, ktoś chciał ją zabić, w domu był jakiś obcy.

Jasne światło oświetlało szeroki, kamienny taras, gdzie czekała już na nią babcia. Obok niej stała rozespana Consuelo i Jaime z pistoletem w dłoni. Wyglądał jak partyzant z filmu „Viva Zapata!”

- Rachel-Ann! - krzyczała Jilly. - Tam, w basenie. Ona nie żyje...

- Nie wiem, co ty sobie zaaplikowała, Jilly, bo ja jestem tutaj. - Rachel-Ann wysunęła się zza pleców babci. - Za to ty wyglądasz jak zmokła kura.

Jilly się rozplakała. Tym razem ze szczęścia. Rzuciła się siostrze na szyję, choć ta wzdrygnęła się i zaraz ją z siebie strząsnęła.

- Ty żyjesz! - krzyczała uszczęśliwiona Jilly.

- A ty jesteś zimna i mokra - stwierdziła sucho Rachel-Ann.

- Widziałas kogoś w basenie, Jilly? - dopytywała się babcia. - Jaime, idź tam i sprawdź, co to było. Nie mam pojęcia, kto mógł się dostać na teren posiadłości. Zamknąłeś bramę, prawda? No cóż, czasami dzieją się tu dziwne rzeczy. W Bogu nadzieja, że w naszym basenie nie pływają żadne zwłoki. Ten dom ma już dość skandali.

Prozaiczne wyrzekania babci odniosły pożądany efekt. Jilly wzięła się w garść, choć wciąż jeszcze drżała jak osika, nie wiadomo, czy z powodu mokrej piżamy, czy może na wspomnienie tamtej twarzy.

- Ona nie pływała, babciu. Leżała na dnie basenu, zaplątana w wodorosty.

- W basenie nie ma żadnych wodorostów - tłumaczyła jej cierpliwie babcia. - I mam nadzieję, że nie ma tam też żadnych zwłok. Chyba coś ci się przyśniło, moje dziecko. Natychmiast idź na górę, weź gorący prysznic i przebierz się w coś suchego. Przyniosę ci pigułkę na uspokojenie.

- Nie chcę żadnej pigułki.

- Albo pigułka, albo szklaneczka brandy. Nie lubię, kiedy się mnie budzi w środku nocy. Zwłaszcza z powodu koszmarów sennych moich przewrażliwionych wnuczek.

- To nie był sen, grandmere - upierała się Jilly, choć sama nie bardzo już wiedziała, co jest jawą, a co snem. Nawet wówczas, kiedy się to wszystko działo, było jakieś niecałkiem realne, choć bardzo przerażające.

Ale przecież była w wodzie naprawdę! Wciąż jeszcze miała na sobie mokrą piżamę. Tylko ten księżyc... Znów był tylko cienkim rogalikiem.

- Zaprowadź ją na górę, Rachel-Ann - poleciła babcia - a ja sprawdzę, co robi Jaime.

Rachel-Ann ujęła siostrę pod ramię, siłą zaciągnęła ją na szerokie, marmurowe schody. Odezwała się dopiero wtedy, kiedy doprowadziła Jilly do łazienki.

- Jak powiesz grandmere o mnie i o Richardzie, to nigdy ci tego nie wybaczę - ostrzegła. - Na pewno zwolniłaby Consuelo, a mnie wyrzuciłaby z domu. A ja nie chcę mieszkać z tatą.

- Nnnie... ppowiem - zaklinała się Jilly, szczękając zębami.

- W porządku. - powiedziała Rachel-Ann rzeczowo. - Tylko nie zapomnij, że prócz ciebie nikt nie wychodził z domu dziś w nocy.

Jasne?

Jilly skinęła głową. Wciąż się trzęsała. Oczywiście, w basenie nie było żadnych zwłok. Jilly zmusiła się, żeby tam pójść następnego dnia, tym razem w palących promieniach południowego słońca.

Gdyby sama tego nie zrobiła, musiałaby tam pójść z babcią. Wolą sama.

Woda była kryształowo czysta, nad basenem unosił się ostry zapach chloru. Nie było wodorostów ani żadnych topielców, ani nawet odoru butwiejących roślin. Jeśli kiedyś ktoś się tu utopił, to zdarzyło się to w innym życiu, w innym czasie, w całkiem innej rzeczywistości.

Od tamtej pory Jilly nigdy więcej nie zbliżyła się do basenu. Za to basen przychodził do niej.

W koszmarnych snach widziała zanurzoną pod wodą twarz siostry, jej szeroko otwarte oczy, usta wzywające pomocy w niemym krzyku. Pokryte szlamem gałęzie wyciągały się z ciemnych głębin, jakby chciały pochwycić Jilly i wciągnąć ją w bezdenną czeluść.

Budziła się z krzykiem, tak jak teraz. Widząc, że jest w swojej własnej sypialni, zatykała sobie usta poduszką, żeby nie zbudzić domowników.

Rufus leżał na podłodze, popiskując współczująco. Jilly wyciągnęła rękę, żeby go poklepać i podrapać za uszami.

Coltrane także wiedział, jak to należy zrobić. Jilly zawsze uważała, że można zaufać człowiekowi, który lubi psy. Teraz ta niezachwiana dotąd wiara została mocno podkopana.

Alan nie cierpiał Barkusa, jej poprzedniego psa. Zresztą z wzajemnością. Kiedy Barkus został otruty, mąż Jilly zachował się całkiem przyzwoicie, a jednak nie mogła oprzeć się wrażeniu, że był zadowolony. Chyba właśnie wtedy zrozumiała, że już dłużej z nim nie wytrzyma.

Rufus lubił Coltrane'a! Może po prostu nie miał gustu? A może Coltrane nie był taki zły, jak jej się zdawało?

Już dwa dni mieszkał w La Casa de Sombras, dwie noce spał na drugim końcu korytarza, całkiem niedaleko. Poprzedniego dnia przywieziono mu łóżko.

Jilly miała wielką ochotę zapytać go, kto mu dał prawo kupowania mebli do tego domu, ale Coltrane wrócił bardzo późno, jakby spodziewał się pretensji. Tak więc poszła spać, nie odbywszy z nim zasadniczej rozmowy. Z jednej strony irytowało ją to, ale z drugiej była nawet zadowolona.

Wstała z łóżka, wysoko upięła mokre od potu włosy. Wiedziała, że tej nocy już nie zaśnie. Jeśli koszmar budził ją o wpół do trzeciej nad ranem, to reszta nocy była stracona.

Otworzyła oszklone drzwi, wyszła na balkon, na chłodne, marmurowe płyty, spojrzała na zarośnięty park. Basen był ukryty za krzakami róż, które przez te wszystkie lata bardzo się rozrosły.

Jilly pomyślała, że koniecznie musi wreszcie coś z nim zrobić. Dopóki tam był, posiadał moc nawiedzania jej snów. Gdyby go zasypać i udeptać ziemię, może koszmary by się skończyły. Już dawno należało to zrobić.

Potrząsnęła głową i włosy opadły jej na ramiona. Właściwie powinna je obciąć, ale z jakiegoś powodu ojciec ich nie cierpiał, twierdził, że wygląda jak hippiska, i dlatego właśnie Jilly starannie je pielęgnowała i chciała, by były jeszcze dłuższe. Powtarzała sobie, że nie obchodzi ją, co ojciec o niej myśli, a jednak robiła mu na złość. Ani myślała obcinać włosy.

Balkon na piętrze ciągnął się przez cały fronton domu, ale Jilly miała go wyłącznie dla siebie, bo Rachel-Ann unikała słońca. Miała jasną cerę i panicznie bała się piegów.

Dobrze, że Coltrane już śpi, pomyślała Jilly. Przynajmniej w nocy się mnie nie czepia. Zresztą niechby tylko spróbował. Wywaliłabym go na zbity pysk, choćby nawet Dean i Rachel-Ann nie wiem jak protestowali.

- Nie możesz spać? - usłyszała jego głos.

Stanowczo za blisko, żeby mogła się czuć bezpiecznie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Wystraszyłeś mnie! Coltrane podszedł jeszcze bliżej.

Usłyszał, jak ktoś wychodzi na balkon. Instynktownie wyczuł, że to Jilly, a nie jej siostra. Nie jego siostra.

Minęła doba, odkąd poznał prawdę, a wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie.

- Wcale cię nie przestraszyłem. - Mówił powoli, jakby ważył słowa. - Nie tym razem. Spodziewałaś się mnie. Co, oczywiście, nie oznacza, że nie przerażam cię w ogóle. Ale nie byłaś zdziwiona, kiedy mnie zobaczyłaś.

- Jest prawie trzecia w nocy. Dlaczego uważasz, że spodziewałam się tu ciebie?

- Może jesteśmy pokrewnymi duszami? Ja też nie mogę spać. Chyba pójdę popływać. Wszystkie posiadłości w Los Angeles mają baseny, więc tutaj też musi być chociaż jeden.

- Przestań!

Tym razem naprawdę się przeraziła. Bardzo go to zdziwiło. Czyżby naprawdę się go bała?

- Basen nie nadaje się do użytku - wyjaśniła Jilly, lekko drżącym głosem. - Nie sposób zajmować się basenem, kiedy dach przecieka, a instalacja elektryczna grozi porażeniem.

- Pokryję koszty konserwacji basenu.

- Nie! - krzyknęła, jakby zaproponował jej seks na balustradzie i przy świadkach. - Nie chcę tu mieć żadnego basenu. Zresztą, tutaj jest

to niemożliwe. W ziemi są jakieś ciekawe rzeczy czy coś w tym rodzaju.

Zaizolowanie tego musiałyby kosztować majątek.

Coltrane już dawno porzuciłby ten temat, gdyby nie to, że tak gwałtownie zareagowała.

- Twój ojciec płaci mi majątek - przypomniał. - Mogę sobie na to pozwolić.

- Możesz sobie pozwolić na mieszkanie gdzie indziej.

- Ale wtedy nie mógłbym ci pomóc. A ty potrzebujesz pomocy, chociaż nie chcesz się do tego przyznać.

-Owszem, potrzebuję twojej pomocy, ale tylko w sprawie mojego brata. Brata, a nie siostry - powiedziała stanowczo. - Nie waż się nawet zbliżyć do Rachel-Ann.

Nie miał takiego zamiaru. Już nie.

- Dlaczego uważasz, że interesuje mnie twoja siostra?

- Większość mężczyzn się nią interesuje. A ty ciągle o nią wypytyujesz. Odkąd pojawiłeś się w tym domu, prawie o niczym innym nie mówisz. Nie wiem, czego od niej chcesz, i nie bardzo mnie to obchodzi. Masz ją zostawić w spokoju i kropka. Jest bardzo osłabiona i nie trzeba jej w tej chwili żadnych nowych komplikacji. - Głos Jilly stał się niemal czuły.

- Ty naprawdę bardzo poważnie traktujesz swoją rodzinę. - Coltrane postanowi! być prawie serdeczny. - Zapewniam cię, że nie mam zamiaru sypiać z twoją siostrą...

- Obiecujesz? - wpadła mu w słowo.

- ...tylko z tobą - dokończył, całkowicie ignorując jej pytanie.

Było ciemno, ale Coltrane nie musiał widzieć, żeby rozpoznać reakcję Jilly. Miała ochotę mu przyłożyć.

Jeszcze nigdy żadna kobieta go nie uderzyła,- chociaż wiele razy na to zasłużył. Oczywiście, oprócz ciotecznej babki Esther, od której obrywał, mimo że na to nie zasłużył. Jilly Meyer też mogłaby go uderzyć.

- Trudno - odezwała się po chwili. W jej głosie dźwięczał z trudem tłumiony gniew. - Ostatecznie mogę się poświęcić. Ale jeśli sądzisz, że tędy wiedzie droga do serca mojego ojca, to nie jesteś wcale taki inteligentny, za jakiego cię uważałam. Jacksona nic nie obchodzi, z kim sypiam. Romanse Deana też go nie interesują. Niepotrzebnie tracisz czas.

- Sypianie z tobą to nie żadna strata czasu, tylko czysta przyjemność.

Specjalnie użył tego słowa. Wiedział, że doprowadzi ją tym do szału. Jak zwykle miał rację.

- Nie robię niczego tylko dla przyjemności - prychnęła.

- Więc może powinnaś to wreszcie zmienić? Przyjemność to nie grzech.

- Może i nie - zgodziła się podejrzanie szybko. -Tylko ja nie ufam ani przyjemnościom, ani ludziom, którzy bez opamiętania się im oddają. Tobie też nie ufam.

- Naprawdę jestem taki groźny? Wierzysz w to, że mógłbym cię skrzywdzić?

Nie odpowiedziała. Tego się spodziewał. Znał ją krótko, ale bardzo dobrze i doskonale wiedział, czego się bała. Bała się swojej własnej bezbronności.

Wziął ją za rękę. Wzdrygnęła się, ale on jej nie puścił. Dłoń Jilly była mocna i zimna, prawie lodowata.

- Chciałbym ci coś zaproponować - zaczął cicho. - Skoro tak bardzo się przejmujesz swoją starszą siostrą, to może byś się ze mną przespała. Będę tak zajęty tobą, że nawet nie spojrzę na Rachel-Ann. Przynajmniej z mojej strony nic już jej nie zagrozi. Może zawróciłabyś mi w głowie do tego stopnia, że nie mógłbym już myśleć o niczym innym. Przestałbym pracować w Meyer Enterprises, Dean musiałby mnie zastąpić i ojciec zacząłby go wreszcie kochać i szanować. Spełniłyby się wszystkie twoje marzenia. To chyba niewielkie poświęcenie, prawda? Twoje ciało za szczęście twojej rodziny.

- Jesteś obrzydliwy.

- Jestem całkiem niezły. Na pewno sto razy lepszy od wszystkich facetów, jakich miałaś. Alan Dunbar do pięt mi nie dorasta.

- Skąd wiesz? Spałeś z nim?

- Ja nie, ale twoja siostra tak.

- Jeśli to ma być twoja najmocniejsza karta, to przegrałeś z kretesem — prychnęła Jilly. - Wiem o tym od dawna. Rachel-Ann nie ma przede mną tajemnic.

- Może powinna.

- A ty powinieneś zostawić mnie w spokoju. Nie mam ochoty na seks z tobą, chociaż przypuszczam, że jesteś w tych sprawach biegły.

- Naprawdę jestem dobry - powiedział, wciąż trzymając jej rękę.

- Wierzę ci na słowo, ale teraz zostaw mnie w spokoju, dobrze?

Już nie była wojowniczą amazonką, tylko bardzo zmęczoną życiem młodą kobietą.

- Nie licz na to.

Przyciągnął ją do siebie. Doskonale wiedział, jak Jilly zareaguje.

Wolną ręką oparła się o gorący tors swojego wroga. Chciała go odepchnąć, ale zaskoczyło ją to, że jest nagi, Cofnęła się zdumiona.

Ta krótka chwila wystarczyła Coltrane'owi, żeby chwycić obie ręce Jilly i przyciągnąć ją do siebie. Wiedział, że będzie chciała odsunąć głowę, kiedy wsunie palce w jej włosy, kiedy zechce ją pocałować i rozchyli usta. Nie wiedział tylko, jakie to uczucie.

Jilly była prawie tak wysoka jak on. Doskonale do niego pasowała. Włosy spływały jej na plecy jak zasłona, piersi były miękkie i pełne, oddzielone od nagiego torsu Coltrane'a pojedynczą warstwą cieniutkiej bawełny.

Nie miał pojęcia, że usta mogą być takie miękkie, że arogancka, niechętna kobieta może być taka gorąca i uległa tak kobieca.

Prawie przestał panować nad sobą, chociaż był mistrzem świata w opanowaniu. Jeszcze chwila, a padłby przed nią na kolana, pieściłby ją ustami...

Pozwoliłaby mu, choć potem już do końca życia by go nienawidziła. A jeszcze bardziej nienawidziłaby siebie.

Od początku wiedział, że go pragnęła, że ta cała wrogość, choć przecież nie udawana, jest bardzo bliska fascynacji. Wystarczyłaby chwila nieuwagi, żeby przekroczyć tę niewidzialną granicę.

Naprawdę szokowała go tylko siła jego własnego pożądania. Czuł prymitywną zwierzęcą żądzę, tak wielką, że mógłby wyc do księżyca.

Umiał całować. Był w tym dobry i wiedział, że kobiety to lubią. A jednak aż do tej chwili nie wiedział, że on też bardzo to lubi. Miał ochotę oprzeć Jilly o ścianę i całować, całować bez końca. Albo lepiej rozpiąć dzinsy, zdjąć z niej skapy, nocny strój, zagłębić się w niej, zagubić. Ciałem i duszą, żeby o niczym nie myśleć. O niczym prócz jej dotyku, smaku, zapachu, o jej sercu bijącym tuż przy jego sercu.

Niestety, nie mógł sobie na to pozwolić. Wypracowane w pocie czoła opanowanie było mu jednak droższe niż Jilly Meyer. Dlatego odsunął ją od siebie. Powoli, ostrożnie. Wcale nie był pewien, czy go nie uderzy.

- Idź sobie - wyszeptała.
- Dobrze - zgodził się potulnie.
- Ale na zawsze. Wyprowadź się z tego domu - mówiła głosem drżącym ze złości, a może z całkiem innego powodu.
- Nigdzie się stąd nie ruszę. Nic na to nie poradzisz.
- Wobec tego trzymaj się ode mnie z daleka.
- To także nie jest możliwe - powiedział z kamiennym spokojem.
- Wcześniej czy później, w końcu i tak wylądujemy razem w łóżku, więc po co z tym walczyć? Po co mamy się męczyć?

- Ponieważ ja ciebie nie chcę.
- Mówisz tak przekonywująco, jakbyś naprawdę w to wierzyła.
- Ty arogancki bałwanie! Ja...

Stanął bardzo blisko niej, ale tym razem jej nie dotknął.

- Nigdy nie twierdziłem, że wszystkie kobiety za mną szaleją - mówił bardzo cicho - ale ty tak. Czuję, że mnie pragniesz.

- Nawet cię nie lubię.

- A co ma wspólnego jedno z drugim?

Jilly zamknęła oczy, przez co stała się jeszcze bardziej bezbronna.

Właściwie powinien czuć skruchę, ale odczuwał tylko pożądanie.

- Proszę - powiedziała cicho.

- Otwórz oczy i powiedz mi, że mam się wynieść. Dotknij mnie i dopiero potem każ mi się wynosić.

Otworzyła oczy. Właściwie tylko dlatego, żeby go uderzyć. Niestety, okazało się to niemożliwe. Naprawdę pragnęła tego mężczyzny. Co najmniej tak gorąco jak on jej pragnął.

Teraz nie pozostało im już nic innego, jak tylko znaleźć drogę do wielkiego łoża w kształcie łabędzia. Nic innego się nie liczyło.

Coltrane był gotów poświęcić nawet swoje bezcenne opanowanie.

Oddałby wszystko za ciepło skóry Jilly, za słodki smak jej ust.

Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, dotknąć...

- Jilly? - Na balkon wyszła Rachel-Ann. - Co tu się wyprawia?

Coltrane odsunął się od Jilly. Odruchowo, bo przecież nie ze strachu. Czar prysnął.

A więc jednak nie stanie się to dzisiaj, pomyślał rozżalony.

- Nic takiego. - Jilly roześmiała się, jak gdyby rzeczywiście nic między nimi nie zaszło. - Rozmawialiśmy o... basenie. - Wahanie w jej głosie było niemal niewyczuwalne.

Rachel-Ann podeszła bliżej, przyjrzała się Coltrane'owi z prawdziwym zainteresowaniem.

- Cholerny basen! Nie rozumiem, dlaczego wreszcie go nie zlikwidujesz. Od lat nawet nie patrzysz w tamtą stronę. Od tamtej nocy...

- Nie chcę o tym słyszeć! - Jilly zasłoniła sobie uszy dłońmi jak mała dziewczynka. Znowu bardzo się czegoś bała.

Niesamowite, pomyślał Coltrane. Coś się wiąże z tym basenem. Jak tylko będę miał trochę czasu, muszę się przespacerować po całej posiadłości. Może się dowiem, dlaczego to nieszczęsne miejsce wzbudza w Jilly taki paniczny strach.

- Wracam do łóżka - powiedział i ziewnął szeroko. - Mam jutro strasznie ciężki dzień. Dzięki, że zechciałaś dotrzymać mi towarzystwa.

Rachel-Ann podeszła do balustrady. Patrzyła na gęstwinę róż, która otaczała nieużywany basen. Tylko dlatego Jilly odważyła się spojrzeć na Coltrane'a.

Posłał jej całusa. Nie mógł się oprzeć pokusie.

- Dobranoc, Coltrane - powiedziała Rachel-Ann, nawet na niego nie patrząc.

- Dobranoc paniom. - Coltrane skłonił się lekko i wszedł do swego pokoju.

Nie dał się nabrać. Wiedział, że Rachel-Ann nie obudziła się przypadkiem i nie przypadkiem wyszła na balkon.

Przesadnie głośno zamknął za sobą drzwi balkonowe, ale zaraz potem cichutko je uchylił. Chciał posłuchać, o czym siostry rozmawiają.

- Zwariowałaś? - spytała całkiem spokojnie Rachel--Ann.

- Ciszej, bo cię usłyszy.

- Nie usłyszy. Poszedł do łóżka.

- Jesteś pewna? - Jilly była bardzo podejrzliwa.

- Jestem - uspokoiła ją Rachel-Ann. - Tamten pokój jest prawie dźwiękoszczelny. Lepiej mi powiedz, co ci odbiło. Mało brakowało, a popełniłabyś totalne głupstwo.

- Pięknie to ujęłaś.

- Wolałabyś, żebyś powiedziała, że ten facet odebrał ci rozum? Gołym okiem widać, że jest do tego zdolny. Dlatego jest bardziej w moim typie niż w twoim. Ty wolisz, żeby mężczyzna był cywilizowany i żeby cię traktował z szacunkiem. Ten cały Coltrane jest trochę za bardzo muy hombre. Rozumiesz, o co mi chodzi? Typowy mężczyzna, w najgorszym rozumieniu tego słowa. Boję się, że sobie z nim nie poradzisz.

- To raczej ty powinnaś uważać. - Głos Jilly, kiedy myślała, że Coltrane jej nie słyszy, brzmiał zupełnie inaczej. Był bardziej miękki, jakby delikatniejszy. - Trzymaj się od niego, z daleka, Rachel-Ann. Wiesz, że ten facet to najgorsze, co może ci się teraz przytrafić.

- Czy taka wiedza kiedykolwiek przed czymś mnie uchroniła? - Rachel-Ann bezlitośnie kpiła sama z siebie. - A może ty chcesz mu się oddać, żeby uratować, przed nim mnie? Nie fatyguj się, siostrzyczko. Jeśli będę chciała, to go sobie wezmę i twoje poświęcenie psu na budę się nie przyda.

- Nie jestem aż taka szlachetna - zapewniła ją Jilly.

- Kamień mi spadł z serca - kpiła dalej Rachel-Ann. - Ten Coltrane jest bardzo przystojny. Może ty rzeczywiście postanowiłaś dla odmiany przeżyć przygodę z jakimś niegrzecznym chłopcem. Nie mam ci tego za złe, tylko boję się, że nie dasz sobie rady. To twarda sztuka...

- Wyciągasz zbyt pochopne wnioski, Rachel-Ann - wpadła jej w słowo Jilly. - My naprawdę tylko rozmawialiśmy. On się mną nie interesuje.

- Chcesz powiedzieć, że tylko udaje zainteresowanie? Wobec tego cała sprawa wygląda jeszcze gorzej, niż przypuszczałam. Czyżbyś chciała zamienić się ze mną rolami? Zapomniałaś, że to ja dążę do samounicestwienia, sypiam nie z tymi facetami, co trzeba, zamieniam swoje życie w piekło. Ja, a nie ty!

- Wobec tego jak nazwiesz moje małżeństwo z Alanem?

- Aberracją - powiedziała spokojnie Rachel-Ann. - Jesteś za mądra, żeby powtórzyć ten sam błąd.

Zapadła cisza. Coltrane przytulił twarz do zimnej szyby.

- Uważasz, że to by było powtórzenie tego samego błędu? - spytała bardzo cicho Jilly.

- Nie tego samego. To byłoby coś znacznie gorszego. Alan to zwykły ogier i w dodatku nie bardzo doświadczony. Coltrane jest prawdziwym mężczyzną. Umie dać kobiecie rozkosz. Mógłby ci złamać serce.

- To mało prawdopodobne.

- Bardzo prawdopodobne - poprawiła ją Rachel-Ann. - Trzymaj się od niego z daleka, Jilly. Jeśli ty go będziesz omijać, ja też to zrobię. Obiecuję. Zostawmy go Deanowi.

- Dean go nie interesuje.

- No to niech sobie wymyśli jakiś inny sposób zdobycia tego, o co mu chodzi. A że o coś mu chodzi, tego jestem pewna. I ty też nie powinnaś mieć wątpliwości. Nie pozwól się wykorzystać. Wiem, jak to jest. Paskudnie. Nie chcę, żeby tobie się coś podobnego przydarzyło. Obiecuj mi.

- Co ci mam obiecać? Rachel-Ann westchnęła głęboko.

- Nie każę ci przyrzekać, że się z nim nie prześpisz - powiedziała. - W tej samej chwili nabrałabyś na to ochoty, więc jeśli naprawdę chcesz, to zrób to, ale nic więcej. Od czasu Alana nie miałaś żadnego faceta, a on wcale nie był w łóżku najlepszy.

- Dzięki, że podzieliłaś się ze mną informacją -mruknęła Jilly.

- To ja tobie dziękuję. Za to, że podzieliłaś się ze mną swoim mężem - powiedziała kpiąco Rachel-Ann. - Boże, nie powinnam z tego żartować. Przecież już ci mówiłam, jak bardzo mi przykro, że...

- Nie rozmawiajmy o tym, kochanie. To już historia.

- Nie chcę patrzeć, jak chodzisz ze złamanym sercem.

- Alan nie złamał mi serca.

- Ale Coltrane może. Oczywiście pod warunkiem, że mu na to pozwolisz. Więc mu nie pozwól. Obiecuj mi, że nie pozwolisz złamać sobie serca.

Coltrane cichutko zamknął balkonowe drzwi. Nie musiał słuchać dłużej, i tak dużo się dowiedział.

Okazało się, że miał rację: Jilly naprawdę była zupełnie bezbronna. Dowiedział się także, że wcale nie musi sypiać z Rachel-Ann, żeby mieć nad nią władzę.

Ale chyba nie był aż takim bydlakiem, za jakiego chciał uchodzić. Nie mógłby świadomie sprawić bólu własnej siostrze, która i tak niejedno w życiu przecierpiała. Nie mógłby, choć łączyły go z nią wyłącznie więzy krwi.

Jilly Meyer to co innego. Nic jej nie był winien i gdyby miał szansę przy jej pomocy dotrzeć do Jacksona, to by ją wykorzystał. Wykorzystałby ją i już.

A może i tak bym ją wykorzystał, niezależnie od tego, czy coś z tego z tego będę miał, czy nie. Może pożądanie jest wystarczającym motywem.

Nic z tego, przywołał się do porządku.

Nie miał prawa zapomnieć, z jakiego powodu się tu znalazł. Najpierw musiał poznać prawdę o matce, a potem zniszczyć Jacksona Meyera.

Teraz musiał się także koniecznie dowiedzieć, skąd wzięła się ta jego siostra, o której istnieniu nawet nie wiedział. Nie miał wątpliwości, kim jest jej biologiczny ojciec. W żyłach adoptowanej córki Jacksona Meyera płynęło tyle samo jego krwi, co w żyłach Jilly i Deana.

Coltrane nie miał jeszcze pojęcia, do czego może mu się przydać ta nowo nabyta wiedza.

Na razie powinien iść spać, wyciągnąć się wygodnie na swym nowym łóżku i postarać się nie myśleć. O niczym. A zwłaszcza o miękkich, słodkich ustach Jilly Meyer.

- Trzeba się go stąd pozbyć. Nie podoba mi się to, co robi naszym dziewczynkom.

- To nie są nasze dziewczynki, mój skarbie - przypominał jej Ted z isticie anielską cierpliwością.

- Znamy je od czasu, gdy były dziećmi. Czasem mam wrażenie, że to moje własne córki. Żadne z nas nie ma potomstwa, więc nie widzę powodu, dla którego nie miałabym ich uważać za swoje dzieci - kaprysiła Brenda. - Tym bardziej, że ich matka nie żyje.

- My także, moja słodka.

Brendzie krew uderzyłaby do twarzy, ale chyba nie było takiej możliwości.

- Nie cierpię, kiedy mówisz o nas w ten sposób -powiedziała z wyraźną irytacją - Nie lubię o tym myśleć.

- Przepraszam. - Ted rzucił niedopałek papierosa przez poręcz, na znajdujące się poniżej gałęzie drzew. Przez kilka pierwszych lat Brenda wciąż mu powtarzała, że może w ten sposób wywołać pożar. Dopiero potem zrozumiała, że w rzeczywistości nie ma żadnego ognia, żadnego papierosa. Że ich też nie ma. - Szkoda, że nie znamy prawdy. Chciałbym wiedzieć, co tu się zdarzyło.

Brenda stłumiła ogarniający ją paniczny lęk.

- Może lepiej nie wiedzieć.

- Nie jesteś ciekawa, jak umarliśmy? Nie uważasz, że mamy prawo to wiedzieć?

- Większość ludzi nie wie. Umierają i odchodzą. Nie wiem, po co nas tu zostawiono, ale nie zamierzam się sprzeciwiać. Cieszę się, że mogę spędzić z tobą całą wieczność, ukochany. - Pocałowała go w usta. Jego wąsy łaskotały wrażliwą skórę Brendy, więc przygryzła je delikatnie.

- Ale dlaczego? - pytał dalej, kładąc swe mocne dłonie na jej kruchych ramionach. - Dlaczego babcia dziewczynek po śmierci po prostu zniknęła? Tak samo jak tamta druga kobieta? Dlaczego tylko my wciąż tu jesteśmy?

Brenda spojrzała na niego. Za życia nie doceniano jej aktorskiego kunsztu. Nawet taki zdolny reżyser jak Ted nie potrafił odgadnąć, kiedy grała, a kiedy była sobą. Zwłaszcza że nie podejrzewał jej o kłamstwo.

- Nie mam pojęcia - powiedziała. - A po tych wszystkich latach wątpię, żebyśmy się tego kiedykolwiek dowiedzieli.

- Moglibyśmy spróbować. Ludzie ciągle o nas rozmawiają. Gdybyśmy podeszli do tych autokarów z turystami, moglibyśmy podsłuchać, co mówią.

- Nie możemy opuścić domu. Poza tym nie wiemy, czy autokary nadal tu przyjeżdżają.

- Wobec tego powinniśmy słuchać, co mówią ci, którzy przychodzą do domu. Zawsze, kiedy ktoś zaczyna coś o nas mówić, tobie zbiera się na amory. Chociaż raz chciałbym zostać i posłuchać.

- Oni też nic nie wiedzą, kochany. Gdyby było inaczej, dotarłoby to do nas. Nikt nie ma pojęcia, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy. Z nami włącznie. -Tak przywykła do tego kłamstwa, że sama prawie w nie uwierzyła. Z czystym sumieniem mogła patrzeć Tedowi prosto w oczy.

Ale on na chwilę je przymknął, najdroższe, ukochane oczy, schowane za okularami w drucianej oprawie. A potem podniósł powieki i uśmiechnął się.

- Masz rację, mój skarbie - mruknął. - Nie ma sensu sprzeciwiać się przeznaczeniu. Zwłaszcza że dało mi ciebie. \

Brenda posłała mu promienny, od początku do końca fałszywy uśmiech.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Rozmowa z Jacksonem Deanem Meyerem była trudniejsza, niż się Coltrane spodziewał.

Tym trudniejsza, że sam, osobiście, przywiózł Deana do biura. Nie miał powodu, żeby odmówić, gdy Dean poprosił o podwiezienie go do pracy.

Niewielu ludzi mogło wejść do gabinetu Jacksona bez uprzedniego umówienia wizyty, włączając w to jego dzieci. Coltrane był jednym z tych niewielu.

Bez pukania wszedł do znajdującego się na trzydziestym pierwszym piętrze gabinetu.

Jacksona Deana Meyera uważano za przystojnego mężczyznę. Kiedy był młodszy, kobiety na pewno za nim szalały. Nawet teraz, mimo mocno dojrzałego wieku, mógłby usidlić prawie każdą, na jaką przyszłaby mu ochota. Melba, jego młoda żona, doskonale o tym wiedziała. Ponieważ jednak Jackson interesował się swoimi romansami równie powierzchownie jak legalnym małżeństwem, była zadowolona ze swojej pozycji. No i oczywiście z pieniędzy.

Meyer siedział rozparty w fotelu, stojącym pod wielkim oknem. Za jego plecami rozciągała się panorama miasta. Można było odnieść wrażenie, że jest ono jego prywatną własnością.

Wszystko w tym łajdaku było gładkie i doskonale. Poczynając od sztucznej opalenizny, na zmarszczkach wokół oczu kończąc. Miał

najlepszego chirurga plastycznego na świecie - twarzy, która na to nie zasługiwała, nadał wyraz pełnego atencji starszego pana.

- Nikt nie może wiedzieć, że tu jestem - powitał go Meyer. Słysząc było, że jest rozdrażniony. - Wszyscy muszą myśleć, że jestem w Meksyku.

- To ja rozsiewam tę plotkę, szefie - przypomniał mu Coltrane.

- Nie mogłeś dać Deanowi jakiejś pracy, którą może wykonać w domu? Nie chcę, żeby się tu kręcił i wszystkich o wszystko wypytywał. To dla mnie bardzo trudny okres. Pozwoliłeś, żeby Departament Sprawiedliwości deptał mi po piętach, chociaż miałeś mnie osłaniać.

- Szef mnie nie docenia, - Coltrane usiadł, choć nie został o to poproszony. W gabinecie Meyera czuł się jak u siebie w domu. - Wszystko jest pod kontrolą.

Jackson mruknął coś, co miało oznaczać niedowierzanie. Oczy mu się zwięziły.

- Nie mogę znaleźć akt Sandersona.

- A do czego są panu potrzebne? Zdawało mi się, że chodzi o to, żeby nikt nie był w stanie do nich dotrzeć. Te akta zniknęły, szefie, przypadły, nie ma ich i nigdy nie było. Bez porozumienia ze mną nikt ich nie znajdzie. Nawet pan.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć? - spytał podejrzliwie Meyer.

- Ponieważ nie jest pan głupcem - odparł spokojnie Coltrane. - Oddał pan tę sprawę w moje ręce i nie ma pan wyboru. Gdyby Departament Sprawiedliwości wpadł na jej ślad, pańskie imperium w

jednej chwili ległoby w gruzach. Nie istniałoby zresztą tak długo, gdyby nie wiedział pan, komu można zaufać, a kto na to nie zasługuje.

- Nikomu nie ufam całkowicie. - Meyer patrzył na niego spode łba. Widać było, że nie jest do końca przekonany. - Nawet tobie.

- Ja też nie. - Coltrane się do niego uśmiechnął. Meyer przyglądał mu się jeszcze chwilę, po czym skinął głową.

- Jak tam to cholerne mauzoleum? Jeszcze się nie rozpadło?

- Nie rozpadło się i pewnie nieprędko się rozpadnie. Ten dom ma swoisty urok. Byłby naprawdę wspaniały, gdyby go doprowadzić do stanu sprzed pięćdziesięciu lat.

- Nic z tego! - Meyer bez wahania odrzucił tę sugestię. - Wcześniej czy później moja zwariowana córka zrozumie, że to przegrana sprawa, i wyniesie się stamtąd. Wtedy każę zetrzeć tę rudę z powierzchni ziemi.

- A nie może ich pan po prostu stamtąd wyrzucić?

- Dawno bym to zrobił, gdybym mógł. Moja przeklęta matka zostawiła im posiadłość w wieczyste użytkowanie. Była tak samo sentymentalna jak Jilly i wiedziała, że ja chcę ten dom zburzyć. Będą tam siedzieć póki się da, ale wcześniej czy później poddadzą się. Kiedy zdecydują się na przeprowadzkę, nawet pomogę im finansowo, chociaż nie mam takiego obowiązku. Swoim dzieciom niczego nie żałuję - zełgał bez mrugnięcia okiem.

- Dlaczego pańska matka zostawiła dom im, a nie panu? - spytał Coltrane, korzystając z niezwykłej gadatliwości Meyera.

- Wiesz, jakie są matki - powiedział i roześmiał się nieprzyjemnie. - To suki, a moja była wyjątkowo wredna. Nigdy nie mogliśmy się dogadać. Uważała mnie za skurwiela bez sumienia. Zresztą słusznie.

Coltrane nie zareagował, pomyślał tylko, co też by się stało, gdyby spróbował wyrzucić Meyera przez to ogromne okno. Szyby są pancerne, więc niestety mało prawdopodobne, żeby wypadł na ulicę. Cierpliwości, powtarzał sobie w duchu, patrząc na człowieka, który zabił jego mamę.

- Mieszkał pan tam kiedyś? - spytał Coltrane.

- W La Casa? Za żadne skarby świata. Ten dom był już w ruinie, zanim dostał się w ręce mojej rodziny. Matka kupiła go, kiedy jeszcze byłem w college'u, a gdy wróciłem, byłem już zaręczony i zacząłem budować własne gniazdko.

Coltrane milczał. Zawsze udawał, że interesują go opowieści różnych zapatrzonych w siebie dupków. Tym razem było trochę inaczej. Pozwalał Meyerowi kłamać do woli i bardzo uważnie słuchał. Nie tracił nadziei, że w końcu wymknie mu się jakieś słówko, coś, co pozwoli Coltrane'owi znaleźć upragniony dowód przestępstwa.

- Nie mam zamiłowania do zrujnowanych domostw

- Meyer rozgadał się na całego. - Jilly ma, choć za cholere nie wiem, skąd jej się to wzięło. Jej matka nie cierpiała tego domu, ja też go nienawidziłem, gdyby to zależało od Deana, już dawno oddałby mi tę rudere, Rachel-Ann też by to zrobiła. - Głos mu wyraźnie zmiękł.

- Rachel-Ann zrobi wszystko, o co ją poproszę, ale Jilly nigdy. Prędzej zobaczy mnie w piekle, niż wypuści z rąk to swoje dziedzictwo. - Wyprostował się w fotelu i odwrócił do okna, żeby spojrzeć na miasto. - Co o niej myślisz?

Coltrane nawet nie drgnął. Głos Meyera był dziwnie czuły, toteż bez trudu zorientował się, że stary mówi o starszej córce, ale udał, że nie rozumiał.

- To prawdziwa amazonka. Zdecydował się pan, czy mam się z nią tylko przespać, czy może lepiej od razu kazać ją zabić?

- Pytałem o Rachel-Ann - syknął Meyer lodowatym tonem.

- Zdawało mi się, że nie chce pan, żebym się z nią wiązał.

Pomyliłem się?"

- Nie rób z siebie idioty, Coltrane! Co sądzisz o mojej córce? Jest piękna, prawda? Słodka, delikatna i bezradna.

To było niecodzienne - Meyer mówiący w ten sposób o swoim dziecku, ale Rachel-Ann była jedyną istotą, jaka go w ogóle obchodziła. Coltrane nie wiedział tylko, jak bardzo Meyer kocha Rachel-Ann i czy rzeczywiście jest to miłość ojcowska. Czy tylko ojcowska.

- Cudowna - odparł prędko. - Ale zupełnie do pana niepodobna.

- Adoptowałem ją — odparł Meyer. - Przecież wiesz.

- Zapomniałem. Zresztą Jilly też nie jest do pana podobna. Tylko Dean. Jest pan pewien, że matka Jilly nie miała kogoś na boku?

- Jestem pewien, ale nawet gdyby, to i tak niewiele by mnie to obeszło. Nie nadaję się na ojca. Dzieci zupełnie mnie nie interesują.

- Z wyjątkiem Rachel-Ann - stwierdził Coltrane.
- Owszem. Z wyjątkiem Rachel-Ann. Ale tobie nic do tego.

Jasne?

- Jak słońce - mruknął. - Czego pan ode mnie oczekuje, szefie?
- Deana chyba już mamy z głowy. Powiedziałeś, że chcesz mi przekazać sprawę Wentwortha. Dobry pomysł. To zajęcie w sam raz dla niego. Będzie tak zaabsorbowany pracą i swoim komputerem, że nie starczy mu czasu na rozglądanie się za tym, co nie powinno go obchodzić. Następna sprawa, to trzymaj Jilly z dala ode mnie. Jest zbyt wścibska i mogłoby się to dla niej źle skończyć.

- Co by ją tu mogło interesować?

- Nie musisz wiedzieć wszystkiego. - Meyer się skrzywił. - Tylko tyle, ile jest niezbędne, żeby zapewnić mi spokój. Pracuję nad czymś i chcę, żeby mi się udało. Taka uparta baba jak Jilly mogłaby mi narobić nie lada kłopotu. Musisz ją czymś zająć.

- Zająć ją mogę - zgodził się Coltrane bez entuzjazmu. - Chociaż nie bardzo rozumiem, jak Jilly mogłaby panu zagrozić.

- Ma kompletnego fioła na punkcie tego zrujnowanego domu, to po pierwsze. A poza tym uważa, że musi chronić przede mną Deana i Rachel-Ann.

- A musi?

- Dean jest nieszkodliwy. - Meyer wzruszył ramionami. - Pod warunkiem, że zajmuje się swoimi sprawami. A Rachel-Ann sam obronę i na pewno nie pozwolę, żeby stało jej się coś złego. Przyjmij

to jako ostrzeżenie, Coltrane. Jak mi wejdiesz w drogę, to pożałujesz, że się urodziłeś.

- Rozumiem - powiedział spokojnie. - Sypiać z Jilly, dać zajęcie Deanowi, trzymać się z daleka od Rachel--Ann, a Departament Sprawiedliwości z daleka od pana. Czy jeszcze coś mam zrobić? Nie trzeba przejść przez jakieś morze albo zamienić wodę w wino?

- Obejdzie się. - Meyer nawet się uśmiechnął. - Poradzisz sobie. Jilly jest dużo łatwiejsza, niż ci się wydaje. Zakochała się w Alanie, to i w tobie się zakocha. Musisz tylko trochę się o to postarać.

- A co z Rachel-Ann?

- Zostaw to mnie. Sam o nią zadbam.

- W porządku - zgodził się Coltrane.

- Poza tym chciałbym, żebyś zniknął stąd na jakiś czas - ciągnął Meyer. - Weź sobie parę dni wolnego, rozkoszuj się luksusem La Casa de Sombras i zrób, co trzeba, żeby Jilly i Dean byli pewni, że wyjechałem.

- A wyjedzie pan?

- Może - powiedział Meyer i uśmiechnął się czarująco.

Coltrane nie dał się oczywiście nabrać na ten fałszywy uśmiech.

Rachel-Ann wyjechała z domu jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Silnik bmw pracował bardzo nierówno. Już dawno należało odwieźć auto do warsztatu. Pieniądze nie grały roli, bo Jackson płacił wszystkie jej rachunki bez komentarzy. Zawsze tak było.

Bardzo chciała się napić. Strasznie. Miała za sobą kolejny trzeźwy dzień, jeden z nieskończenie długiego ciągu nieskończenie

długich trzeźwych dni. Chciała, żeby się skończył, zanim stanie się jeszcze gorszy.

Obudziła się wczesnym popołudniem. W domu nie było nikogo, ale zapach perfum i tytoniu podążał za nią wszędzie, doprowadzając ją do szaleństwa. Zadzwoiła do Jilly, ale nie zastała jej w biurze. Powiedziano, że wyjechała w teren, co w tłumaczeniu na język faktów oznaczało, że Jilly znowu walczy o jakąś straconą sprawę. Tym razem było to coś tak absorbującego, że wyłączyła telefon komórkowy.

Zdaniem Rachel-Ann Jilly marnowała życie na przegrane sprawy. Na przykład takie jak Rachel-Ann. Nie potrafiła zrezygnować, nie umiała pojąć, że wcześniej czy później i tak będzie musiała się poddać.

Rachel-Ann nie chciała być w domu sama, kiedy wróci Coltrane. Na jego widok ciarki chodziły jej po plecach. Gdyby miała wybierać pomiędzy duchami La Casa a przystojnym i czarującym Coltrane'em, wybrałaby duchy. W tym człowieku było coś, co budziło jej skrajny niepokój. Czowała ucisk w żołądku, lodowaty chłód w żyłach i bała się nawet zastanawiać, skąd się to bierze.

Tłumaczyła sobie, że przecież nic sienie stało, że jemu chodzi tylko o Jilly, ale jakoś nie mogła się uspokoić.

Pomyślała, że to wszystko przez ten przeklęty, niechciany dar, który pozwalał jej widzieć duchy i wiedzieć o sprawach, o których zwykli ludzie nie mają pojęcia. To niezwykle przecucie podpowiadało jej, że trzeba chronić Jilly przed tym facetem.

Niestety, kłopot z intuicją polega na tym, że nigdy nie wiadomo, czy rzeczywiście coś podpowiada, czy też może najzwyczajniej w świecie popadło się w paranoję.

Rachel-Ann wyszłaby na idiotkę, gdyby stanęła pomiędzy Coltrane'em i Jilly, nie proponując niczego w zamian. Choćby nawet siebie. Jako żywej przynęty, rzecz jasna.

Problem w tym, że ona nie pragnęła Coltrane'a. Nie chciała go na pewno, chociaż jej samej trudno było w to uwierzyć.

Kiedy ocknęła się z zamyślenia, okazało się, że jej auto stoi na parkingu przed kościołem unitarian. Spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. Spotkanie miało się zacząć za piętnaście minut. Półtorej godziny śmiertelnej nudy i narastającego poczucia winy. Na to także nie miała ochoty.

Znalazła miejsce do zaparkowania, wyłączyła silnik. Kościół był tuż przed nią, wystarczyła chwila, żeby przejść tych kilka metrów. Trzeba tylko otworzyć drzwi, wysiąść, zrobić kilka kroków. I może tym razem wreszcie udałoby jej się powiedzieć: „Cześć, mam na imię Rachel-Ann i jestem alkoholiczką”.

A może nie? Może lepiej włączyć silnik, wrzucić wsteczny bieg i zmiatać stąd gdzie pieprz rośnie. O tej porze w klubie „Kit-Kat” zabawa rozkręcała się już na całego. Nikt nie zwróci na nią uwagi, jeśli usiądzie sobie cichutko w kąciku i zaprawi się na amen. Potem z kimś pójdzie, z kimkolwiek, bez znaczenia, z kim. Przynajmniej przez ten krótki czas nie będzie sama.

A jednak nawet się nie poruszyła. Trzymała ręce na kierownicy i wpatrywała się w nie jak zahipnotyzowana.

Trzy miesiące i pięć dni nie miała w ustach ani kropli alkoholu i chodziła na te spotkania. Codziennie. Dziewięćdziesiąt i dziewięćdziesiąt. To jeszcze jedna z niezliczonych zasad obowiązujących alkoholika, który chce się wyleczyć: dziewięćdziesiąt spotkań w ciągu dziewięćdziesięciu dni.

Jeszcze jedno takie spotkanie, jeszcze jeden trzeźwy dzień i... No właśnie! I co dalej?

Jeśli odjadę i nie pójdę na to spotkanie, to wcale nie znaczy, że muszę zaraz pić, pomyślała. Mogę sobie pojechać nad ocean, popatrzeć, jak słońce chowa się za horyzontem, a kiedy zrobi się ciemno, wrócę do La Casa. Te przekłete duchy znów będą mnie obserwować, ale je zignoruję. Kiedyś mi nie przeszkadzały, więc dlaczego...

Kątem oka zauważyła za szybą twarz. Krzyknęła, ale zaraz rozpoznała tego człowieka.

Chciała opuścić szybę, ale silnik był wyłączony i elektryczny system nie zadziałał.

Rachel-Ann drżącą ręką sięgnęła do stacyjki i przekręciła kluczyk. Szyba bezszelestnie opuściła się w dół.

- Idziesz na spotkanie? - spytał Rico.

Po raz pierwszy się do niej odezwał, chociaż widzieli się już tyle razy. Rachel-Ann patrzyła w jego ciemnobrązowe oczy i miała takie uczucie, jakby już kiedyś je widziała i że wtedy też były tak blisko.

- Sama nie wiem - powiedziała szczerze i zaraz tego pożałowała. Teraz będzie tak długo marudził, aż zaciągnie mnie na to spotkanie, i zmusi do wysłuchania kolejnej porcji beznadziejnych zwierzeń, pomyślała.

- A chcesz iść?

Trochę się zdziwiła. Powinien ją namawiać, przekonywać, a nie pytać o zdanie. Skoro on zachował się nietypowo, Rachel-Ann postanowiła pozwolić sobie na to samo.

- Nie - powiedziała szczerze. - Chcę się upić.

- A co ja mam zrobić?

Całkiem zwyczajne pytanie. Tym razem należało zresztą też do rytuału AA. Rachel-Ann powinna odpowiedzieć, że powinien jej na to nie pozwolić. Problem w tym, że była potwornie zmęczona udzielaniem odpowiedzi, jakich się po niej spodziewano. Męczyło ją wszystko. Zwłaszcza życie.

- Powiedzieć ci prawdę? - spytała.

- Tak.

- Chcę, żebyś ze mną pojechał.

Wyprostował się. Nie widziała już jego twarzy, tylko wygniecione ubranie i pokryty jednodniowym zarostem podbródek.

Kiedy zniknął bez słowa, Rachel-Ann odetchnęła z ulgą. Ale zaraz pojawił się z drugiej strony auta, otworzył drzwi i usiadł obok niej.

Zapiął pas. Rachel-Ann nigdy tego nie robiła.

- Dokąd pojedziemy? - zapytał jakby nigdy nic.

- Czy to ważne? - powiedziała bez sensu, jej ręce ciągle jeszcze drżały.

Przekręciła kluczyk, nie pamiętając, że silnik już pracuje.

Rozrusznik zaprotestował głośnym zgrzytem.

- Nie - odpowiedział. - Zapnij pas.

- Dlaczego? Bo takie są przepisy?

- Nie. Ponieważ chcę, żebyś była bezpieczna. Spojrzała na niego z powątpiewaniem. We wnętrzu samochodu panował półmrok, więc prawie nie widziała jego twarzy.

- Tylko nie mów, proszę, że nagle się we mnie zakochałeś.

Roześmiał się. Miał bardzo miły śmiech, taki jakiś miękki...

- Nie powiem - obiecał.

- Wobec tego możesz ze mną jechać.

- Czy nie tego właśnie chciałaś?

- Nie mam pojęcia, czego chciałam ani czego chcę.

- Wiem - powiedział cicho.

Rachel-Ann ruszyła prosto przed siebie. Ponieważ nie mogła wymyślić żadnego innego miejsca, zawiozła go do klubu „Kit-Kat”, najbardziej nieprzyzwoitego lokalu, jaki знаła.

Rico siedł za nią bez słowa, patrzył, jak zamawia margaritę, i jak siedzi, wpatrując się w szklankę.

- Czy ja ciebie krępuję? - spytał z uśmiechem.

W klubie panował nieopisany hałas. Rachel-Ann musiała się pochylić, żeby usłyszeć, co Rico do niej mówił. W powietrzu unosił się zapach alkoholu i zrobiło jej się niedobrze.

- Nie będziesz mi zabraniał? - spytała. -1 prawil kazań?
- To zależy od ciebie. Jeśli sobie życzysz...
- A gdybym chciała, żebyś się ze mną napił?
- Nie, tego nie zrobię. - Jakby dla dodania mocy swoim słowom,

Rico pokręcił głową.

Siedzieli tak naprzeciwko siebie i patrzyli. Rachel-Ann na szklaneczkę z margaritą, a Rico na Rachel-Ann.

- Naprawdę chcesz to wypić, Rachel-Ann? - zapytał w końcu. -
A może wolałabyś stąd wyjść?

Tak jakoś dziwnie wypowiedział jej imię. Zabrzmiało bardzo znajomo.

Rachel-Ann podniosła szklanekę, spojrzała mu prosto w oczy.

Te oczy! Takie znajome... Tylko twarz zupełnie obca, zmęczona, pokryta zmarszczkami i bardzo pociągająca.

Rico bez wątplenia był prawdziwym mężczyzną, a Rachel-Ann rzadko zadawała się z mężczyznami. Wolała ładnych chłopców.

- Kim jesteś? - spytała, trzymając w dłoni szklaneczkę z oproszonym solą brzegiem. - Znam cię, prawda?

- Tak sądzisz?

- Przestań odpowiadać pytaniem na pytanie - zirytowała się Rachel-Ann. - Zachowujesz się jak jakiś cholerny terapeuta. Na pewno już kiedyś cię spotkałam. Albo w pijanym widzie, albo na haju. Ty też brałeś?

- Brałem.

- Ale teraz jesteś czysty i trzeźwy - zakpiła. - Może nawet już z tobą spałam, tylko tego nie pamiętam.

Nic nie powiedział. Patrzył na nią swoimi tajemniczymi, ciemnymi oczami.

- Spałam czy nie? - chciała wiedzieć Rachel-Ann.

- A jak ci się wydaje?

Odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić. Od kilku dni prześladowało ją dziwne uczucie, jakby już kiedyś przeżyła to, co się teraz działo, i jakby wszystko to dobrze знаła. Ludzi, sytuacje, słowa... Najpierw Coltrane, teraz Rico.

- Nie zabierzesz mi szklanki? - spytała wyzywająco.

- Sama musisz ją odstawić, chica. - Rico pokręcił głową. - Musisz sama zdecydować.

Chica. Od lat nikt jej tak nie nazywał. Gdyby było inaczej, pamiętałaby.

Mówiła tak do niej Consuelo, kiedy dawała jej mleko i czekoladowe ciasteczka.

Rachel-Ann odstawiła szklankę, nawet nie próbując alkoholu.

- Dobrze - powiedziała, uśmiechając się niepewnie. - Oto moja decyzja. Spadamy stąd. Chcę sobie przypomnieć stare czasy.

Jedziemy do ciebie czy do mnie?

Była zadowolona, bo wyraźnie się spłoszył. W końcu udało jej się wykrzesać z tego człowieka jakąś żywszą reakcję.

- To zależy od ciebie— powiedział po chwili.

- Do ciebie. - Rachel-Ann wstała, rzuciła mu kluczyki od auta. -
Ty prowadzisz.

Wyszła z nocnego klubu, nie oglądając się za siebie. Była
pewna, że Rico idzie za nią.

Scandalous

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rico zapiął jej pas, potem przesunął do tyłu siedzenie kierowcy, żeby zrobić miejsce swoim długim nogom. Rachel-Ann jakoś nie zwróciła uwagi, że jest aż taki wysoki.

Oparła się o zagłówek i zamknęła oczy. Nie chciała o niczym myśleć. W tej chwili liczyło się tylko to, że jest ktoś, kto odsunie od niej ciemność, i że nie trzeba wracać do La Casa z jego duchami. Oto mija kolejny dzień bez alkoholu.

Dobrze, że zdecydowała się pojechać z tym mężczyzną, bo dzięki temu robi coś dobrego.

Nie była tego jednak tak zupełnie pewna. Gdyby była, nie zamykałaby oczu, nie chowałaby się przed tym człowiekiem jak przed zagrożeniem.

Rico prowadził ostrożnie, lecz Rachel-Ann wciąż miała zamknięte oczy. Nie chciała wiedzieć, dokąd jadą.

Z praktycznego punktu widzenia był to błąd. Mogła mieć trudności ze znalezieniem drogi do domu, kiedy trzeba będzie tam wrócić.

A może nie będzie trzeba? A nawet jeśli, to pobłądzi w płątaninie ulic Los Angeles i najwyżej wróci później, niż gdyby знаła drogę.

Nie wiedziała nawet, czy ciągle są w mieście. Uznała, że skoro Rico jest Latynosem, to powinien żyć we wschodniej części Los Angeles, ale równie dobrze mógł mieszkać całkiem gdzie indziej.

Uchyliła powieki. Tylko troszeczkę. Chciała zerknąć na niego, choć blask deski rozdzielczej i światła ulicznych latarni nie dawały tyle światła, żeby można było widzieć wyraźnie.

Ma ładny profil, pomyślała. Mocno zarysowany nos, wysokie czoło, czarne, jedwabiste włosy... I ładne usta. Przy pewnej dozie dobrej woli mogłaby sobie wmówić, że jest niebezpieczny. Puszczanie się z obcym nie było takie ekscytujące, jeśli był niegroźny.

- O czym myślisz? - zapytał Rico. Chyba zauważył, że Rachel-Ann mu się przyglądała, ale nie patrzył na nią.

Prowadził świetnie. Jakby robił to całe życie i jakby. poruszanie się w piekielnym ruchu Los Angeles nie stanowiło dla niego żadnej trudności.

- Dobrze prowadzisz - pochwaliła. Woląla nie odpowiadać na postawione pytanie.

- To u nas rodzinne. Mój tata był szoferem.

- A ty co robisz? Poza chodzeniem na spotkania AA i podrywaniem kobiet?

- Nie mam zwyczaju podrywać kobiet - odparł spokojnie, wymijając lexusa, którego kierowca najwyraźniej zamierzał skasować swoje auto. - Pracuję w szpitalu miejskim.

- Co tam robisz?

- Pracuję na izbie przyjęć.

- Jako sanitariusz?

- Jak sobie życzysz. Zaczynał ją irytować.

- Zawsze jesteś taki zgodny? - spytała z irytacją.

- Nie zawsze. Moja mama mogłaby ci o mnie niejedno opowiedzieć. Potrafię być okropny. Dzisiaj przypadkiem mam dobry dzień.

- Dlaczego?

Dopiero teraz na nią spojrział. Właściwie tylko zerknął, po czym znowu skoncentrował się na prowadzeniu samochodu.

- Ponieważ jestem z tobą. Skrzywiła się.

- Już ci mówiłam, że nie interesują mnie faceci, którzy z miejsca się we mnie zakochują.

- Nie ma sprawy, chica - mruknął.

Coś tu było nie tak. W jego słowach kryła się jakaś dwuznaczność, której Rachel-Ann nie rozumiała. Usiadła prosto i popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Mam nadzieję, że nie jesteś psychiczny. Ja jestem normalna, nie interesują mnie jakieś sado-maso i tym podobne. Muszę tylko zapomnieć. Jeśli nie mogę mieć dragów ani wódki, to używam do tego seksu. Nie znoszę bólu.

- Ja też nie.

- To dlaczego pracujesz na izbie przyjęć? - zapytała ze zdumieniem.

- Bo tam mogę pomóc - odparł. - Czy nie za późno na zastanawianie się, czy warto było ze mną jechać?

- Myślisz, że jest za późno? Co byś zrobił, gdybym ci kazała zatrzymać auto i wysiąść? I pozwolić mi odjechać?

Rico bez słowa podjechał do krawężnika, zatrzymał samochód, ale nie wyłączył silnika.

- To zależy od ciebie - powiedział. - Nie będę cię zmuszał do niczego, na co nie masz ochoty. I nie zamierzam cię skrzywdzić. Jeśli chcesz, żebym sobie poszedł, to pójdę.

I zostawi mnie samą, żebym musiała wrócić do La Casa? Albo do „Kit-Kat”, pomyślała zawiedziona Rachel--Ann.

- W porządku. - Skinęła głową. - Wierzę ci. Uśmiechnął się, wrzucił bieg i znów włączył się w strumień pojazdów.

- Wcale mi nie wierzysz, chica. Ty nikomu nie ufasz. Ale popracujemy nad tym.

Ekstra, pomyślała ponuro. Znalazł się pieprzony terapeuta.

- Jak ci na imię? Jeśli mam spędzić z tobą noc, to powinnam wiedzieć, jak masz na imię.

- Przecież wiesz. Rico.

- Ale całe imię, nie zdrobnienie.

- Enrique Ricardo Salazardo de Martinez y Columbo. -

Hiszpańskie dźwięki wypływały z jego ust tak szybko, że ledwie mogła za nimi nadążyć.

- Rico wystarczy - zdecydowała. Odczekała chwilę, lecz on się nie odezwał. - Nie chcesz wiedzieć, jak ja mam na imię? Czy. może wolisz, żeby to było anonimowe?

- Cześć, mam na imię Rachel-Ann i jestem alkoholiczką -
zacytował zdanie, którego nigdy nie słyszał. Nie mógł słyszeć.

- Ja nigdy tego nie powiedziałam. - Rachel-Ann patrzyła na
niego podejrzliwie.

- Wiem.

To było jasne, że wiedział. Tylko skąd.

Rachel-Ann pożałowała, że na dzisiejszy wieczór wybrała akurat
jego. Był zbyt spostrzegawczy i stanowczo za dużo wiedział.

Chociaż właściwie wcale go nie wybrała. Po prostu zjawił się w
odpowiednim momencie, właśnie wtedy, kiedy potrzebowała kogoś,
kogokolwiek, kto by jej pomógł nie zwariować.

- Nazywam się Rachel-Ann Meyer. Niestety, nawet w połowie
nie tak egzotycznie jak ty.

- Nie masz aż tylu przodków - stwierdził Rico, uśmiechając się
łobuzersko.

- Żaden z nich nie chciał się do mnie przyznać. Jestem
adoptowana.

Skinął głową. Spokojnie, jakby o tym też wiedział i wcale nie
był zaskoczony.

- Ale chyba masz jakąś rodzinę?

- Siostrę i brata.

- Nie masz rodziców? Co się stało z tymi ludźmi, którzy cię
adoptowali?

- Matka zginęła wiele lat temu w wypadku samochodowym.
Niedługo po rozwodzie z Jacksonem.

- Kto to jest Jackson?
- Mój ojciec. Jeszcze żyje.
- A więc masz brata, siostrę i ojca...
- Nie chcę o tym rozmawiać - prychnęła zdenerwowana. -

Idziemy do łóżka, a nie do ślubu.

- Nie lubisz mówić o swoim ojcu?
- Odczep się, Rico - powiedziała. - A jak nie, to wysiadaj i idź sobie pieszo.

Znów podjechał do krawężnika. Zaparkował samochód, wyłączył silnik. Było całkiem ciemno. Tylko latarnie i przejeżdżające obok nich samochody rzucały odrobinę światła.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział. Rachel-Ann wyjrzała przez okno. Znajdowali się w robotniczej dzielnicy, przypominającej bardziej Nowy Jork niż Los Angeles.

- Tutaj mieszkasz?
- W następnym budynku. - Wziął ją za rękę. Nagle się przestraszyła, przez chwilę nawet miała ochotę wyrwać się. Ale on tylko położył jej na dłoni kluczyki od samochodu, zacisnął wokół nich jej palce i zaraz puścił.

- Rób, jak uważasz, Rachel-Ann - powiedział. - Ale ja idę.

Wysiadł z auta, okrążył je, podszedł do niej. Bez trudu mogła zablokować drzwi, wśliznąć się za kierownicę i zmykać gdzie pieprz rośnie. Dał jej możliwość wyboru. Wiedziała, że nie spróbuje jej zatrzymać. Przecież nawet nie otworzył jej drzwi. I wcale nie z powodu braku dobrych manier. Chciał, żeby sama dokonała wyboru.

Rachel-Ann odpięła pas, otworzyła drzwi i nie skorzystała z jego pomocy. Wsiadła sama.

Chwilę przyglądała się swojemu bmw. Mimo że auto nie sprawowało się najlepiej, wyraźnie różniło się od samochodów, parkujących na tej ulicy.

- Czy rano auto jeszcze tu będzie?

- Nie mogę ci tego obiecać, chociaż... Jeśli ludzie się zorientują, że jesteś ze mną, to prawdopodobnie nic mu się nie stanie.

- Dlaczego? Jesteś w tej dzielnicy ważnym gościem? Handlujesz narkotykami? Czy właśnie stąd się znamy?

- Skoro jestem Latynosem, to mogę być tylko albo sanitariuszem, albo handlarzem narkotyków? Niezbyt to ładne z twojej strony, chica - żartował z niej, zupełnie nie urażony,

- Przepraszam - mruknęła zawstydzona.

Bardzo rzadko zdarzało się jej coś podobnego. Zwykle jakiegokolwiek przeprosiny traktowałaby jako stratę czasu. Ale ten mężczyzna jakimś cudem skłaniał ją do robienia tego, czego nigdy nie robiła, i do odczuwania tego, czego bardzo dawno nie czuła.

Mieszkał na drugim piętrze starej kamienicy, w której nie było windy. Na schodach pachniało egzotycznymi przyprawami i było bardzo czysto.

Pierwszy wszedł do mieszkania, lecz nie zapalił światła. Może chciał się na nią rzucić? Po ciemku?

Śmieszne! Gdyby miał taki zamiar, nie siliłby się na uprzejmość.

Jednak już po chwili zrobiło się jasno.

Rachel-Ann znajdowała się w małym, czystym i przytulnym mieszkanku. Była tam sofa przykryta bardzo kolorowym pledem, całą ścianę zajmowała półka pełna książek. Oprócz tego był jeszcze telewizor i wieża stereo. Przy wychodzącym na schody pożarowe oknie stało biurko, a na nim komputer. Kuchnia była we wnęce. Tak samo czysta jak cała reszta mieszkania.

- Ładnie tu - powiedziała cicho Rachel-Ann.

- Dobrze, że sprzątaczką była akurat dzisiaj. Gdyby nie, to moja kwatery nie wydałaby ci się aż tak przyjemna. Jesteś głodna?

- Zrobiłbyś mi coś do jedzenia? - zdziwiła się Rachel-Ann.

Znów poczuła się dziwnie nieswojo. Nie pamiętała, kiedy kochała się z kimś na trzeźwo, a ten cały Rico nie robił niczego, żeby przybliżyć ten moment. Powinien ją oprzeć o ścianę, podciągnąć sweterek...

Sama nie wiedziała, czy chce, żeby jej dotykał. Może jednak nie chciała. Był wprawdzie bardzo przystojny, chociaż zmęczony i trochę niezadbany. Ale nawet się do niej nie zbliżył, a Rachel-Ann wolała niczego nie inicjować.

- Mogę zamówić pizzę - zaproponował.

Od razu przypomniał jej się Coltrane i jej przedziwna reakcja na niego.

- Nie chcę pizzy - powiedziała. - Nie jestem głodna. Masz coś do picia?

- Dietetyczną colę.

- Nie o to mi chodziło.

- Bujasz. Gdybyś chciała się napić, zrobiłabyś to w tamtej knajpie i nie przyjechałabyś tutaj ze mną -stwierdził spokojnie i zamknął drzwi na klucz.

Pomyślała, że to ją zamknął tu na klucz i nawet zastanawiała się, czy nie powinna zacząć się denerwować.

A może on tylko zamknął noc? Chociaż właściwie było jej wszystko jedno.

- Gdzie masz łóżko? - spytała.

- Tak ci się spieszy? Jeszcze wcześniej. Może byśmy...

- Porozmawiali? - dokończyła za niego. - Poznali się trochę lepiej? Może nawet zrobili sobie takie małe prywatne spotkanie AA? Nie przyjechałam tu na rozmowy. Gdzie łóżko?

Bez słowa podszedł do sofy, rozłożył ją, a kolorowy pled starannie ułożył na biurku, ostrożnie, jakby z szacunkiem.

- Czysta pościel - powiedział, uśmiechając się przekornie.

- Wszystko jedno. - Rachel-Ann wzruszyła ramionami.

Zaczęła rozpinać sweterek. Bała się, że jeśli zaraz tego nie zrobi, to nie zrobi wcale i na domiar złego jeszcze rozplącze się. Gdyby tak się stało, musiałaby stąd uciec, a nie miała dokąd.

Zdjęła sweterek, rzuciła go na podłogę, zsunęła spodnie. Została tylko w skąpej, jedwabnej bieliźnie.

Wyjęła z torebki garść prezerwatyw w kolorowych opakowaniach, położyła je na małym stoliku przy kanapie.

W tej samej chwili do pokoju wszedł Rico z poduszkami i kołdrą. Spojrzał na prezerwatywy i uśmiechnął się.

- Myślisz, że zużyję wszystkie? Chyba trochę mnie przeceniłaś - powiedział, patrząc na nią.

Była za chuda. Dobrze o tym wiedziała. Nazywano to heroinowym szykiem. To był wprawdzie jedyny narkotyk, jakiego udało jej się nie brać, ale i tak była strasznie chuda.

Nie chciała, żeby Rico się jej przyglądał, żeby ją oceniał.

- Zgasisz światło? - spytała podejrzenie spokojnie.

- Jak sobie życzysz.

- Zawsze jesteś taki ugodowy?

- Jeśli chcesz zostać zgwałcona, to wybrałaś niewłaściwego mężczyznę.

Niewłaściwego mężczyznę! Za dużo było tych niewłaściwych mężczyzn w jej życiu.

- Zgaś światło - powiedziała, i prawie natychmiast pokój pograżył się w ciemnościach.

Słyszała, jak Rico się rozbiera i wchodzi do łóżka. Sięgnęła do zapięcia rozpinanego z przodu stanika. Robiła to niezliczoną ilość razy, teraz jednak w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Wsunęła się pod puszystą kołdrę w białym bieliźnie.

Położyła się na plecach obok Rica. Starła się kontrolować szybkie bicie serca, płytki oddech. Rico był teraz tylko cieniem. Leżeli obok siebie, nie widząc się nawzajem.

Rachel-Ann czekała, aż Rico jej dotknie, ale on się nie spieszył. Zupełnie jakby wystarczyło mu patrzenie na nią w ciemności, chociaż wcale nie mógł jej zobaczyć.

- Masz dużo książek - odezwała się. Tylko po to, żeby przerwać tę nieznośną ciszę.

Nie musiała widzieć jego uśmiechu, żeby wiedzieć, że go rozbawiła.

- Jak chcesz sobie poczytać, to włączę światło - zaproponował.

- Chyba są za poważne jak na moje możliwości. Przynajmniej tak wyglądają. Co to za książki?

- Medyczne. I rzeczywiście są bardzo trudne.

- Po co ci medyczne książki?

- No cóż, nawet sanitariusze mają swoje zainteresowania - stwierdził filozoficznie Rico. - A prawda jest taka, że całą tę półkę z książkami wymyślił mój dekorator wnętrz. Twierdzi, że takie książki dobrze się prezentuje na każdej półce.

- Nie jesteś sanitariuszem.

- Nie.

- Ani felczerem.

- Nie.

- Paramedykem? - spytała z nadzieją w głosie. - Rehabilitantem?

- Dlaczego cię to interesuje?

Już знаła prawdę.

- Nie lubię lekarzy - powiedziała.

- Jeśli nie chcesz patrzeć, jak pracuję, to unikaj izby przyjęć.

To jej nie wystarczyło.

- Jeśli naprawdę jesteś lekarzem, to dlaczego chcesz iść do łóżka z obcą kobietą, która była narkomanką i alkoholiczką? Słyszałeś kiedyś o AIDS? Może HIV obilo ci się o uszy?

- Przyniosłaś prezerwatywy. A poza tym skąd wiesz że ja jestem czysty?

- A jesteś? - spytała, choć nie wiedziała, czy wyszłaby stąd, nawet gdyby powiedział, że nie.

- Jestem zdrow jak ryba.

- A ty mnie nie zapytasz?

- Nie ma potrzeby, chica. Jeśli jesteś chora, to się tobą zajmę. Ale nie sądzę, żebyś miała w sobie jakieś świństwo. Nie przyjechałabyś tu ze mną. Uważasz się za złą i okrutną, ale nie posunęłabyś się do tego żeby podrywać obcych facetów tylko po to, żeby ich zarazić.

- Przecież ty nic o mnie nie wiesz - westchnęła Rachel-Ann.

- Chodź do mnie - poprosił.

Poczuła na sobie jego dłonie. Przytulił ją do siebie, głaskał po głowie... Nie zastanawiając się nad tym, co robi, oparła ją na jego ramieniu. Był nagi, tak jak się spodziewała, i podniecony. Czekala, aż zrobi coś więcej. Na przykład zdejmie z niej bieliznę, pocałuje, każe się dotykać...

Nie zrobił niczego. Jakby wystarczyło mu tylko to, że ją przytula.

- Uspokój się, Rachel-Ann - szepnął jej do ucha. -Nie zrobimy nic, czego nie będziesz chciała.

- A jeśli będę chciała tylko tak leżeć?
- Też dobrze.
- Twoje ciało mówi co innego.
- Owszem - przyznał. - Ale nie ono tu decyduje. -Nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy.

Odwrócił ją do siebie plecami, otulił całym sobą. Naprawdę niczego od niej nie chciał.

Było jej zimno i gorąco. Jedyne, na co naprawdę miała w tej chwili ochotę, to leżeć w jego ramionach i płakać.

Patrzyła w milczeniu na półkę pełną książek, myślała tylko o tym, że jest jej ciepło i bezpiecznie. Powoli, niedostrzegalnie, napięcie zaczęło znikać.

- Tyle książek - mruknęła półprzytomna.
- Tyle książek - powtórzył. - Śpij, aniołku.
- Nie jestem aniołkiem - szepnęła. - Nie chcę spać.
- Chcesz. Jesteś zmęczona. Odpocznij wreszcie, -chica. Teraz nie musisz walczyć. Przy mnie będziesz bezpieczna.

- Skąd wiesz, czego chcę? - Mówiła coraz ciszej, coraz mniej wyraźnie. - Skąd mnie znasz?

- Po prostu cię znam. Nie pytaj, tylko śpij.
- Nie chcę - szepnęła i natychmiast zasnęła. Wtulona w jego ramiona, wreszcie spokojna i bezpieczna. ..

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jilly nie spała. Leżała z twarzą wtuloną w poduszkę i nasłuchiwała.

Rachel-Ann nie wróciła na noc do domu. Nie było słychać ani szybkich kroków na schodach, ani włączanego przez siostrę Weather Channel.

Coltrane'a także nie było, ale tym Jilly się nie przejmowała. Nawet była zadowolona. Każdy dzień bez niego zdawał się błogosławieństwem, zwłaszcza po tym, co się zdarzyło ubiegłej nocy.

Dlaczego, na litość boską, pozwoliłam mu się pocałować? Dlaczego on to zrobił? Musiał mieć jakiś powód, niemożliwe, żeby po prostu go poniosło. A ja nawet go nie uderzyłam. Gdyby Rachel-Ann nam nie przeszkodziła, poszłabym z nim do łóżka i już nigdy nie zaznałabym spokoju.

Nie, chyba nie byłoby aż tak źle. Gdyby Rachel-Ann nie weszła na taras, Jilly na pewno wzięłaby się w garść. Jeszcze nigdy nie popełniła dwa razy tego samego błędu, więc i tym razem jakoś by z tej sytuacji wybrnęła. Alan dał jej dobrą szkołę i Jilly była pewna, że zapamięta otrzymaną lekcję do końca życia. To dlatego właśnie postanowiła już nigdy więcej nie sypiać z przystojnymi facetami bez serca, którzy tak naprawdę pragnęli jej siostry.

Obróciła się na plecy. Nigdy dotąd nie była zazdrosna. Nawet wówczas, kiedy dowiedziała się, że Rachel-Ann sypia z Alanem, była tylko wściekła. Wściekła na Alana za to, że ośmielił się ją zdradzić.

Ale czuła też ogromną ulgę, bo nie musiała już niczego udawać. Szybko się zorientowała, że to małżeństwo jest jednym wielkim nieporozumieniem, ale jakoś głupio jej było się rozwodzić.

Jilly od początku przeczuwała, że jej związek z Alanem nie został zaplanowany w niebie. Już wtedy, kiedy wyjeżdżając z La Casa, płakała, zamiast cieszyć się, że wychodzi za mąż. Mimo to pewnie do śmierci byłaby z tym dupkiem, gdyby nie jego bezdenna głupota. Sam dał jej poważny powód, dzięki czemu mogła się go wreszcie pozbyć.

Do siostry nigdy nie miała żalu; uważała ją za jeszcze jedną ofiarę Alana. Zresztą może nie tyle Alana, co jej własnej wybujałej seksualności.

Jilly jeszcze nigdy nie była tak zaangażowana, żeby z tego powodu stracić głowę.

Oczywiście, chodziła na randki, jak wszystkie nastolatki. Nawet sypiała z chłopakami, o których myślała, że ich kocha, a także z tymi, z którymi należało się przespać. Żaden z nich nigdy nie zrobił na niej większego wrażenia. Wręcz przeciwnie, zazwyczaj po takiej przygodzie pozostawał wyłącznie niesmak.

W pewnym momencie zaczęła się nawet zastanawiać, czy przypadkiem nie ma skłonności homoseksualnych. Nie miała, choć wiedziała, że Dean czułby się uszczęśliwiony, gdyby tak było. Wprawdzie stanowczo wolała towarzystwo kobiet od mężczyzn, ale nigdy żadna z nich nie wzbudziła w Jilly nawet cienia pożądania.

Mężczyzna także zresztą nie. Nasuwa się więc jedyny logiczny i możliwy do przyjęcia wniosek: Jilly była kobietą oziębłą. Nigdy nie przeżywała żadnych szczególnych uniesień, seks nie sprawiał jej przyjemności, a seks małżeński bardzo szybko stał się przykrym obowiązkiem.

Właśnie dlatego przez trzy lata, jakie minęły od rozvodu z Alanem, z nikim sienie związała. Nie miała nawet takiej potrzeby. Aż do wczoraj, kiedy ten cały Coltrane, najbardziej niewłaściwy facet na całym bożym świecie, wdarł się nieproszony w jej życie.

Przewróciła się na bok, uderzyła pięścią miękka, puchową poduszkę. Było jej za gorąco. Zdjęła dres, który, mając wrażenie, że noc jest bardzo zimna, włożyła, nim poszła spać.

Tak naprawdę ubrała się nie tyle z zimna, co dla bezpieczeństwa. Poprzedniej nocy miała na sobie tylko koszulkę z cienkiej bawełny, stanowczo za delikatną, żeby skutecznie oddzielić ją od Coltrane'a.

Ale teraz nie musiała się go bać. Nie mógł wejść nieproszony do jej sypialni, bo nie było go w domu. A gdyby nawet był, to w swoim wielkim łóżu Jilly była całkiem bezpieczna.

Dlaczego, u licha, przyszło jej w ogóle do głowy, że

Coltrane jest niebezpieczny? Oczywiście, miał w sobie coś z łobuziaka, coś takiego, za czym Rachel-Ann zawsze przepadała. Jilly była za mądra, żeby ulegać pokusom związanym z tego rodzaju mężczyznami i dlatego dla niej Coltrane wcale nie był niebezpieczny. Tak przypuszczała.

Przewróciła się na brzuch i znów wymierzyła cios poduszcze. Starła się przestać myśleć o Coltranie i nie mogła. Nie wiedziała, dlaczego.

Może to jakiś nagły wzrost poziomu hormonów we krwi? A może była jedną z tych kobiet, które po prostu późno rozkwitają i wkrótce stanie się tak samo nienasycona jak Rachel-Ann?

Kręciło się koło niej wielu mężczyzn, niektórzy przystojni, nawet bardzo. Na przykład: Sam Bailey albo Mark Fulmer, albo pewien prawnik z Towarzystwa Ochrony Zabytków... Nie, z prawnikami nigdy nie chciała mieć nic wspólnego. Poza tym uważała, że to marnowanie czasu. Tymczasem okazało się, że przynajmniej na jednego nie żał jej czasu i że ma więcej wspólnego ze swoją siostrą, niż się jej wydawało. Ze skłonnością do wybierania sobie nieodpowiednich mężczyzn włącznie.

Była czwarta rano, zazwyczaj właśnie o tej porze budziła się. Jilly usiadła, skopała z nóg skotłowaną kołdrę. Pomyślała, że może warto pójść w ślady siostry jeszcze w innych sprawach i po prostu się napić.

Porządny łyk brandy i może udałoby się jeszcze zasnąć. Mogłaby nawet spóźnić się do pracy. I tak nie miała dziś wiele do roboty.

Mogłaby nawet nigdy więcej się tam nie pokazać. Ochrona zabytków w Los Angeles to czysta kpina. Poza tym nawet własnego domu nie udaje jej się uchronić przed ruiną, więc cóż tu mówić o cudzych?

Pensja była żałośnie mała, wręcz symboliczna. Na pewno znalazłaby jakieś zajęcie, które pozwoliłoby zarobić dość pieniędzy na utrzymanie La Casa. Jeśli nie na wyremontowanie, to przynajmniej na uchronienie go przed kompletną ruiną.

Rufus pochrapywał na podłodze przy łóżku swej pani. Jilly ostrożnie przeszła obok niego. Wołała, żeby się nie obudził. Po drzemce zawsze miał nadmiar energii i pałał chęcią zabawy. Na pewno nie pozwoliłby Jilly zmrużyć oka.

Cichutko zamknęła za sobą drzwi sypialni, zeszła do kuchni i odszukała napoczętą dawno temu butelkę brandy. Kieliszki już dawno się wy tłukły, więc naląa sobie sporą porcję alkoholu do szklanki.

Oparta plecami o żeliwny zlew sączyła powoli, delektując się ciepłem, rozchodzącym się po całym cieie.

Po namyśle doszła do wniosku, że Rachel-Ann wybrała się gdzieś z Coltrane'em. Coś między nimi było, coś bardzo silnego. Nawet najmniej spostrzegawczy człowiek na świecie by to zauważył. Rachel-Ann nigdy nie miała oporów, jeśli chodzi o okazywanie zainteresowania mężczyznom, a tym razem było inaczej.

Co do Coltrane'a Jilly nie miała żadnych złudzeń. Czegoś chciał od rodziny Meyerów i gotów był użyć wszelkich środków, byleby to dostać. Jilly dałaby naprawdę dużo, żeby się dowiedzieć, czego ten facet od nich chce.

Wypiła całą zawartość szklanki i napełniła ją jeszcze raz. Niepotrzebnie. Rzadko piła alkohol i nie była przyzwyczajona do jego działania. Ale komu to przeszkadzało? Była w domu sama i chciała

zaraz wrócić do swego pokoju, wsunąć się do łóżka i spać tak długo, jak się da.

Wyłączyła światło i kuchnia znów pogrążyła się w ciemnościach.

Alkohol ją rozluźnił, przywrócił zachwianą przez koszmary sen równowagę. Chociaż właściwie nie tylko sen. Był jeszcze pocałunek...

Jilly odpychała tę myśl, ale była tak podekscytowana, że zastanawiała się, czyby tego nie powtórzyć...

I co dalej? Spędzić z nim noc? Chyba nie zwariowałam? A może?

Zupełnie się odprężyła. Nareszcie ustąpiło męczące napięcie wszystkich mięśni. Przestało ją nawet obchodzić, z kim jest teraz Rachel-Ann. I tak zawsze wybierała sobie najgorsze męty. Choćby ten, którego tu sprowadziła krótko przed pójściem do szpitala. Był handlarzem narkotyków i bił ją. Nawet Coltrane byłby lepszy od tamtego bandyty.

Coltrane... Nie nadaje się dla Rachel-Ann. No cóż, chciałam go przed nią ustrzec. Bez sensu. Jak zwykle tylko strata czasu. Po co ja się zresztą nim przejmuję? Mało mam kłopotów z Deanem i Rachel-Ann? A może ona i ten cały Coltrane będą żyli razem długo i szczęśliwie i nie będę się już musiała martwić.

Czterdziestego maja, jak zakwitną firanki.

Nagle w salonie dostrzegła jakąś poświatę. Zamarła, przerażona.

Pokój właściwie nigdy nie był używany. Jeśli wszyscy akurat byli w domu, siadywali w Saloniku Tropikalnym, urządzonego w stylu

art deco. Był tam ogromny rzeźbiony bar i telewizor z wielkim ekranem - prezent od Jacksona, który czasami miewał napady szczodropliwości.

W salonie od dawna nie było też żadnej lampy, ale blask sączył się na pewno stamtąd. Wiele lat temu nakryto meble pokrowcami, odsunięto pod ściany, na wszystkim spoczywała gruba warstwa kurzu... Kto mógł tam siedzieć, u diaska?

Duchy! Nie było innego wytłumaczenia. Nieziemskie światło, przejmująca cisza, dziwne przeczucie czyjejś obecności...

Może trzeba wypić trochę alkoholu, żeby móc je zobaczyć?

Po osiemnastu latach Jilly wreszcie miała ujrzeć słynne duchy z La Casa de Sombras. Nikt by jej teraz nie zmusił do powrotu do łóżka, do zrezygnowania z takiej niepowtarzalnej okazji.

Mocno ściskając na pół opróżnioną szklaneczkę brandy, zajrzała ostrożnie przez oddzielające salon od holu łukowato sklepione przejście.

Pokój wyglądał, jakby nikogo w nim nie było, tylko z najdalszego kąta, spoza kanapy z wysokim oparciem sączyło się światło. Zrzucony z kanapy pokrowiec leżał na zakurzonej podłodze.

Jilly się przestraszyła. Może lepiej pójść na górę po Rufusa? Może lepiej w ogóle pójść na górę i już tu nie wracać?

Stała bez ruchu i nasłuchiwała. Wszyscy mówili, że duchy La Casa są dosyć hałaśliwe, a więc gdyby to one baraszkowały na kanapie, Jilly musiałaby coś usłyszeć.

A swoją drogą ciekawe, co też mogłyby wyprawiać na kanapie duchy? Podobno wiele lat po tym, jak znaleziono ich martwe ciała, widziano Brendę de Lorillard i jej kochanka nagich.

Jilly bardzo chciała zobaczyć wreszcie te sławne duchy, ale pomimo wszystko wołała nie oglądać ich podczas miłosnego zbliżenia.

Nic. Żadnego dźwięku. Światło też się nie ruszało, tworząc mały, stabilny krąg ciepła. Jilly poszła w tę stronę. Nie mogła się powstrzymać. Zupełnie jak ćma.

Była w połowie drogi, gdy zdała sobie sprawę, że oświetlenie pokoju nie jest zjawiskiem nadprzyrodzonym. Ktoś przyniósł tu z jednego z nieużywanych pokoi lampę stołową i to ona świeciła. Naga żarówka o mocy nie większej niż czterdzieści wat oświetlała przyćmionym blaskiem za dużą dla niej przestrzeń.

A więc to jednak nie duchy, pomyślała z żalem Jilly.

Obeszła kanapę dookoła. Musiała sprawdzić, kto się tu panoszy, kto śmie robić w jej domu, co mu się żywnie podoba. Ale czy naprawdę musiała? Mogła się przecież domyślić.

Na kanapie leżał Coltrane: bez koszuli, bosy, nieogolony... Po prostu fantastyczny! Sam. Po Rachel-Ann nie było nawet śladu.

Jilly chciała się wycofać, ale potknęła się o drugą kanapę.

Coltrane otworzył oczy.

Niemożliwe, żeby spał, pomyślała Jilly. Na pewno udawał. Pewnie od dawna wiedział, że tu jestem.

- Co pijesz? - spytał.

- Brandy.

Usiadł na kanapie i oparł się o jej olbrzymi bok. W przyćmionym świetle słabej żarówki, w zestawieniu ze złotą skórą i złotymi włosami Coltrane'a podarty adamaszek nabrał koloru kości słoniowej.

Coltrane wyciągnął rękę i Jilly podała mu szklanę, nawet nie myśląc o tym, co robi.

Była zafascynowana. Jeszcze nigdy nie spotkała człowieka, który z taką naturalnością traktowałby własne ciało. Alan zawsze się wdzięczzył, pysznił i prężył, nieustannie oczekując podziwu. Coltrane nie zwracał na swoje ciało najmniejszej uwagi. Zachowywał się zupełnie zwyczajnie.

Jest niesłychanie piękny, pomyślała Jilly, siadając naprzeciwko niego na drugiej kanapie, nadal pokrytej pokrowcem stanowiącym raczej symboliczną ochronę przed niszczącym działaniem czasu.

- Gdzie jest Rachel-Ann? - spytała.

- Nie widziałem jej dzisiaj. Czy coś się stało? Powinniśmy się niepokoić?

Udała, że nie zauważyła tego „my”. To tylko zwykłe przejęzyczenie. Szkoda sobie zawracać nim głowę.

- Nie wróciła na noc do domu. Myślałam, że razem dokądś poszliście.

- Dlaczego?

- Bardzo się nią interesujesz.

- Interesujesz mnie ty, a nie twoja siostra. - Patrzył na nią sponad szklanki. - Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz tego zrozumieć. Tylko mi nie wmawiaj, że nie przywykłaś do zainteresowania mężczyzn, bo i tak ci nie uwierzę.

- Bardziej interesowała ich moja siostra.

Jilly była zdumiona, że naprawdę to powiedziała. Nawet pomyślenie czegoś takiego sprawiało jej przykrość, a powiedzenie tych słów na głos było o całe piekło gorsze.

To wszystko przez alkohol. Gdyby mogła się spodziewać, że natknie się na Coltrane'a, nie wychodziłaby z sypialni i na pewno nie szukałaby brandy. Nie zamierzała płacić aż tyle za kilka godzin snu.

- Nie wiedziałam, że tu jesteś - powiedziała, chcąc jak najszybciej zmienić temat. - Myślałam, że to duchy.

- A ja myślałem, że w nie nie wierzysz. Przyglądał się jej, lecz Jilly nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy. Może zresztą tak było lepiej?

- Nie mówiłam, że w nie nie wierzę, tylko że nigdy ich nie widziałam.

- Jak długo mieszkasz w tym domu?

- Siedemnaście lat. Z przerwami.

- Gdyby istniały, to przez ten czas już byś się na nie natknęła - stwierdził rozsądnie.

- I ja tak uważam - zgodziła się Jilly. - Po co tu przyszedłeś, skoro masz takie wspaniałe, nowe łóżko?

- Chciałem coś przemyśleć - odparł. - A łóżko wcale nie jest takie wspaniałe. Za miękkie.

Wypił łyk brandy i oddał szklanekę Jilly. Nie zamierzała dotykać ustami miejsca, którego przed chwilą dotykały jego wargi, więc pokręciła głową.

- Mam dość - powiedziała. - Bardzo rzadko piję alkohol.

- Ale chyba ci nie zaszkodził? - Uśmiechnął się kpiąco.

- Może trochę. - Jilly czuła, że bardzo, ale nie chciała się do tego przyznać. - O czym myślałeś?

- Zastanawiałem się, czy nie powinienem się stąd wynieść.

- Wynieść? - powtórzyła machinalnie. Przecież właśnie o to się modliła, to było rozwiązanie jej obecnych problemów i... ostatnia rzecz, jakiej chciała.

- Wynieść - powiedział. - Rozumiesz? Zmiatać, zniknąć, spadać, wiać do wszystkich diabłów.

- Co cię nagle napadło?

- Chyba ten dom źle na mnie wpływa. Brenda de Lorillard grywała w takich łzawych romansidłach, w których facet zawsze musiał odejść.

- Nic mnie to nie obchodzi. Dlaczego się wyprowadzasz? - spytała Jilly. Musiała się skupić na tym, co było naprawdę ważne. Nie chciała teraz rozmawiać o kinie ani o Brendzie de Lorillard.

- Czy to ważne? - Coltrane zmrużył oczy jak kot.

- Nie, ale jestem ciekawa - skłamała Jilly.

- A więc powiem ci. - Coltrane westchnął komicznie. -

Doszedłem do wniosku, że powinienem stąd zniknąć, zanim stanę się tym, czego tak bardzo nienawidzę.

- A czego tak bardzo nienawidzisz?

Nie odpowiedział. Bo co miałby jej powiedzieć? Że nienawidzi jej ojca, Jacksona Deana Meyera, swojego mentora? I tak by mu nie uwierzyła.

Wypił resztę brandy i postawił pustą szklanekę na parkiecie.

- Dlaczego nie chcesz, żebym się wyniósł? - zapytał.

- Chcę, żebyś się wyniósł - parsknęła.

Oparła się plecami o sofę, wyciągnęła przed siebie swoje długie nogi.

Podobały mu się jej nogi. Jilly ani trochę w to nie wątpiła.

Naprawdę podobały mu się jej nogi.

Jej samej też się podobały. Były jej jedynym atutem. Nawet Rachel-Ann nie miała takich długich nóg jak Jilly.

Nogi dodały jej odwagi. Może nie tyle nogi, co nadmiar wypitego alkoholu.

- Nie znasz mnie, ale się mądrzysz - stwierdziła filozoficznie.

- Może rzeczywiście cię nie znam - zgodził się bez wahania - ale na pewno się nie mądrzę.

- Uważasz, że jestem nieśmiałym, delikatnym kobieciątkiem - mówiła jakby do siebie. - Ze tacy duzi, silni faceci jak ty mnie przerażają? Że boję się seksu, życia...

- Nie wiem, czy przerażają cię wszyscy duzi, silni faceci, skarbie, ale na pewno bardzo boisz się mnie.

- Udowodnię ci, że nie! - Jilly wstała, podeszła do Coltrane'a i usiadła na nim okrakiem. Patrząc mu prosto w oczy, objęła go za szyję. - Widzisz? Wcale się ciebie nie boję. Kto się boi złego wilka? - zażartowała.

Przesunął się i poczuła, że jest podniecony. W odruchu nagłej paniki chciała uciec, ale Coltrane ją przytrzymał.

- Odchodzisz? - spytał. - Właśnie teraz, kiedy zrobiło się ciekawie? Nie chcesz się przekonać, jak bardzo jesteś odważna?

Naprawdę chciała mu się wyrwać i uciec, chociaż nie była pewna, czyby ją puścił, gdyby zaczęła się szarpać. A może wcale nie chciała się tego dowiedzieć? Jakaś jej część, gdzieś z samego środka, była gotowa podjąć wyzwanie, udowodnić, że Jilly Meyer nie jest tchórzem.

Tchórz nie zdołałby przez tyle lat utrzymać tego rozpadającego się domu, rodziny, nie sprzeciwiłby się Jacksonowi.

Najważniejsze jednak było to, że bardzo pragnęła Coltrane'a. Skoro już znalazła się w tym miejscu, chciała przynajmniej skosztować zakazanych rozkoszy.

- Nie domyślasz się nawet, jak bardzo jestem odważna - powiedziała i nachylając się, dotknęła ustami jego nagiego torsu. Jej włosy otuliły ich jak gruby płaszcz.

Objął Jilly i przytulił ją do siebie.

Przesunęła usta w dół, wzdłuż wąskiej linii włosów na jego piersi. Spróbowała sięgnąć do brzucha, ale nie mogła, jeśli nie chciała zmienić już zajmowanej pozycji. A nie chciała.

Zakołysała się ostrożnie, dotykając twardego skrawka jego ciała. Uczucie było wyjątkowe, wszechogarniające, denerwujące. Zamarła, lecz Coltrane przytrzymał jej biodra.

- Jeszcze, skarbie - mruknął. - Jeśli jest ci choć trochę tak przyjemnie jak mnie, to nie możesz teraz przestać.

Było to najbardziej erotyczne doświadczenie w jej życiu.

Coltrane dotknął piersi Jilly. Ale nie nagiego, gorącego ciała, tylko okrywającej je bawełnianej koszulki. Ta przeszkoda z tkaniny irytowała go i jeszcze bardziej podniecała.

- Dobrze ci, prawda? - szeptał, otulony kurtyną jej gęstych włosów. - Miło i bezpiecznie. To ubranie pomiędzy nami... Żadnego dotykania, żadnej nagości... Bezpiecznie. Na odległość. Bez poufałości.

Poruszała się powoli, w przód i w tył, przesuając się po wybrzuszeniu jego ciała. Było jej gorąco, zimno, niesamowicie.

Coltrane coś do niej mówił. Nieprzyzwoite słowa, opisujące, co chciałby z nią zrobić, jak chciałby jej dotykać, smakować, jak ją brać... Słowa docierały do niej przez oślepiającą mgłę zawstydzienia i pożądania. Jego dłonie spoczywały na jej biodrach, kontrolowały rytm...

To wszystko było obrzydliwe, złe, wulgarne, ale Jilly nie przestałaby teraz za żadne skarby świata, za nic nie zdołałaby

przestać. Chciała więcej, chciała czuć jego ciało, chciała go mieć w środku. Nigdy nikogo tak nie pragnęła. Była spocona i drżała...

- Zostaw - wyszeptała. - Nie mogę.

- Możesz. Tylko spróbuj - powiedział, unosząc się nieco w górę.

Jilly miała ochotę go uderzyć albo chociaż ugryźć. Za to, że ją tak drażni, tak strasznie dręczy.

Oczywiście, że mogła. Miał rację. Jeszcze ze sobą walczyła, gdy eksplodowała nagłym, gwałtownym orgazmem.

On także, razem z nią. Usłyszała jego jęk, poczuła żar i wilgoć...

Półprzytomna, osunęła się na niego i przytuliła policzek do jego ramienia, piersi, do jego brzucha.

Chwilę potrwało, nim zrozumiała, co zrobiła i co on zrobił. Gdy wreszcie to pojęła, doznała szoku. Zerwała się błyskawicznie, byle dalej od niego i upadła na podłogę.

Coltrane uniósł się na łokciu. Uśmiechał się.

- Bardzo dawno nic takiego mi się nie przytrafiło - powiedział. - Jesteś niebezpieczną kobietą, Jilly Meyer.

Nie mogła patrzeć ani na niego, ani na siebie. Płonęła ze wstydu i upokorzenia.

Na dworze zrobiło się jasno. Nawet noc nie chciała ukryć jej upokorzenia.

Jilly zrobiła więc to, co na jej miejscu zrobiłaby każda odważna, szanująca się kobieta. Uciekła.

Ścigał ją odbijający się echem po pustych pokojach śmiech Coltrane'a.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Daj mi papierosa - powiedziała zdenerwowana Brenda.

Ted z uśmiechem podał jej całą paczkę.

- Ty też lubisz takie łajdactwa, mój skarbie.

- Muszę przyznać, że to było znacznie bardziej inspirujące niż wszystko, cośmy widzieli przez tyle lat. Te obrzydliwe stworzenia, które tu buszowały w latach sześćdziesiątych... Spółkowały jak zwierzątka i uważały, że to takie niezwykle - skrzywiła się Brenda.

- Nie jestem pewien, czy ten Coltrane to dobry wybór. - Ted pokręcił głową. - Jilly zasługuje na coś lepszego.

- Jesteś zazdrosny. - Brenda uśmiechnęła się do niego. - Nie trzeba, kochany. Ten młody człowiek jest bardzo przystojny, ale stanowczo nie w moim typie.

Ted spojrzał na nią. Udawał obrażonego.

- Mam rozumieć, że wolisz brzydkich mężczyzn? Takich jak ja?

- Nie żartuj! Wiesz, że wielbiłam cię aż do dnia... - Nie dokończyła zdania. Nie mogła go wielbić aż do dnia swojej śmierci, bo tamten dzień dawno minął. - Moim zdaniem Coltrane doskonale nadaje się dla Jilly. To najlepszy orgazm, jaki u niej widziałam.

- Łajdaczka! - mruknął czule Ted.

- W takim sensie ty także jesteś łajdakiem, kochany. Mieliśmy tu taki mały reality show, tylko o wiele bardziej zajmujący niż większość tych śmieci, które nasze dziewczynki oglądają w telewizji. Nie rozumiem, jak ktoś może mieć obsesję na punkcie pogody.

- To bardziej interesujące niż wypadki uliczne. I przestań co chwila zmieniać temat, mój skarbie. Rozmawialiśmy o tym Coltranie, pamiętasz? Otóż ja nie mam do niego zaufania.

- Ja także mu nie ufam - zgodziła się Brenda. - Przecież nie powiedziałam, że jest godny zaufania. Niegodni zaufania mężczyźni są najbardziej interesujący i ten tutaj wcale nie jest wyjątkiem. Moim zdaniem on ma w sobie coś. Gdyby się trochę poprawił, byłby w sam raz dla Jilly.

- A nie dla Rachel-Ann?

- Nie. - Brenda pokręciła głową. - Nie dla Rachel--Ann.

- Czy nie powinniśmy zrobić czegoś w sprawie Jilly?

- Poszła na górę. Siedzi pod prysznicem i płacze. Często tak robi, kiedy myśli, że nikt jej nie słyszy.

- Może pójde tam i sprawdzę... - zaproponował Ted, ale Brenda nie pozwoliła mu nawet skończyć zdania.

- Trzymaj się od niej z daleka, ukochany. - Żartobliwie pogroziła mu palcem. - Wiem, że się w niej zadurzyłeś, ale jesteś mój.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się. - Chciałem cię wypróbować, mój skarbie. Nie chcę patrzeć na inne kobiety. Zwłaszcza gdy płaczą pod prysznicem.

- Ona nadal jest w tych majtkach i w tej samej koszulce.

- Bardzo ładnie się do niej kleją. Uwielbiam szykowne kobiety.

- Uważaj! - Brenda trzasnęła go w rękę. - Jest jej dobrze pod tym prysznicem. Zaraz zakręci wodę i położy się do łóżka. Na pewno będzie długo spała.

- A co z Coltrane'em?

Ted ruchem głowy wskazał mężczyznę, który nadal pólleżał na sofie i nieprzytomnym wzrokiem patrzył przez okno na wschodzące słońce.

- Jemu też nic nie będzie. Musi sobie parę rzeczy przemyśleć. To wszystko. Sprawy ułożyły się zupełnie inaczej, niż to sobie zaplanował. Uwielbiam takie historie!

- Czyżby wtajemniczył cię w swoje plany, mój skarbie? - spytał podejrzliwie Ted.

- Nie, i niestety nie potrafię czytać w ludzkich myślach, ukochany. Wiem tylko, że kiedy pojawił się w tym domu, miał przed sobą jasno określony cel, a teraz ten jego cel diabli wzięli. Robi się coraz bardziej interesująco.

- Jak dla mnie to nawet za bardzo - westchnął Ted. - Najbardziej mi się podobało, kiedy nikt tu nie mieszkał. Wtedy miałem cię tylko dla siebie.

- Nadal masz mnie tylko dla siebie. - Brenda uśmiechnęła się do niego. - Zawsze tak będzie.

Pochyliła się i pocałowała go delikatnie.

Przez żaluzje przeświecało słońce, na materacu pojawiły się jasne paseczki.

Rachel-Ann nie chciała się budzić. Miała wrażenie, że nigdy w życiu nie było jej tak dobrze.

Temperatura była idealna: ani za ciepło, ani za chłodno. Unoszący się w powietrzu zapach kawy pogłębiał wrażenie komfortu.

Podniosła powieki, ale sienie poruszyła. Oglądała sobie pokój. Leżała sama w łóżku, słyszała, jak ktoś krząta się po kuchni. Rico?

Zamknęła oczy i próbowała znowu zasnąć.

Zazwyczaj wychodziła zaraz po miłosnym zaspokojeniu. Gdy tylko partner zasypiał zmęczony, ona wymykała się cichutko z mieszkania czy hotelowego pokoju.

Ale tym razem to ona spała, chociaż wcale się nie kochali. Nawet się nie pocałowali. Usnęła w bezpiecznym schronieniu ramion Rica, a teraz czuła się bardziej obnażona, niż gdyby tańczyła nago na stole.

Nie chciała się z nim spotkać. Postanowiła udawać że śpi, poczekać aż Rico wyjdzie i wtedy uciec z jego mieszkania. Nie musiałyby go nigdy więcej widzieć.

I tak nienawidziła tych spotkań AA, a nawet gdyby kiedyś zdecydowała się na jakieś pójść, nie musiałyby to być wcale w kościele unitarian. Z powodzeniem mogła pojechać dalej na zachód, znaleźć jakieś inne miejsce.

Usłyszała, jak Rico wychodzi z kuchni. Szybko zamknęła oczy, udając, że śpi. Ale zapach kawy stał się jeszcze intensywniejszy i stanowił pokusę nie do pokonania.

- Obudź się, Rachel-Ann. Muszę iść do pracy, a nie chcę wychodzić, dopóki nie umieszczę cię w samochodzie. To paskudna dzielnica. Może być niebezpiecznie, jeśli nie będę na ciebie uważał.

Powoli otworzyła oczy.

Rico był już ubrany, wykąpany i ogolony; pachniał mydłem i szamponem. Był bezsprzecznie najprzystojniejszym facetem, jakiego Rachel-Ann w życiu widziała.

Udało jej się uśmiechnąć.

- Za minutę już mnie tu nie będzie - powiedziała, owijając się kołdrą.

Właściwie nie było powodu do takiej wstydlivosti. Nadal miała na sobie bieliznę, tę samą, w której wieczorem stała przed nim bez żadnego skrepowania. Prezerwatywy leżały na nocnym stoliku, tam, gdzie je położyła, nie używane.

Rachel-Ann poczuła, że się czerwieni.

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie zjesz śniadania.

Przygotowałem coś dobrego. Jeśli chociaż nie skosztujesz, to się obrażę.

- Rano nigdy niczego nie jem.

Pachniało bosko. Cudowny zapach prawdziwego śniadania z kawą. Ostatni raz pachniało tak w La Casa, kiedy Rachel-Ann była bardzo młoda, a w kuchni rządziła Consuelo,

- Dzisiaj zjesz. Łazienka jest tam. Przygotowałem dla ciebie czysty ręcznik. Jeśli chcesz, możesz wziąć prysznic. Śniadanie będzie czekać.

- Nie jadam...

- Rano - dokończył za nią. - Czy już ci mówiłem, że jestem uparty jak osioł?

Odczekała, aż Rico wróci do kuchni. Nie wiedzieć czemu nie miała ochoty paradować przed nim w samej bieliźnie. Jej ubranie leżało przy łóżku porządnie złożone. Chwyciła je, pobiegła jak strzała do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Bardzo długo stała pod prysznicem. Podobał jej się zapach mydła i zapach szamponu. Pomyślała, że kiedy stąd wyjdzie, będzie pachniała tak samo jak Rico.

Zmiętą bieliznę wrzuciła do kosza na śmieci. Na gołe ciało włożyła spodnie oraz sweterek i uchyliła drzwi od łazienki.

Miała nadzieję, że skoro Rico wciąż jest w kuchni, to może uda jej się jakoś wymknąć.

Nic z tego! Rico czekał na nią, trzymając w dłoni kluczyki od samochodu.

Przedtem nie zwróciła uwagi na jego dłonie. Właściwie wcale mu się nie przyglądała. Nie lubiła przyglądać się swoim kochankom. Ale ponieważ się nie kochali, wszystko nagle stało się inne.

Rachel-Ann najpierw przyjrzała się dłoniom Rica. Były niemal arystokratyczne, o długich palcach, po prostu piękne. Zgrabne, bardzo zręczne dłonie, które wiedzą, jak pieścić kobietę.

Spojrzała na jego twarz. Koścista, interesująca, raczej atrakcyjna niż przystojna, z zadziwiająco pięknymi, brązowymi oczami. Wzbudzał w niej przedziwne, dawno zapomniane uczucie spokoju.

Pomyślała, że to przez ten zapach, smakowity zapach jedzenia, który przypominał jej bezpieczne dzieciństwo. No i oczywiście

spokojnie przespana noc. Calutka, aż do rana. Właściwie powinna się obrazić, że Rico pozwolił jej usnąć, że niczego od niej nie chciał.

Ale dobrze pamiętała dotyk ciepłego, bardzo podnieconego męskiego ciała. To nie brak zainteresowania sprawił, że Rico się z nią nie kochał.

Kochał... Rachel-Ann rzadko używała tego określenia. A jednak z tym mężczyzną by się kochała. Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy, nie życzyła sobie...

Przestała na niego patrzeć.

- Dobrze, daj mi jeść - powiedziała - a potem znikam.

Na śniadanie podał huevos rancheros. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz jadła tę potrawę. Sam widok jajek i ostrego sosu o tak wczesnej porze powinien spowodować u niej skręt kiszek, tymczasem poczuła, że jest głodna jak wilk.

Jajka były niebiańsko smaczne, przyprawione tak jak trzeba, po prostu doskonałe. Kawa, mocna, ze śmietanką, bardzo słodka z odrobiną cynamonu, taka, jaką Rachel-Ann najbardziej lubiła.

Miała ochotę wylizać talerz, kiedy zauważyła, że Rico się jej przygląda.

- Nie jadasz śniadań? - spytał.

Rachel-Ann nonszalancko wzruszyła ramionami i sięgnęła po kubek z kawą.

- Co mam ci powiedzieć? Wiesz, że było pyszne. Kto cię nauczył gotować?

- Mama.

Gwałtownie odstawiała kubek na stół, podniosła głowę, żeby jeszcze raz mu się przyjrzeć.

Wszystko nagle znalazło swoje miejsce, choć jeszcze przed chwilą nawet do głowy by jej nie przyszło, że to w ogóle możliwe.

Rico miał na sobie luźną koszulkę z białej bawełny. Rachel-Ann wstała i zadarta ją do góry, zanim zdążył cokolwiek zrobić.

Tatuaż był na swoim miejscu, tuż pod łopatką. Przez lata trochę przybladł, ale z pewnością był to ten sam tatuaż: serce przeszyte błyskawicą, a obok jej imię na zawsze wyryte na skórze.

Rachel-Ann zadrżała. Nagle zrobiło jej się zimno.

Rico siedział nieruchomo, tak samo jak przedtem i patrzył na nią tymi swoimi dobrymi oczami.

- Richard - powiedziała ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Rico - poprawił ją spokojnie. Wyciągnął dłoń, piękną dłoń, która tak czule dotykała jej w przeszłości. - Rachel-Ann...

Cofnęła się, podeszła do drzwi kuchni, oparła się o framugę.

- Oszukałeś mnie.

- Nie oszukałem.

- Nie powiedziałeś mi, kim jesteś...

- Powiedziałem ci, jak się nazywam. Oczywiście wiedziałem, że nic ci to nie powie. Zawsze byłem dla ciebie tylko Meksykaninem, który każe się nazywać Richardem, synem kucharki i szofera. Nie interesowało cię moje nazwisko.

W jego głosie nie było nawet cienia gorczy. Zwyczajne stwierdzenie faktu.

- Śledziłeś mnie.

- Nic podobnego - zaprzeczył. - Sama przyszłaś na spotkanie do kościoła... Poznałem cię od razu. Ja nie zapomniałem. Nie tak jak ty.

- Na litość boską, nie widziałam cię ponad piętnaście lat! Jakim cudem miałabym cię poznać?

Był szczuplejszy niż piętnaście lat temu, bardziej ascetyczny. Jako nastolatek był śliczny, silny i przystojny. Teraz stał się porażająco piękny.

- Nie denerwuj się, chica - próbował ją uspokoić. - Nie mam do ciebie pretensji. Nie mogłaś wiedzieć, kim jestem, a ja ci tego nie przypomniałem, bo nie chciałem cię wystraszyć. Tamto było bardzo dawno. Sama tak powiedziałaś. I nie miało znaczenia. W końcu nie byłem ani pierwszym, ani ostatnim mężczyzną, z jakim spałaś.

- Ładnie to ująłeś - stwierdziła lodowatym tonem.

- Nie obrażaj się, nie ma o co - tłumaczył łagodnie. - Od tamtej pory miałaś już dwóch mężów...

- Nie nadażasz - przerwała mu Rachel-Ann. - Niedawno rozwiodłam się z trzecim. Nie, oczywiście, że nie byłeś pierwszy i na pewno nie ostatni. Trudno mi nawet spamiętać wszystkich moich mężów, nie mówiąc o kochankach i o tych wszystkich, z którymi pieprzyłam się jako nastolatka...

- Przestań - powiedział cicho.

- Co mam przestać? Mam nie używać brzydkich słów czy tylko tego słowa? Przecież właśnie to robiliśmy. Pieprzyliśmy się wszędzie, zawsze i na wszystkie sposoby. Tak się to robi, kiedy człowiek ma

siedemnaście lat. Widzę, że ciebie to już nie interesuje, aleja nadal korzystam z każdej nadarzającej się okazji.

Prowokowała go. Chciała, żeby się poczuł dotknięty, żeby jej ostre słowa uraziły go, ale on tylko uśmiechnął się do niej czule.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa, Rachel-Ann.

- Idź do diabła - mruknęła, wychodząc z kuchni. Jej sandały stały obok przykrytej kolorowym pledem sofy. Na pewno zrobiła go Consuelo. Gdzieś w jej pokoju, dobrze schowany, był podobny pled. Consuelo zrobiła go dla niej na jej szesnaste urodziny.

Rico stał w drzwiach do kuchni. Patrzył na Rachel--Ann, ale nawet nie próbował jej zatrzymać.

Wsunęła stopy w sandały, chwyciła kluczyki od auta. Niechcący zrzuciła ze stolika stertę prezerwatyw. Spojrzała na leżące na podłodze paczuszki.

- Chyba zabiorę je ze sobą - powiedziała z udaną nonszalancją. - Nie powinnam mieć problemu ze znalezieniem kogoś, kto zechce ich użyć.

Nareszcie udało jej się go dotknąć, przebić się przez ten jego spokój i anielską cierpliwość. Zrobił krok w jej stronę, ale zaraz się zatrzymał. Bardzo szybko odzyskał panowanie nad sobą.

- Ależ z ciebie prowokatorka! - powiedział, chyba nawet trochę ubawiony. - Zostaw te prezerwatywy. Zużyjemy je następnym razem.

- Pierdol się! - Specjalnie użyła ordynarnych słów.

- Następnym razem - powtórzył z naciskiem Rico. Rachel-Ann wypadła z mieszkania i z całej siły trzasnęła drzwiami. Zbiegła wąskimi schodami na ulicę.

W świetle dziennym okolica wyglądała jeszcze bardziej ponuro, a do jej bmw zaglądało trzech kilkunastoletnich chłopaków.

Rachel-Ann szła w kierunku auta z kluczykami w dłoni, a chłopcy patrzyli na nią wymownie. Musiała zebrać całą siłę woli, żeby się nie zatrzymać, tylko iść dalej, prosto przed siebie.

Zaledwie trzy kroki dzieliły ją od samochodu, gdy jeden z chłopców zastąpił jej drogę. Nie miał więcej niż szesnaście lat, ale był o głowę od niej wyższy, potężny, miał na sobie kurtkę z symbolem gangu, a na policzku wytatuowane trzy łezki. Był przerażający.

Nagle rozległ się jakiś głos. Chłopak się odwrócił, odpowiedział coś po hiszpańsku.

Na chodniku stał Rico. Bosy, spokojny, panujący nad sytuacją.

Dwaj pozostali natychmiast odsunęli się od auta, tylko ten, który zastąpił jej drogę, przez chwilę spierał się o coś z Rikiem.

Rachel-Ann kiepsko znała hiszpański, ale była pewna, że rozmawiają o niej i że Rico spokojnie, ale stanowczo, każe temu chłopcu zostawić ją w spokoju. I że nie będzie tolerował sprzeciwu.

W końcu chłopak wzruszył ramionami, bezradnie rozłożył ręce, a potem z przesadną galanterią otworzył przed Rachel-Ann drzwi auta. Stał przy nich jak prawdziwy dżentelmen, czekając, aż dama usiądzie za kierownicą. Następnie zamknął drzwiczki i nawet się uklonił, chociaż z wyraźną kpina.

Ręce jej drżały, gdy wkładała kluczyk do stacyjki. Co gorsza, silnik nie zaskoczył przy pierwszej próbie i Rachel-Ann omal się nie rozpląkała. W najgorszym wypadku będzie siedzieć zamknięta w swoim samochodzie, dopóki wszyscy ci ludzie sobie nie pójda albo dopóki nie umrze z głodu, co nie grozi jej tak prędko, ponieważ dopiero co pochłonięła wspaniałe śniadanie.

Właściwie po jedzeniu powinna mieć torsje, zwłaszcza że potem przeżyła prawdziwy szok, ale nic takiego się nie stało. Śniadanie jakimś cudem ułożyło się elegancko w żołądku, przyjemnie go ogrzewając.

Wreszcie samochód ożył. Rachel-Ann wjechała na jezdnię tak szybko, że omal nie zderzyła się z przejeżdżającą obok ciężarówką.

Od razu znalazła drogę powrotną. Pomyślała z lękiem, że w takim razie równie łatwo będzie tu wrócić.

Włączyła głośno radio, ale szybko wyłączyła, bo akurat śpiewał Ricky Martin - po hiszpańsku. Rachel-Ann nie chciała myśleć ani o seksie, ani nawet o języku hiszpańskim, a słuchając Ricky Martina, nieuchronnie musiałyby myśleć o jednym i o drugim.

Jechała w porannym tłoku w kierunku Bulwaru Zachodzącego Słońca. Wiedziała, że przesadziła i niepotrzebnie aż tak się zdenerwowała. Nie było sposobu, żeby zapamiętać choćby połowę z tych wszystkich facetów, z którymi w życiu spała, więc pewnie nie po raz pierwszy wylądowała w łóżku z kimś, kogo już wcześniej zaliczyła. Nigdy nie potrafiła wyciągać wniosków z własnych błędów.

Tyle że Richard... Rico nie był jednym z jej przypadkowych kochanków. Rachel-Ann go kochała. Przynajmniej przez jakiś czas.

Cholera, nie pamiętam nawet, dlaczegośmy ze sobą zerwali. No tak, musieliśmy się ukrywać, to oczywiste. Consuelo i Jaime nie pochwalaliby tego romansu. Kochali mnie, ale dla swojego jedynaka wymarzyli sobie dziewicę z porządnej, katolickiej rodziny.

Rachel-Ann teoretycznie była katoliczką, jednak wiarę, podobnie jak dziewictwo, straciła na długo przedtem, zanim przyjechała do La Casa. W żadnym wypadku nie nadawała się na żonę dla Rica. Jego rodzice na pewno zrobiliby coś, żeby nie dopuścić do ich małżeństwa.

Ale kto mógł nas wydać, zastanawiała się Rachel-Ann. Babcia niczego by nie zauważyła, a Jilly była po dziecięcemu podekscytowana swoją tajemną wiedzą o naszych schadzках. Nie, Jilly na pewno nikomu o nas nie powiedziała.

Czyżby Rico mi się znudził? Może znalazłam sobie kogoś innego i zламаłam mu serce? Jak to się stało?

Wreszcie sobie przypomniała. Przypomniała też sobie, dlaczego tak bardzo chciała zapomnieć o Ricu i o wszystkim, co się z nim wiązało.

Zrobiło jej się zimno i rozboleł ją żołądek w niemym proteście zarówno przeciwko wspomnieniu, jak i huevos rancheros:

To przez Jacksona! Jak zwykle.

Rachel-Ann nie miała pojęcia, skąd ojciec się o wszystkim dowiedział, skoro nawet osoby mieszkające w La Casa, Jaime,

Consuelo i babcia, niczego się nie domyślali. Widocznie wynajął ludzi, którzy ją szpiegowali. Była pewna, że Jilly jej nie zdradziła, a Dean był wtedy w szkole wojskowej i nie miał zielonego pojęcia, jakich kłopotów narobiła sobie jego siostrą.

Jednak Jackson skądś wiedział o romansie córki. Wezwał ją do swojego biura, bo w La Casa nigdy nie bywał, twierdząc, że to miejsce go przytłacza.

Tak więc wezwał ją do biura i był bardzo spokojny, jakby wcale go to nie obeszło. Metodycznie i po kolei wymieniał daty i godziny jej spotkań z Rikiem, a nawet to, co wtedy robili. Głędził o zasadach, a Rachel-Ann siedziała przerażona słowami, jakich używał.

Natychmiast zabrano ją z La Casa i musiała zamieszkać z Jacksonem. Zabronił jej nawet kontaktować się z rodzeństwem, nie mogła dosłownie zrobić kroku bez niego.

Tylko raz udało jej się uciec. Pojechała do La Casa w nocy, autostopem. Brama była zamknięta, lecz Rachel-Ann doskonale wiedziała, w którym miejscu można przejść przez mur. Bez trudu weszła na teren posiadłości.

Wtedy się dowiedziała, że Consuelo i Jaime zostali zwolnieni bez wypowiedzenia. Zniknęli, a ich syn razem z nimi.

Przypomniała sobie nawet, że zastanawiała się wtedy, czy Jackson nie kazał ich pozabijać. Nie wątpiła, że byłby do tego zdolny. W przeciwieństwie do Deana i Jilly, nie miała co do niego żadnych złudzeń.

No i nie była aż taka głupia, żeby go o to spytać. Była natomiast wystarczająco mądra, żeby natychmiast o wszystkim zapomnieć i już nigdy więcej nie myśleć o tych ludziach.

Dlatego go nie poznała. W ogóle nie istniał w jej pamięci. Dopóki znów się nie pojawił. Richard. Nie, Rico o pięknych dłoniach i aksamitnym głosie.

Dostała nauczkę. Bardzo dawno temu. Ale zapomniała o niej.

Wszystko przez to, że ją nabrał. Gdyby wiedziała, kim jest, trzymałaby się od niego z daleka. Od początku przeczuwała, że spotkania anonimowych alkoholików nie przyniosą jej niczego prócz kłopotów. Należało być posłusznym intuicji, chociaż, z drugiej strony...

Może to właśnie intuicja kazała jej wczoraj pójść z tym mężczyzną? To coś, co przez tyle lat spoczywało w niej dobrze ukryte, to, o czym myślała, że już dawno nie istnieje?

Postanowiła nie pozwolić, żeby to coś znów wydostało się na zewnątrz. Nienawidziła bólu. Zresztą życie było za krótkie, by tracić je na cierpienia.

Rachel-Ann lubiła zapomnienie. Bezprzytomność. Spokój.

Skręciła w uliczkę prowadzącą do La Casa, chociaż chciała spokoju, a przecież tam nie mogła go zaznać.

Uprzytomniła sobie, że takiego miejsca, w którym mogłaby zaznać spokoju, nie ma na całym świecie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zachariasz Redemption Coltrane czuł się jak kompletne zero.

Nigdy nie miał złudzeń co do własnej szlachetności ani nie przejawiał skłonności do uzalania się nad sobą. Kiedy był bardzo młody, trochę się buntował, zwłaszcza przeciwko swoim bliskim, ale teraz, kiedy poznał rodzinę Jilly, kiedy dokładnie wszystko sobie przemyślał, doszedł do wniosku, że jednak wolał swoją niedoskonałą, dawno nieistniejącą rodzinę od tej, z którą teraz mieszkał pod jednym dachem.

Wyjątkiem była Jilly. I Rachel-Ann, która była jego siostrą, należała więc do tej właśnie rodziny, o której myślał, że dawno przestała istnieć.

Coltrane wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie po odkryciu prawdy o Rachel-Ann.

A więc on też miał siostrę. Nie był pewien, czy powinien się z tego cieszyć, czy wprost przeciwnie. To odkrycie niweczyło wszystkie jego plany. Co gorsza, właśnie się przekonał, że Jilly Meyer zdołała jakimś cudem wdrzeć się do jego serca. Zależało mu na niej, za nic w świecie nie pozwoliłby nikomu jej skrzywdzić. Nawet sobie.

Wszystko się bardzo skomplikowało. Naprawdę trudno mu było w tej sytuacji realizować do końca swój plan wobec Meyera. Postanowił natychmiast wyjechać. Już wcześniej podjął tę decyzję, kiedy znalazł ów zapomniany salonik, a teraz tylko umocnił się w postanowieniu.

Służbowe sprawy z Meyerem prawie skończył. Stary był o krok od katastrofy, a Departament Sprawiedliwości gotów do ostatecznego posunięcia.

Coltrane nie mógł osiągnąć nic więcej. I tak nikt mu nie zwrócił zmarłej matki i wcale nie był pewien, czy kiedykolwiek zdoła dowiedzieć się prawdy o jej śmierci. Nawet gdyby pozostał w La Casa.

Najwyższy czas wracać do normalnego życia. Tak, to by było najrozsądniejsze wyjście. Nie mógł uwieść Rachel-Ann, a Jilly była bezwartościowa z punktu widzenia jego zamierzeń. Powinien odejść, zniknąć na zawsze z życia tych dwóch kobiet.

Tak właśnie powinien postąpić każdy przyzwoity człowiek. Niestety, Coltrane nie był przyzwoity i czasami nawet miał wątpliwości, czy w ogóle jest człowiekiem. Był bezwzględny skurwielem i dlatego nie potrafił zrezygnować z odwetu, nawet dla dobra swojej wrażliwej siostry. Podobno ona i jej ojciec są do siebie bardzo przywiązani. Jeśli Meyera spotka klęska, to Rachel-Ann może to bardzo mocno przeżyć.

Coltrane nie chciał niszczyć życia swoich bliskich. Jilly zresztą także nie chciał skrzywdzić, choć w żaden sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego. Widać drzemały w nim jeszcze jakieś resztki przyzwoitości. Jeśli tak było, należało je jak najprędzej wyplenić, wyrwać z korzeniami, zlikwidować ostatecznie. Jackson Dean Meyer prowadził brudną grę, więc Coltrane także nie mógł grać uczciwie. Gdyby nie zdobył się na podobną podłość, nigdy nie doprowadziłby

Meyera do upadku. Nie zamierzał pozwolić sobie na to, żeby ten ukryty w nim załączek przyzwoitości pomieszał mu szyki.

Musiał zniszczyć Meyera, nawet gdyby Jilly i Rachel-Ann miały z tego powodu bardzo cierpieć. Nie były winne temu, że miały takiego ojca; miały tylko pecha.

Udało mu się uruchomić znajdujący się w jego łazience prysznic. Kiedy, czysty i pachnący, zszedł na dół, było już po ósmej.

Przypuszczał, że Jilly się nie pojawi, chyba że znajdzie się w sytuacji bez wyjścia. Na pewno zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby się na niego nie natknąć, chociaż nie miała tej mocy wiele.

Coltrane nie mógł zapomnieć wyrazu jej twarzy, kiedy siedziała na podłodze, potargana i oszołomiona. Nie mógł przestać myśleć o tym, jak bardzo chciałby móc podejść do niej i dokończyć to, co zaczęli. Na pewno zamknęła drzwi do swojej sypialni. Nie tylko zamknęła, ale jeszcze zabarykadowała.

Mimo to pomyślał, że, jeśli trzeba, to wyłamie drzwi i skończy sprawę. Nie mogła przez całe życie zamykać się przed tym, co ją przerażało, a przeraziła ją własna zmysłowa reakcja, całkowicie nieoczekiwana. Przed sobą, przed własnymi uczuciami jeszcze nigdy nikomu nie udało się uciec.

Nie spodziewał się, że sprawy mogą zajść tak daleko. Chciał ją tylko trochę podniecić, wprowadzić w zakłopotanie, a potem zostawić niespełnioną. Ale tak prędko stracił panowanie nad sytuacją, że nie mógł zrobić nic. Nie mógł i nie chciał.

Stał w mrocznej kuchni i uśmiechał się do siebie. Myślał o tym, że on także musi się wreszcie czegoś nauczyć. Choćby tego, że nie wolno mu lekceważyć Jilly Meyer ani wrażenia, jakie robi na nim ta kobieta.

Pił drugą filiżankę kawy, kiedy do kuchni wkroczyła Rachel-Ann. Jak dotąd nie widział jej tak ożywionej.

Na widok Coltrane'a zatrzymała się w progu. Był prawie pewien, że gdyby spodziewała się go tu zastać, poszłaby inną drogą.

- Jest kawa - powiedział.

- Już piłam - odparła, nie poruszając się nawet.

- Napij się jeszcze.

- Za bardzo się potem denerwuję.

To jest argument, pomyślał. Rzeczywiście wygląda jak kłębek nerwów.

- A więc jej nie pij. - Wzruszył ramionami.

Po raz pierwszy był z nią sam na sam i czuł się dziwnie nieswojo.

- Nerwowość czasem się przydaje – zdecydowała i nareszcie ruszyła się z miejsca. - I tak chciałam z tobą porozmawiać.

Weszła do kuchni i nalała sobie kawy. Usiadła naprzeciw niego.

Coltrane zafascynowany patrzył, jak sypie do filiżanki niesamowitą ilość cukru.

- No to rozmawiaj - zgodził się bez wahania. Rozparł się na kuchennym krześle i czekał.

- Co zrobiłeś mojej siostrze?

Różnych rzeczy się po niej spodziewał, ale tego pytania na pewno nie.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Widziałam, jak wyjeżdżała z domu. Minęła mnie i nawet nie zauważyła. Płakała. Zabrała ze sobą Rufusa.

- Kiedy to było? Myślałem, że jeszcze śpi.

- Nie dalej niż pięć minut temu. Co jej zrobiłeś? -powtórzyła pytanie Rachel-Ann.

- Zupełnie nic - skłamał bez mrugnięcia okiem. Me zamierzał zwierzać się młodszej siostrze z tego,co się zdarzyło na sofie w salonie.

- Kłamiesz.

- Nawet gdyby, to co z tego? Naprawdę uważasz, że Jilly potrzebuje niańki? I to w twojej osobie? Jest dorosła. Sama może podejmować decyzje.

- Nie jest aż tak nieczuła, za jaką sama się uważa. Jest silna, ale łatwo ją zranić. Może dlatego, że za bardzo się o wszystkich troszczy.

- Trzeba się było nad tym zastanowić, zanim przespałaś się z jej mężem.

Zielone oczy Rachel-Ann zabłysły gniewem. Coltrane pomyślał sobie poniewczasie, że wybrał nie najlepszy sposób zainteresowania sobą cudem odnalezioną siostrą.

- Zapomniałam - syknęła - że wiesz wszystko o naszych rodzinnych sprawach.

- Tak się to teraz nazywa? Sprawy rodzinne?

- Jilly już dawno o tym wie. Wybaczyla mi.

- To oczywiste. Przecież przed chwilą sama powiedziałaś, na czym polega jej problem. Za bardzo się o wszystkich troszczy. Kocha cię i chce chronić, chociaż zawiodłaś ją w najbardziej podstawowej dla każdego człowieka sprawie. Chce cię chronić, chociaż robisz wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby jak najszybciej się zabić, i tak naprawdę to ona nie ma żadnych szans, żeby cię uratować.

Sam się zdziwił, skąd w jego głosie tyle gorzkości.

Wziął do ręki filiżankę z kawą. Czekał, aż jego siostra zrobi mu awanturę.

Nie zrobiła. Zdawało się nawet, że opuścił ją gniew. W każdym razie patrzyła na niego z wyrazem bezgranicznego zdziwienia na twarzy.

- Ciekawostka! - mruknęła. - Nigdy bym nie pomyślała...

- O czym byś nie pomyślała?

Był coraz bardziej zirytowany i przestawał nad sobą panować. Jilly też go irytowała. Właściwie nie ona, tylko jej wiecznie krwawiące serce, jej całkowita bezbronność. A Rachel-Ann go wkurzała, tym swoim idiotycznym pragnieniem śmierci. Ale najbardziej irytował sam siebie. Za to, że stracił panowanie nad sytuacją, że dał się wciągnąć w coś, co w ogóle nie powinno go obchodzić.

- Zależy ci na niej - stwierdziła Rachel-Ann. - Lepiej nie mów o tym Jacksonowi. Nie byłby zachwycony, że jego naczelny lokaj czuje coś do Jilly. Uważa nas, dzieci, za swoją wyłączną własność. Mamy

mu wiernie służyć i jeśli trzeba, to nawet oddać za niego życie albo po prostu przestać istnieć.

- Dobrze to ujęłaś. Coltrane się uśmiechnął. - Chociaż jeśli chodzi o ścisłość, to nie jestem jego lokajem, tylko doradcą prawnym.

- Na to samo wychodzi.

- I wcale mi na niej nie zależy - kontynuował Coltrane mało przekonywająco. - Ani na niej, ani na tym jej przekętym psie. Po prostu nie mogę patrzeć, jak człowiek jest zdradzany przez kogoś, kogo tak strasznie kocha. Bardziej niż siebie samego.

- Aleś ty wygadany - mruknęła Rachel-Ann.

- A co do twojego ojca - ciągnął Coltrane, jakby jej nie słyszał - to znam go nieźle. Możesz być pewna, że ciebie nie uważa za swoją własność i na pewno nigdy nie każe sobie służyć.

- Pewnie tak - powiedziała cicho. W jednej chwili straciła rezon, a w jej oczach pojawił się strach. - Pamiętaj, że on nie jest moim prawdziwym ojcem. Dlatego jego... - zawahała się, jakby szukała właściwego słowa - przywiązanie do mnie niekoniecznie musi być ojcowskie.

Powiedziała to tak zwyczajnie, tak obojętnie, że Coltrane nie od razu zrozumiał znaczenie tych prostych słów. Zanim ochłonął na tyle, że mógłby zrobić coś więcej niż tylko gapić się na nią, Rachel-Ann wstała, podeszła do zlewu i wylała niedopitą kawę.

Kiedy znów spojrzała na Coltrane'a, uśmiechała się promiennie. Prawie identycznie jak na fotografii ze świąt Bożego Narodzenia

sprzed ponad trzydziestu lat. Tylko na tamtej fotografii to on się uśmiechał.

Coltrane nie dał się nabrać. Uśmiech Rachel-Ann był zbyt promienny.

- W każdym razie cieszę się, żeśmy sobie porozmawiali - powiedziała. - Teraz już tak się nie boję.

- A o co się tak bardzo bałaś?

- O ciebie i o Jilly.

- Nie istnieje nic takiego jak ja i Jilly. Chyba że znaczy to tyle co ja i Rufus.

- Myślę, że bylibyście szczęśliwi wszyscy troje -mruknęła Rachel-Ann i wyszła, zanim zdążył zaprotestować.

Kto by pomyślał, że potrafi tak się wybronić, myślał Coltrane, kładąc nogi na zniszczonym stole. Jest bardziej spostrzegawcza, niż się ludziom wydaje. Przeczuwa, że uczucia, jakie żywi dla niej Meyer, nie są wyłącznie ojcowskie.

Coltrane nie był tym zachwycony. Był przerażony.

Rachel-Ann pewnie też się nie podobało owo bardzo niezdrowe „ojcowskie” uczucie.

Ale Meyer na pewno znał prawdę. Nie mógł jej nie znać. Rachel-Ann nie została podrzucona na progu domu. Musiał jakoś do niej dotrzeć, skądś ją przywieźć, a potem adoptować rzekomego podrzutka.

Był większym skurwielem, niż sobie ktokolwiek wyobrażał. Nie wystarczyło mu zamordowanie mamy Coltrane'a, chciał jeszcze grzeszyć z jej córką.

Ktoś musiał z tym wreszcie skończyć.

- A, tutaj jesteś! - Dean zajrzał do kuchni. Jak zwykle rozlazły i beztroski. - Nie wiesz, co wstąpiło w moje siostry? Najpierw Jilly wyjechała stąd w takim pośpiechu, jakby ją goniło stado głodnych wilków, a potem Rachel-Ann. Nie tylko mnie nie zauważyła, ale jeszcze coś nuciła, idąc na górę. Wyobrażasz sobie? Nuciła!

- Nie wyobrażam sobie.

- Właściwie nieważne. - Dean wzruszył ramionami.

- Każdy objaw radości jest w tym domu mile widziany.

Chciałem ci tylko powiedzieć, że wydaję dziś kolacyjkę i liczę na twoją obecność. Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz.

- Dlaczego właśnie ja?

- Będzie tylko najbliższa rodzina - mizdrzył się Dean.

- Pomyślałem sobie, że skoro mieszkamy tu razem, to powinniśmy się wreszcie razem spotkać. Wszyscy. W miłej, rodzinnej atmosferze. Już rozmawiałem z firmą organizującą przyjęcia. Nie musicie nic robić, byle byście tylko przyszli. Ty pijesz szkocką, o ile pamiętam?

Kolacja w rodzinnym gronie trójki Meyerów... Z pewnością nie było to spełnienie najskrytszych marzeń Coltrane'a, a tylko głupiec mógł liczyć na miłą, rodzinną atmosferę. Zresztą i tak nie będzie

wszystkich. Jilly na pewno się nie pojawi, kiedy się dowie, że on też został zaproszony.

- Mam inne plany.

- A więc je zmień. - Dean dodał do polecenia uśmiech, który zapewne uważał za zwycięski. - Nie pożałujesz.

- Jak sobie radzisz ze sprawą Wentwortha? - spytał Coltrane, Miał wielką ochotę powiedzieć, że szczerze w to wątpi i na pewno będzie żałował, jeśli przyjmie zaproszenie, ale jakoś tak wyszło, że wolał zmienić temat.

- Sza. - Dean położył palec na ustach. - Dowiedziałem się niesamowitych rzeczy i to nie tylko o sprawie Wentwortha. Ojciec ma jakieś długi. Trudno uwierzyć, do jakich informacji można się dokopać, jeśli człowiek ma choć trochę wyobraźni i podstawową wiedzę o komputerach.

Teraz Coltrane się zaniepokoił. Ukrył akta Sandersona w pliku, do którego Dean w żaden sposób nie mógł mieć dostępu, choćby nawet wiedział wszystko o komputerach i ich programowaniu. Chociaż, z drugiej strony... Dean był maniakiem komputerowym, w tej chwili bardzo zadowolonym z siebie.

- Chcesz ze mną o tym pogadać? - spytał Coltrane obojętnie.

- Nie teraz. - Dean pokręcił głową. - Nadal zbieram informacje. Dam ci znać, jak będę gotów.

- Na twoim miejscu nie lekceważyłbym własnego ojca. - Coltrane zaczął się denerwować. - Wątpię, żeby się przejmował rodzinnymi sentymentami, kiedy poczuje się zagrożony.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale ja dokładnie wiem, do czego jest zdolny mój ojciec. - Dean się roześmiał. - On się tego nawet nie domyśla, ale lepiej, żeby mnie nie lekceważył. Mam jego najgorsze geny i jestem tak samo jak on bezlitosny. Szkoda, że Rachel-Ann i Jilly nie odziedziczyły zbyt wiele po nim. Łatwiej by im się żyło.

- Skąd Rachel-Ann miałyby wziąć jego geny? Przecież ją adoptował.

- Czasami o tym zapominam. - Uśmiech Deana zrobił się podobny do sławnego uśmiechu kota z Cheshire: tajemniczy, pełen samozadowolenia. - Kolacja dziś wieczorem, Coltrane. Obiecuję, że będziesz się dobrze bawił.

Dean wie, pomyślał Coltrane. Na pewno wie o Rachel-Ann. Nie jestem tylko pewien, czy orientuje się, co ja mam z tym wspólnego.

- Nie mogę się wprost doczekać - zakpił i dodał z doskonale udaną obojętnością: - Nie wiesz czasem, dokąd pojechała Jilly?

- Nie mam pojęcia. - Dean wzruszył ramionami. -

Jest sobota, więc na pewno nie poszła do pracy. O ile ją znam to pojechała nad ocean. Zawsze tak robi, kiedy chce sobie coś przemyśleć. Dlaczego pytasz? Przecież ona nie jest w twoim typie. Zdawało mi się, że chcesz się dobrać do Rachel-Ann.

A więc jednak nie wiedział wszystkiego!

- Do nikogo nie chcę się dobrać - wycedził Coltrane - po prostu byłem ciekaw.

- Jasne! Jak zamierzasz spędzić swój wolny dzień? A może Jackson już ci go zorganizował?

- Sam go sobie zorganizowałem - odparł Coltrane. Dziś dla odmiany zabawię się w hydraulika.

Dean spojrział na niego tak, jakby się dowiedział, że Coltrane zamierza zamordować setkę ludzi.

- W hydraulika? - powtórzył tonem wyrażającym najwyższe zdumienie.

- To zaledwie jedna z wielu umiejętności, jakie nabyłem w ciągu minionych lat. Nie lubię prądu, ale hydraulika to co innego. Nie zabija. Miło mieć w łazience sprawny prysznic, a może nawet umywalkę.

- Przecież pozwoliłem ci korzystać z mojej. Własnoręczny remont kanalizacji to chyba jednak lekka przesada.

Zadrzał na samą myśl o takim poświęceniu.

- Przynajmniej będę miał zajęcie na cały dzień. Zresztą naprawdę to potrafię.

- Ciekawe, jakie jeszcze niespodzianki dla nas przygotowałeś.

A więc obaj wiedzieli, co o sobie myśleć. Jeden drugiemu ani trochę nie ufał, chociaż obaj pokrywali to maską uprzejmości.

- Na razie żadnych - odparł Coltrane - ale nigdy nic nie wiadomo.

Jilly uwielbiała bezkresną przestrzeń plaży. Prawie tak samo jak Rufus. Biegał po piasku, skakał jak wariat, próbując złapać przelatujące mewy. Był w takiej psiej ekstazie, że Jilly nawet uśmiechnęła się na chwilę.

Pogoda była piękna, chociaż od morza, wiał silny wiatr i było chłodno. Kilka osób pływało na desce.

Jilly zdjęła buty. Szła bosą po mokrym piasku, a zimne języki fal lizały jej stopy. Miała nawet ochotę rozebrać się, wskoczyć do wody, żeby chłodny Pacyfik wszystko z niej zmył...

Nie, postanowiła. Nie będę o tym myśleć! Jeśli bardzo się postaram, na pewno mi się uda. Przejdę sobie bosą parę kilometrów, popatrzę, jak Rufus szaleje i nie będę myśleć o niczym prócz tego, że jest piękna pogoda.

Postanowiła nie zwracać uwagi na niemiłe uczucie ściskania w dołku, na głupi ból między piersiami. Nie zamierzała się poddać niechcianym wspomnieniom ani uczuciom.

Jasna cholera! To nawet nie był seks, tylko wulgarna pieszczota, co gorsza, przypadkowa. Za dużo wypiałam. Powinnam wiedzieć, że taki facet jak Coltrane na pewno to wykorzysta.

Życie ma taką niezbyt przyjemną prawidłowość, że im dłużej człowiek obywa się bez seksu, tym mniej go potrzebuje. Dopóki ktoś na nowo go nie włączy. Jilly została przywrócona do życia bardzo gwałtownie i bez ostrzeżenia i dlatego nie mogła przestać o tym myśleć. Nie mogła przestać myśleć o Coltranie.

Nie chciała go nigdy więcej widzieć. Na myśl o tym, że mogłaby się znaleźć z nim w jednym pokoju, aż kuliła się w sobie. Nawet nie brała pod uwagę tego, że mógłby zachować się jak dżentelmen i nie dać po sobie poznać, że cokolwiek między nimi zaszło. Po tym draniu nie można się było spodziewać przyzwoitości.

Nie chciała wracać do domu. Miała dokąd pójść. Mogła, na przykład, pojechać do Berkeley odwiedzić Maggie i jej męża. Albo do San Diego, do Christie. Nie musiała tkwić w La Casa pod jednym dachem z tym człowiekiem.

W głębi ducha doskonale jednak wiedziała, że nigdzie nie pojedzie i nie pozwoli się wygonić z własnego domu. La Casa zbyt wiele dla niej znaczył. Bardzo długo o niego walczyła, ciężko pracowała. Za długo i za ciężko, żeby oddać go pierwszemu lepszemu intruzowi, którego bronią jest seks.

Była również absolutnie pewna, że jemu wcale nie chodzi o dom. Niestety, nie wiedziała, o co mu chodzi. Nie o Rachel-Ann, jak się jej wcześniej zdawało, i nie o nią. Dzięki Bogu. To, co zdarzyło się nad ranem, to tylko nic nie znaczący przypadek, zwykły błąd w grze, ot co. Nie była dobrą pokerzystką.

Może Coltrane chce poprzez rodzinę zaskarbić sobie łaski Meyera, stać się niezastąpionym. Nie, na to był za mądry. Musiał wiedzieć, że rodzina nic a nic Meyera nie obchodzi.

A więc o co temu człowiekowi chodzi? I jak się go pozbyć? Najlepiej byłoby dać mu to, po co przyszedł, bo inaczej się nie odczepi. Tylko jak to zrobić, skoro nawet nie wiadomo, co to jest.

Usiadła na mokrym piasku i patrzyła na fale. Rufus padł przy niej, zmordowany, z wywieszonym językiem.

Mam dwa wyjścia, pomyślała Jilly. Mogę podwinąć ogon i zmiatać gdzie pieprz rośnie, albo wrócić do domu i jakoś się z tym wszystkim uporać.

W rzeczywistości nie miała żadnego wyboru. Za nic nie zostawiłaby swojego domu ani rodzeństwa, nie porzuciła dotychczasowego trybu życia. I to dla kogo? Dla jakiegoś Coltrane'a! Gdyby uciekła, już nigdy nie mogłaby spojrzeć w lustro. Nie, stanowczo nie mogła sobie pozwolić na utratę szacunku do samej siebie. Przeżyłam draństwo Alana, pomyślała, to i jego jakoś przeżyję. Zresztą Coltrane to małe piwo w porównaniu z Alanem.

Wszystko to była prawda, szczerą prawdą. Było jednak jeszcze coś - strasznego i w jej odczuciu poniżającego. Otóż pieszczoty Coltrane'a dały jej więcej satysfakcji niż wszystko, co kiedykolwiek przeżyła z Alanem.

Dzień chylił się ku zachodowi. Jilly pragnęła w nieskończoność siedzieć na tej plaży i patrzeć, jak słońce zmienia się w czerwoną kulę i topi się w Pacyfiku.

No tak, odwlekanie nie zda się na nic. Prędzej czy później i tak trzeba będzie zmierzyć się z wrogiem. Lepiej prędzej. Potem będzie można zacząć życie od nowa.

Wstała. Rufus poderwał się, myśląc, że jego pani chce się z nim pobawić, ale Jilly pokręciła głową.

- Chodź, malutki - powiedziała, idąc w kierunku ścieżki prowadzącej na parking. - Wracamy do domu. Trzeba się zobaczyć z tym facetem.

Rufus pobiegł przodem, radośnie powarkując. Zawsze taki wierny i spostrzegawczy, tym razem nie zauważył, że jego pani ma kłopoty.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Nie wiem, dlaczego jestem taka zdenerwowana -powiedziała Brenda, sięgając po papierosa, którego palił Ted.

- Dobrze wiesz, mój skarbie. Jesteś zdenerwowana w każdy sobotni wieczór. Odzywa się w tobie twoja katolicka dusza.

Chciałabyś pójść na mszę.

- Też mi coś - obruszyła się Brenda. - Przestałam chodzić do kościoła, kiedy się z tobą związałam, ty wstręciuchu. Nie można się wypowiadać z grzechu cudzołóstwa, odprawić pokutę, a po powrocie do domu grzeszyć od nowa.

- Przecież to nie ty byłaś mężatką. To ja byłem żonaty. Ile razy mam ci o tym przypominać?

- Kościół katolicki podchodzi do tego nieco inaczej. Nie wypada się targować w kwestii pokuty. Jeśli nie zamierzasz przestać grzeszyć, spowiedź jest tylko stratą czasu.

- Tak mi przykro, kochanie.

- Niepotrzebnie - uśmiechnęła się do niego. - Nie ty mnie uwiodłeś, tylko ja ciebie. I ani przez chwilę tego nie żałowałam.

Pomyślała, że nie żałowała nawet śmierci. Ani swojej, ani Teda.

Siedzieli na sofie w salonie. Brenda trzymała nogi na kolanach Teda, a on bosko masował jej obciążone jedwabnymi pończoszkami stopy.

Brenda wiedziała, że dziewczęta noszą teraz rajstopy. Sprawiały wrażenie dość wygodnych, ale były bez porównania mniej erotyczne.

Byłoby jednak miło żyć na tyle długo, żeby wypróbować ten nowy wynalazek.

Gdybym żyła, byłabym teraz bardzo stara, pomyślała. Stara, pomarszczona i brzydka. Powinnam dziękować Bogu, że Ted nigdy nie Zobaczy mnie w takim stanie. Przez całą wieczność będę wyglądać tak jak w swoich najlepszych latach. No, może prawie najlepszych.

Kiedy miała siedemnaście lat, jej wygląd sięgał ideału. W dwudziestym trzecim roku życia było prawie tak samo. Kiedy umarła, miała trzydzieści trzy lata. Jeśli dokładnie przyglądała się sobie w lustrze, widziała, że jej wspaniała, jędrna skóra zaczyna tracić elastyczność.

Wszyscy uważali, że właśnie dlatego zabiła Teda. Nie raz i nie dwa słyszała, jak rozmawiały o tym te wstrętne, brudne stworzenia, które wiele dziesiątków lat temu zagnieździły się w La Casa i zniszczyły całe piękno tego domu.

Mówili, że bała się stracić urodę, karierę i mężczyznę, więc zabiła i jego, i siebie. I śmiali się z niej. Z głupiutkiej gwiazdki filmowej, z jej płytkich wartości, a ona wrzeszczała na nich i z całej siły tłukła ich pięściami.

Nawet nie zauważyli jej obecności.

Dobrze, że chociaż Ted tego nie słyszał. Pilnował Złego Człowieka, chociaż nikomu w niczym to nie pomogło.

A mówi się, że straszą umarli. Zły Człowiek był sto razy bardziej przerażający niż Brenda i Ted razem wzięci, choć Rachel-Ann za każdym razem, kiedy ich zobaczyła, panikowała jak idiotka.

Był taki przystojny, czarujący... Ta banda przypominających Cyganów młodych ludzi, którzy okupowali wtedy La Casa, po prostu go uwielbiała.

Brenda słyszała tylko o jednym człowieku z taką charyzmą. Była za młoda, żeby pamiętać Valentino, ale pracowała z aktorami, którzy go dobrze znali. Sądziła, że gdyby Zły Człowiek postanowił zarabiać na życie aktorstwem, mógłby zejść na sam szczyt. Bo co do tego, że był świetnym aktorem, nie było wątpliwości. Brenda i Ted widzieli, jak zręcznie sterował swoimi kumplami, jak ich okłamywał i nabierał. Żaden z nich nawet się nie domyślił, co się kryło pod tą czarującą powierzchownością.

Oczywiście, brali mnóstwo różnego rodzaju narkotyków, co w pewnym sensie usprawiedliwiało ich łatwowierność. Traktowali Złego Człowieka jak wysłannika samego Boga i nie mieli pojęcia, do czego był zdolny. Żaden z tych biednych, naiwnych głupców nie znał go tak jak Ted i Brenda.

Żaden z nich nigdy nawet nie zapytał, co się stało z tamtym młodym człowiekiem, który tak pięknie grał na gitarze, miał anielski głos i aplikował sobie narkotyki lekarską strzykawką.

Nikt z nich nie miał pojęcia o losie rudowłosej dziewczyny, która poszła się spotkać ze Złym Człowiekiem do domku nad

basenem. Utopił ją w tym basenie, choć w odruchu obronnym zdołała mu podrapać twarz i rękę.

Ani o dziecku, które bez mrugnięcia okiem zamierzał wrzucić do wody w ślad za matką.

Nie miało wielkiego znaczenia, że po przerażającej, długiej jak wieczność chwili, jednak się cofnął, a nawet przytulił płaczącą niemowlę.

Brenda wtuliła twarz w ramię Teda. Nie mogła znieść myśli o tej strasznej chwili ani o swojej bezradności. Rudowłosa kobieta już nie żyła. Pływała w basenie twarzą w dół, a oni nic nie mogli zrobić. Tylko patrzeć.

Maleństwo na razie było bezpieczne, chociaż żadne z nich nie miało pojęcia, jak długo. Może po prostu przyszedł mu do głowy lepszy pomysł pozbycia się dziecka?

Wtedy widzieli go po raz ostatni. I dzięki Bogu.

Gdy Zły Człowiek wyciągał z basenu ciało kobiety i pakował je do bagażnika swego auta, dziecko płakało wniebogłose. Brenda i Ted stali jak skamieniali, przytuleni do siebie, całkowicie bezradni. W końcu Brenda odsunęła się od ukochanego.

- Nie wytrzymam - powiedziała.

Okrzyżowała basen, uklękła przy maleńkim, wrzeszczącym zawiniątku, które Zły Człowiek położył na ziemi. Wiedziała, że nikt jej nie może ani zobaczyć, ani usłyszeć, a jednak dotknęła zrozpaczonej, czerwonej od krzyku twarzyczki, pogłaskała delikatnie

maleńki policzek. Ku jej wielkiemu zdumieniu wrzask ucichł, zmienił się w cichutki płacz.

- Biedactwo - szeptała Brenda, czując, jak jej serce rozpada się na maleńkie kawałeczki.

Nie miała dzieci. Wytwórnia zabroniła jej tego w ciągu obu krótko trwających małżeństw. Nie miała dzieci, ale kiedy patrzyła na to biedne, maleńkie, ludzkie zawiniątko, zapragnęła wziąć je na ręce, mocno do siebie przytulić, uspokoić.

Nie mogła. Nie miała ciała, którego ciepło ogrzałoby maleństwo, ani głosu, którym mogłaby przemówić. Nic nie mogła zrobić.

Dziecko przestało płakać i popatrzyło na Brendę. Wpatrywało się prosto w jej oczy, których przecież nie mogło widzieć.

- Biedne maleństwo - wyszeptała Brenda, głaszcząc paluszką buzię dziecka. Dotknęła ramionka, potem małej rączki...

Nie posiadała się ze zdumienia, gdy paluszki dziecka zacisnęły się wokół jej palca, mocno go przytrzymując.

Zły Człowiek wrócił. Przeszedł przez Brendę, jakby w ogóle jej tam nie było, a dziecko znów zaczęło krzyczeć.

Brenda waliła tego potwora po plecach, wrzeszczała na niego, ale on niczego nie zauważył.

Odszedł, zabierając ze sobą płaczące niemowlę.

Brenda biegła za nim, lecz kiedy auto opuściło teren posiadłości, musiała się zatrzymać. Była uwięziona w La Casa, nie mogła wydostać się poza ogrodzenie. Mogła jedynie wypłakać się na ramieniu Teda.

Zły Człowiek już nigdy nie wrócił. Dopiero wiele lat później, kiedy przyjechała tu starsza pani z dziewczynkami i ich bratem, kiedy zajęła się domem, Brenda i Ted znów zaczęli odczuwać radość.

Wspomnienie tamtego wieczoru wciąż prześladowało Brendę. Nie było przyjemnie zostać uwięzionym na ziemi za swoją zbrodnię, ale jeszcze gorzej było stać się świadkiem morderstwa i nie móc nic absolutnie zrobić.

- Dlaczego wzdychasz, mój skarbie? - zapytał Ted, nie przestając masować jej stóp.

- Coś sobie przypomniałam - odparła szczerze.

- Nie trzeba, moje kochanie, szkoda czasu. Niczego już nie zmienimy. Czy nie to ciągle mi powtarzasz? Nieważne, co się zdarzyło, jak i dlaczego. Stało się, jesteśmy tutaj... Dobrze jest jak jest.

Jakiż ten Ted jest dobry!

Przez pięćdziesiąt lat udawało się Brendzie utrzymać przed nim w tajemnicy okoliczności ich śmierci. Czy gdyby wiedział, co się naprawdę zdarzyło, gdyby poznał prawdę, czy nadal byłby szczęśliwy? Czy byłby taki dobry? A może opuściłby ją, gdyby mógł stąd odejść?

Nie chciała o tym myśleć. Rozejrzała się po salonie.

W promieniach zachodzącego słońca wyglądał prawie tak samo wspaniale jak w czasach swej świetności, gdy

Brenda i Ted przyjmowali tu pięknych i bogatych gości. Tego dnia zdjęto pokrowce z mebli. W przyćmionym świetle zniszczenie

tapicerowanych mebli nie rzucało się tak bardzo w oczy. Dwie stare sofy stały naprzeciwko siebie, a między nimi szklany stolik do kawy. Stolik był nowym nabytkiem, ale Brendzie bardzo się podobał. Za to srebrne lichtarze były stare.

Brenda ukradła jeden z nich z kompletu, używanego podczas kręcenia jej ostatniego filmu. Film nosił tytuł „Zbiegła dziedziczka”, a Ted był jego reżyserem. Drugi świecznik ukradł on. Brenda uwielbiała te kandelabry. To prawdziwe szczęście, że były dobrze schowane. Z pewnością nie przetrwałyby najazdu cygańskiego tabunu. Ci hippisi zniszczyliby je albo sprzedali, żeby mieć pieniądze na narkotyki.

Na szczęście świeczniki przetrwały. Jeszcze nie zapalono stojących w nich świec, ale sama ich obecność stanowiła miłe przypomnienie przeszłości.

- Jak myślisz, o co temu chłopcu chodzi? — zastanawiał się Ted.
- Nigdy nie miałem do niego zaufania.

- Zdaje mi się, że nabawiłeś się alergii na ludzi. On jest nieszkodliwy. Całymi dniami przesiaduje przy tych swoich idiotycznych komputerach. Poza tym myślę, że siostry są mu bliskie.

- Pies go nie lubi - przypomniał jej Ted. - Ja też nie.

- Cicho bądź - powiedziała Brenda, bo w drzwiach pojawiła się sylwetka wysokiego mężczyzny.

- Nie wariuj, mój skarbie. Przecież on nas ani nie widzi, ani nawet nie słyszy.

Był to mężczyzna z sofy, ten przystojny Coltrane.

- No i dobrze - mruknęła Brenda. - Jak myślisz, zawstydziliby się, gdyby wiedział, że podglądaliśmy go wczoraj?

- Wątpię. - Ted obrzucił go krytycznym spojrzeniem. - To zimny drań. I wiesz co, wygląda na to, że ma ochotę na nas usiąść.

- Chodź. - Brenda zeskoczyła z sofy i pociągnęła za sobą Teda.

Chwilę później Coltrane rzeczywiście siadł na ich miejscu.

Rozejrzał się dookoła z dziwną miną.

- Nie jest taki zimny, jak ci się zdaje. - Brenda siedziała teraz na fortepianie, powłóczyłszy szlafroczek falował wokół jej długich nóg. - On lubi Jilly.

- Ma dobry gust - stwierdził Ted. - Ale nie sądzę, żeby był odpowiedni dla którejkolwiek z naszych dziewczynek.

- Jest o niebo lepszy od tych, których sobie dotąd wybierały - powiedziała Brenda. - Pamiętasz tego męża Jilly? Wyjątkowa kreatura.

Coltrane zapalił świece. Ich ciepły, romantyczny blask sprawiał, że wyglądał jeszcze bardziej atrakcyjnie niż zwykle, lecz Brenda wolała nie wspominać o tym Tedowi.

Odrobina zazdrości jeszcze nikomu nie zaszkodziła, ale tego wieczoru nie miała nastroju na żadne gierki. Niepotrzebnie zepsuła sobie humor wspomnieniami przeszłości, myśl o przyszłości zresztą też nie wprawiała jej w dobry nastrój. Wcześniej czy później, Ted dowie się w końcu, co naprawdę się wydarzyło.

- Słońce chyli się ku zachodowi, mój skarbie - powiedział Ted, biorąc ją za rękę. Zsunęła się z fortepianu prosto w jego ramiona. - Chciałbym zostać z tobą sam na sam.

- Zawsze jesteś tylko ze mną, kochany. - Brenda się roześmiała.

- Nie rozśmieszaj mnie - prychnął Ted. - Ci ludzie mi przeszkadzają. Lepiej chodźmy na dach. Potańczymy sobie w blasku księżyca.

- Nie ma muzyki.

- Będę ci śpiewał.

- Nie masz za grosz słuchu, ukochany - powiedziała z czułością.

- Ja zaśpiewam.

W łukowato sklepionym wejściu do salonu pojawiła się Jilly z Rufusem. Brenda zatrzymała się na chwilę.

- Na pewno nie chcesz popatrzeć? - zapytała.

- Dość już się napatrzyliśmy, mój skarbie. - Ted zdecydowanie pokręcił głową. - Dajmy tym biedakom odrobinę spokoju. Zresztą mogę się założyć, że temu człowiekowi nie uda się zbliżyć do Jilly co najmniej przez kilka dni. Nawet na odległość wyciągniętej ręki.

- Mylisz się - odparła Brenda. - Jeszcze dziś w nocy będą razem w łóżku. A najpóźniej o świcie.

- Oszalałaś? Nie widziałaś, jak Jilly przyjęła to, co się wczoraj stało?

- Znam się na kobietach. Ona nie potrafi mu się oprzeć. Jeśli to się stanie przed północą, to może nawet będziemy mogli popatrzeć.

- Wstydź się, moja droga! - Ted przywołał ją do porządku.

- Nie bądź taki święty. Już prawie pięćdziesiąt lat przyglądamy się, jak ludzie uprawiają seks. Miło byłoby choć raz zobaczyć, jak robią to z miłości.

- Myślisz, że oni się kochają? Ależ ty jesteś naiwna, mój skarbie!

- Może i jestem, ale tym razem na pewno mam rację - upierała się Brenda. - To się nazywa kobieca intuicja.

- Oni się nienawidzą.

- To dobry znak.

- Zagrałaś w zbyt wielu komediach pomyłek, moja słodka. Kiedy ludzie się nienawidzą, to zwykle znaczy tylko tyle, że się nienawidzą.

- Wkrótce sam się przekonasz - powiedziała z uśmiechem. -
Chodźmy potańczyć. Ted uniósł jej dłoń do ust.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W salonie panował półmrok, mimo to Jilly od razu zauważyła Coltrane'a, wyciągniętego na sofie dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej zostawiła go poprzedniej nocy.

Byłaby się wycofała i zniknęła bezszelestnie, ale on już ją zobaczył. Jilly najchętniej uciekłaby w panicznym strachu, lecz duma jej na to nie pozwoliła.

Rufus nie miał takich problemów. Przebiegł pokój w rekordowym tempie, choć łapy ślizgały mu się po parkiecie, zatrzymał się przy sofie i przywitał się z Coltrane'em z taką radością, z jaką zagłodzony człowiek wita suto zastawiony stół.

- Mam nadzieję, że przebierzesz się do kolacji - odezwał się Dean, stanąwszy tuż za jej plecami.

Podszedł tak cicho, że nawet nie usłyszała, jak się zbliża. Natomiast malujące się na jego twarzy obrzydzenie nie zdziwiło jej. Miał na sobie elegancki garnitur z białego lnu, a Jilly wyglądała jak włóczęga.

- Nie zamierzam jeść kolacji w domu - skłamała odruchowo. - Mam na dziś inne plany.

- Nie możesz mi tego zrobić! - zawołał zrozpaczony

Dean. Nigdy nie odmawiała, kiedy mówił do niej tym tonem. - Zadałem sobie tyle trudu, żeby przygotować ten wieczór. Zawiadomiłbym cię wcześniej, ale wyjechałaś jeszcze przed świtem i

w dodatku wyłączyłaś telefon. Naprawdę, nie powinnaś tego robić. Zupełnie o nas nie myślisz. A gdyby zdarzył się jakiś wypadek?

- Nie chciałam, żebyś się martwił. - Jilly natychmiast zmiękła.

- Wcale się nie martwiłem. Wiem, że doskonale potrafisz zadbać o siebie, ale włożyłem wiele wysiłku w zorganizowanie tego przyjęcia, więc chyba mnie nie zawiedziesz. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogli się bez siebie obyć.

Spojrzała na Coltrane'a, lecz on zajmował się właśnie drapaniem Rufusa po głowie i zdawał się nie zwracać uwagi na rozmowę rodzeństwa.

Mnie nie nabierze, pomyślała Jilly. Na pewno słyszy każde słowo.

- Co to za przyjęcie? - zapytała zaniepokojona.

- Rodzinne spotkanie. Coltrane'a też zaprosiłem. Skoro mieszka teraz z nami... Miła, rodzinna atmosfera, żadnego sztywniactwa. Żeby było prościej, poprosiłem Emilia o przygotowanie wszystkiego.

- Świetnie - powiedziała krótko.

- Oczywiście, kazałem mu to zapisać na twój rachunek, bo w tym miesiącu ty płacisz za utrzymanie.

Od 1998 roku inne miesiące nie istniały.

- Dobrze! - Na to też się zgodziła. Nie zamierzała sprzeczać się z bratem, zwłaszcza w obecności Coltrane'a.

Chciała wejść do salonu, lecz Dean ją przytrzymał.

- Może jednak byś się przebrała. Wyglądasz jak obdartus.

Jilly spojrzała na swoje wytarte dzinsy, bosa stopy, rozciągniętą bawełnianą koszulkę...

Wzruszyła ramionami. Włosy miała zaplecione w warkocz, twarz opaloną przez jesienne słońce, ogorzałą od wianu... Rzeczywiście wyglądała jak obdartus, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Nie zamierzała się stroić dla Coltrane'a.

- Jeśli to rzeczywiście tylko zwykła kolacja w rodzinnym gronie, to nikogo nie powinno obchodzić, jak wyglądam - powiedziała.

Wyminęła brata i weszła do salonu.

Gdyby ktoś inny miał taki pomysł, podejrzewałaby, że bawi się w swata, ale Deana to nie dotyczyło. Był zbyt zajęty sobą, żeby w ogóle zauważyć, co robi jego siostra, a już na pewno nigdy nie wpadłby na pomysł, żeby się w to wtrącać. Nie miał zielonego pojęcia, że Jilly interesuje się Coltrane'em.

Pomiędzy dwoma stojącymi naprzeciwko siebie sofami kuśił elegancko nakryty stolik do kawy, a świece w kandelabrach rzucały na ściany ruchome cienie.

Jilly chciała usiąść na pustej sofie, lecz Dean lekko pchnął ją na tę, na której siedział Coltrane.

- Ty siądziesz tutaj - powiedział - a Rachel-Ann przy mnie.

- Nie chcę...

- Nie marudź - ofuknął ją Dean. - Coltrane nie gryzie. Daruj sobie te fochy i siadaj.

Dobrze, że Coltrane nie zwracał na nią uwagi. Był całkowicie pochłonięty drapaniem Rufusa.

Przez krótką chwilę Jilly zastanawiała się, czyby się po prostu nie zbuntować, ale uznała, że Coltrane pomyśli, że to, co między nimi zaszło, wiele dla niej znaczyło. To nie było nic ważnego. Taki trochę wstydlivy incydent, o którym lepiej nie wspominać i jak najszybciej zapomnieć.

- Dobrze - mruknęła, siadając obok Coltrane'a. Rufus się odwrócił, wsunął swój wielki łeb pod rękę

Jilly. Bardzo chciał, żeby też go pogłaskała, ale w tej chwili ani myślała go uszczęśliwić.

- Zdrajca - syknęła cichutko.

Nie „zamierzała zaszczyścić Coltrane'a nawet jednym spojrzeniem. Pewnie posłałby jej porozumiewawczy uśmiech zadowolonego z siebie samca. Gdyby to zrobił, naprawdę nie miałyby innego wyjścia i musiałyby rozbić mu kandelabr na głowie. Pomysł niezły, ale Jilly nie była awanturką. Nie zachowałyby się w ten sposób, nawet wobec podłego drania.

Wmawiała sobie, że jest opanowana i całkowicie spokojna, patrzyła prosto przed siebie, byleby tylko nie spojrzeć na Coltrane'a. Ale im dłużej odwlekała ten moment, tym było jej trudniej.

- Czego się napijesz, Jilly? - spytał Dean. - Może brandy?

- Nie! - zawołała, nie panując nad spontaniczną reakcją. Właśnie przez brandy narobiła sobie tego całego bigosu. - Poproszę mrożoną herbatę.

Za późno zrozumiała, że Dean będzie musiał wyjść z pokoju, żeby przynieść jej to, o co poprosiła. Zostawi ją samą z Coltrane'em.

Chciała powiedzieć, że się rozmyśliła i wcale nie ma ochoty na żadną herbatę, ale było już za późno. Dean zniknął, zostawiając ją samą na sam z przeznaczeniem.

- Brandy nic złego ci nie zrobiła - odezwał się Coltrane.

Jilly odwróciła się powoli i spojrzała na niego. Zdziwiła się, bo wcale nie uśmiechał się do niej porozumiewawczo jak zadowolony z siebie samiec, chociaż tego właśnie się po nim spodziewała.

- Nie rozumiem. - Miała taką minę, jakby naprawdę nie wiedziała, o co mu chodzi.

- To, co się z nami stało, to nie jest wina brandy - powiedział Coltrane bardzo cicho, żeby słowa nie dotarły do niepowołanych uszu.

Jilly oparła się plecami o przeciwległą poręcz sofy, podkurczyła nogi tak, by oddzielały ją od Coltrane'a.

- Naprawdę musimy o tym rozmawiać? - spytała, jakby dopiero teraz przypomniała sobie o całym zdarzeniu i jakby było jej zupełnie obojętne.

- Nie - odparł Coltrane, który nie dał się nabrać na tę pozę. - Musimy tylko dokończyć to, cośmy zaczęli.

Na jego szczęście w tej chwili weszła do pokoju Rachel-Ann. Gdyby nie to, świecznik nieodwołalnie wylądowałby na głowie Coltrane'a.

- Nie przeszkadzam? - spytała Rachel-Ann, siadając na sofie naprzeciwko.

Miała na sobie krótką, obcisłą, czarną sukienkę i była bardzo ożywiona. Od wielu miesięcy nie wyglądała tak dobrze.

Jilly dokładnie przyjrzała się siostrze, ale nie dostrzegła w jej zielonych oczach chorobliwego blasku ani zwiotczenia ust. Miała wprawę. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, żeby wiedzieć, czy Rachel-Ann wypila choć kroplę wina. Tym razem jednak siostra była radosna, chociaż całkowicie trzeźwa.

- Świetnie wyglądasz - pochwaliła Jilly.

- Dzięki, kochana. Żałuję, że nie mogę tego samego powiedzieć o tobie. Wyglądasz marnie. Cały dzień byłaś nad oceanem?

- Skąd wiesz?

- Zawsze tam jedziesz, kiedy jest ci źle. Ja uciekam do butelki, a ty nad ocean. Twoja reakcja jest pewnie zdrowsza.

Dlaczego ona mi to robi, pomyślała zrozpaczona Jilly. Po co opowiada o takich sprawach?

- Było ci źle, Jilly? - zapytał słodko Coltrane. - Czy coś się stało?

- Okazało się, że w La Casa zaległy się szczury - odparła ponuro. - Trzeba będzie wezwać szczurołapa.

Coltrane się roześmiał. Wcale się nie obraził.

- Na pewno potrafisz sobie poradzić sama. Oczywiście, jeśli naprawdę będziesz tego chciała. Poradziłabyś sobie nawet z jadowitym węzem.

- Nie lubię szczurów - powiedziała Jilly - i nie cierpię węży.

- Nikt ich nie lubi - wtrąciła się Rachel-Ann. - Czy moglibyśmy zmienić temat? Lepiej powiedz nam, Coltrane, gdzie ty się chowasz, kiedy jest ci źle.

- Mnie nigdy nie jest źle.

- Nie wierzę. - Rachel-Ann pokręciła głową. - Musisz gdzieś uciekać, kiedy masz wszystkiego dosyć. W narkotyki, w alkohol, a może w seks? Nie ma się czego wstydzić. Dean wymyślił to spotkanie, żebyśmy się mogli lepiej poznać. Skoro mieszkamy pod jednym dachem, powinniśmy wiedzieć, z kim mamy do czynienia. No to jak? Jaki narkotyk najbardziej lubisz?

- Zemstę.

Odpowiedź była zaskakująco krótka, zwięzła i trochę przerażająca. Nawet na Rachel-Ann zrobiła wrażenie.

- Ciekawe, czy to bardzo niezdrowe - zastanawiała się głośno. - Na kim chciałbyś się zemścić?

- Na każdym, kto chce skrzywdzić mnie lub to, co moje.

- Mnie i to, co moje? - powtórzyła Rachel-Ann. - Jakiej to damy bronisz? Czyj honor został splamiony? - kpiła z niego w żywe oczy.

Jilly bardzo chciała, żeby wreszcie skończyła. W pokoju panowało dziwne napięcie, ale Rachel-Ann nie zauważała tego. Tylko Rufus popiskiwał z cicha.

- Mojej mamy - powiedział Coltrane miękko.

Oczy Rachel-Ann zrobiły się wielkie jak talerze. Zamilkła. Na tak długo, że Jilly nie tylko zdążyła wymyślić nowy temat do rozmowy, ale nawet zdążyła się odezwać.

- Co dziś robiłaś, Rachel-Ann? - spytała. - Nie wróciłaś na noc do domu.

Ledwie to powiedziała, zrozumiała, że ten temat też nie był właściwy. To było jak przesłuchanie, a przecież nie o to jej chodziło.

Wcale nie musiała wiedzieć, gdzie się podziewała Rachel-Ann. Skoro nie mogła jej powstrzymać, po co miałyby ją wypytywać? Żeby jeszcze bardziej się dręczyć?

Rachel-Ann uśmiechnęła się. Swobodnie, wesoło, jak mała dziewczynka. Lecz uśmiech bardzo szybko zniknął z jej twarzy. Jakby się go wstydziła.

- Przykro mi, że się o mnie martwiłaś. Spędziłam noc u... starego przyjaciela.

- Nie wiedziałam, że masz jakichś starych przyjaciół, kochanie - powiedział Dean, stawiając na stoliku tacę z napojami. - Myślałem, że masz tylko takich, którzy odwożą cię nieprzytomną na pogotowie.

- Czy ty zawsze musisz być taki wredny, Dean? - Rachel-Ann się skrzywiła. - Wyjątkowo mam dobry humor, więc mi go nie psuj. A tak przy okazji, czy któreś z was wie, co się stało z Jaime i Consuelo?

- Z tą kucharką i szoferem grandmere? - zapytał

Dean. - Pamiętam, że Jackson w jednej chwili wyrzucił ich z pracy. O ile dobrze się orientuję, Jaime zmarł na zawał serca parę lat temu. A Consuelo przeszła na emeryturę i mieszka teraz w Valley. Mieli jakieś dzieci, bo nie pamiętam?

- Mieli syna - powiedziała Jilly. Patrzyła zafascynowana, jak na blade policzki siostry wypływa delikatny rumieniec. - Nie wiem, co się z nim stało. Zdaje się, że miał na imię Richard.

- Nieważne. - Rachel-Ann wzruszyła ramionami. Musiała zademonstrować, jak mało ją to w gruncie rzeczy obchodzi. - Jakoś

tak przypomniałam sobie Consuelo. Robiła najlepsze huevos rancheros na całym świecie.

- Wystarczy, że z rana pomyślę o jajkach z chili -Dean wykrzywił się z obrzydzenia - żeby zrobiło mi się niedobrze.

- To wcale nie jest takie złe, jak ci się wydaje - mruknęła Rachel-Ann.

- Czyżbyś po upojnej nocy dostała na śniadanie -huevos rancheros? - spytał Dean, jak zwykle nietaktownie.

- Niestety, ta noc była całkowicie pozbawiona jakichkolwiek znamion rozpusty - odparła Rachel-Ann z niezwykłą u niej godnością.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam, drogi braciszku.

- Wcale mnie nie rozczarowałaś, kochanie - powiedział miękko Dean.

Bardzo kochał obie siostry, ale nie przeszkadzało mu to dokuczać im przy lada okazji. Kochał je prawie tak samo mocno jak siebie.

Ta kolacja w rodzinnym gronie to był fatalny pomysł, pomyślała Jilly. Gdyby jeszcze nie było wśród nich tego obcego, który siedzi na sofie i przygląda się nam, jak badacz kopulującym karaluchom.

Jilly obawiała się, że nie wytrzyma długo w tym towarzystwie. Wprawdzie przysięgła sobie, że nie pozwoli Coltrane'owi wyrzucić się z domu i nie zgodzi się z jego powodu opuścić rodziny, ale to było wtedy, kiedy w całej swej głupocie przypuszczała, że potrafi się przed nim obronić. A tymczasem kilka minut wystarczyło, by przekonać się, jak bardzo stała się bezbronna.

- Kiedy będzie kolacja? - zapytała.

- Czyżbyś jednak zdecydowała się przebrać w coś bardziej stosownego? - zainteresował się Dean.

- Nie podobnego. Po prostu mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

- Zaczekają. - Dean wypił niewielki łyk wina. - Nie interesuje cię, jak my dwaj spędziliśmy dzisiejszy dzień? Czy nie o tym właśnie rozmawiają przy koktajlach szczęśliwe rodziny? Właśnie wtedy opowiada się, co komu przyniósł dzień.

- Po pierwsze, nie jesteśmy szczęśliwą rodziną. A po drugie, ani ja, ani Rachel-Ann nie pijemy koktajli - przypomniała mu Jilly.

- Drobne szczegóły. - Dean machnął ręką. - Nigdy nie zgadniecie, co porabiał dzisiaj Coltrane.

- Szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi - warknęła Jilly.

Miała w nosie to, że zachowuje się niegrzecznie. Musiała stąd wyjść, uwolnić się od taksującego spojrzenia zielonych oczu Coltrane'a.

- Właśnie ciebie powinno to obchodzić najbardziej. Cały dzień pracował przy twoim ukochanym domu. Szef departamentu prawnego w firmie naszego tatusia ma ukryte talenty.

Coltrane nie odezwał się ani słowem. Patrzył na nich wszystkich z zainteresowaniem, jakby obserwował egzotyczne stworzenia.

- No dobrze, więc co robił przez cały dzień? - spytała Jilly, zmęczona już tą komedią,

- Wyobraź sobie, że Coltrane zna się na hydraulice - wypalił Dean.

- Na jakiej znów hydraulice?

- Na rurach, kochana. Kurki, odpływy, kolanka, rury i całe to obrzydlistwo. Nasz przyjaciel to prawdziwa złota rączka.

Jilly podniosła głowę i spojrzała na Coltrane'a. Pófleżał wsparty na poręczy sofy i milczał.

- Coś takiego - mruknęła Jilly ze źle ukrywanym podziwem.

- Potrafi nawet spawać rury - ekscytował się Dean.

- To prawdziwy talent.

- Wiem, że do was nie pasuję - zakpił Coltrane.

- Wychodzi ze mnie robotnicze pochodzenie. No cóż, nie wszyscy mogą mieć w żyłach kalifornijską błękitną krew.

- Co ty pleciesz? - zdziwił się Dean.— Co to za głupie pomysły? Nie istnieje nic takiego jak kalifornijska błękitna krew. Owszem, jesteśmy uprzywilejowani, ale tylko dlatego, że nasi przodkowie umieli zarabiać pieniądze. I nie myśl sobie, że bycie dzieckiem Jacksona to taka znowu frajda. Sto razy wolałbym mieszkać w Valley i być synem agenta ubezpieczeniowego.

- Ciekawe, kto by cię wtedy utrzymywał - z przekąsem rzuciła Rachel-Ann.

- Masz rację. - Dean westchnął komicznie. - Jak to szło? To, co powiedziała Sophie Tucker? „Byłam bogata, i byłam biedna, i wiem, że lepiej jest być bogatą. Nie rozumiem, dlaczego pieniądze zawsze tak szybko się kończą.

Jilly się nie odzywała. Patrzyła prosto przed siebie, na stół. Dopiero po chwili zauważyła, że nie ma nic do jedzenia. Zdała sobie sprawę, że prócz zmęczenia, irytacji i skrępowania czuje także straszliwy głód. Kiedy rano wyjeżdżała z domu, nie miała ochoty na śniadanie, a lwią część kupionego w jakimś barze lunchu zjadł wdzięczny za poczęstunek Rufus. Wprawdzie to rodzinne spotkanie nie dodało jej apetytu, ale chętnie by coś zjadła, jeśli miała nie zemdleć z głodu.

- Ja cały dzień przesiedziałem przy komputerze - pochwalił się Dean.

- Nic nowego - mruknęła Rachel-Ann.

- Mylisz się. Przez kilka ostatnich dni zdobyłem mnóstwo nowych informacji. Pewnie myślisz, że całymi dniami serfuję po Internecie i siedzę na gejowskich czatach, ale to nie całkiem tak. Nie macie pojęcia, ile się można dowiedzieć, jeśli człowiek wie, gdzie należy szukać.

Jilly niemal fizycznie poczuła narastające na drugim końcu sofy napięcie.

- O czym, na przykład? - spytał Coltrane podejrzenie obojętnym tonem.

- Wszystko w swoim czasie, mój drogi. - Dean pogroził mu palcem. - Wszystko zostanie wyjawione. Trochę cierpliwości, doradco.

- Kiedy będziemy jeść? - zapytała Jilly. - Nudzi mi się i jestem głodna jak wilk.

- Nie marudź, kochana - skrzywił się Dean. - Tak rzadko mam okazję do dobrej zabawy. A więc, jak już mówiłem, cały dzień siedziałem przed komputerem i robiłem wielkie odkrycia, a Jilly spacerowała po plaży, płacząc za jakąś utraconą miłością. Masz przecież swoje utracone miłości, prawda, kochana? Coltrane bawił się w hydraulika, a Rachel-Ann... Co robiłaś, moja maleńka? Leżałaś w łóżku i oglądałaś Weather Channel?

- Całe popołudnie przesiedziałam w domku przy basenie.

Jilly zadrżała.

- Dlaczego, na miłość boską?

Rachel-Ann uśmiechnęła się tajemniczo. Wyglądała młodziej niż zwykle, jej oczy lśniły zdrowym blaskiem i była zadziwiająco spokojna.

- Domek przy basenie to nie to samo co basen, Jilly - powiedziała ciepło. - Miło wspominać chwile spędzone w tym domku.

- Z twoimi plebejskimi kochankami - skomentował złośliwie Dean. - Nasz Coltrane dopiero co przyznał się do robotniczego pochodzenia, więc możesz go zabrać do tego domku i pokazać, jak zmarnowałaś swoje młode lata. A kiedy się nim znudzisz, może uda mu się stwierdzić, dlaczego ten koszmarne basen do niczego się nie nadaje. Nie sposób sobie wyobrazić, że w południowej Kalifornii jest dom, który nie ma sprawnego basenu.

- A używałbyś go, gdyby się do tego nadawał? - spytała Rachel-Ann, nieporuszona złościwością brata.

- Całkiem możliwe. Od czasu do czasu nawet ja dbam o swoje zdrowie, a ładna opalenizna dodaje człowiekowi uroku. - Dean zwrócił się do Coltrane'a, który przysłuchiwał się tej rozmowie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - Co o tym sądzisz, Coltrane? Chcesz moją siostrę? - Dean doskonale się bawił swoimi dowcipami.

- A jeśli tak, to którą? Obydwu mieć nie można. Alan Dunbar próbował i nie wyszło mu to na zdrowie, chociaż nasz tatuś całkiem nieźle mu płaci.

- Jesteś pijany - podsumował jego wywody Coltrane.

- Nic podobnego, drogi chłopcze. Ja tylko świętuję.

Przygotowuję się do ogłoszenia niepodległości, a wierz mi, że to może uderzyć do głowy. Nigdy dotąd nie miałem takiego poczucia siły. Cóż w tym dziwnego, że trochę mi się zakręciło w głowie?

- Mam tego dosyć! - Jilly podniosła się z kanapy. - Skoro nie masz zamiaru dać nam nic do jedzenia, to muszę zjeść coś w mieście. Nie mam nastroju na te wszystkie...

- Siadaj! - zgromił ją Dean.

- Odwal się - warknęła Jilly. Rufus też się podniósł i powarkiwał, wyraźnie zniecierpliwiony.

- Zrób coś, żeby nie wyszła, Coltrane - poprosił Dean. - Ja naprawdę wszystko dokładnie zaplanowałem.

- Nie będę jej do niczego zmuszał - mruknął Coltrane. - Sam musisz ją poprosić.

Jilly była już przy drzwiach, kiedy dotarł do niej głos Deana.

- Jilly, proszę cię.

Ani razu w całym swoim życiu mu nie odmówiła. Jak mogłaby zrobić coś takiego teraz, kiedy zwrócił się do niej takim łagodnym, proszącym tonem. Dean doskonale o tym wiedział. I nic jej nie pomogła wiedza, że on to po prostu wykorzystuje.

- Po co? - próbowała jeszcze się opierać. - O co tu chodzi? W co ty nas wszystkich wciągasz?

- Czekamy na ostatniego gościa - oznajmił patetycznie Dean.

- Czyli na kogo?

Nikt nie mógł być gorszy od Coltrane'a, który przyglądał jej się swoimi tajemniczymi, zielonymi oczami.

Dlaczego taki niebezpieczny facet jest jednocześnie tak bardzo pociągający, pomyślała. No, ale może właśnie dlatego jest taki niebezpieczny.

- Nie domyślasz się, Jilly? - głos rozległ się tuż za jej plecami. - To ja, twój kochający tatuś.

Jilly spojrzała w brązowe oczy Jacksona Deana Meyera i pomyślała, że jednak może być jeszcze gorzej. O wiele gorzej.

Brenda de Lorillard wysunęła się z objęć Teda, piosenka zamarła jej na ustach. Swoim pięknym altem śpiewała „Night and Day” i w takt tej piosenki tańczyli z Tedem na balkonie. Zawsze twierdziła, że to najbardziej erotyczna piosenka, jaką kiedykolwiek napisano, a Ted, kochany Ted, zawsze się z nią zgadzał.

Jednak w ułamku sekundy zapomniała o piosence i nawet o erotyzmie. Przerażona, spojrzała na Teda.

- Co się stało, mój skarbie? - zapytał.

- On tu jest - wyszeptała Brenda.
- Kto taki?
- Zły Człowiek. Wrócił. Zrobi krzywdę naszym dziewczynkom.

Scandalous

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jilly zamarła. Słyszała, jak Rufus warczy groźnie i nie chce się uspokoić, mimo że Coltrane próbuje go ugłaskać.

- Sądziłam, że jesteś w Meksyku - powiedziała, patrząc ojcu prosto w oczy.

Była od niego wyższa, co okropnie go irytowało. Jilly przypuszczała, że to jeden z wielu powodów, dla których jej nie lubił. Chociaż właściwie nigdy się nią nie interesował, nawet kiedy była jeszcze całkiem małą.

- Skąd ten pomysł?

- Coltrane mi powiedział.

- Coltrane czasami kłamie na moje polecenie.

- Fajnie! - mruknęła Jilly.

Patrzył jej w oczy, lecz Jilly nie odwróciła wzroku. Przyglądała się ojcu tak obojętnie, jak tylko mogła. Opalenizna, włosy, garnitur, wszystko było idealne. Wyglądał młodziej, niż kiedy widzieli się ostatni raz. Jak facet dobiegający pięćdziesiątki, a nie sześćdziesiątki, którą rzeczywiście miał na karku.

- Ile to już lat, Jillian? - powiedział jowialnie, dokładnie tak, jak powinien powiedzieć kochający ojciec. - Rok?

- Dwa i pół - odparła, żałując szczerze, że nie co najmniej dwa razy tyle.

Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek kochała swojego ojca, żeby mu ufała, nawet kiedy była jeszcze małym

dzieckiem. Matka kochała gorąco całą trójkę, za to Jackson wyłącznie Rachel-Ann. Dwójka jego własnych dzieci zupełnie go nie obchodziła. Żona zresztą także nie. O ile Jilly dobrze pamiętała, nawet nie zauważył, że od niego odeszła. Zorientował się dopiero wtedy, gdy postanowiła zabrać ze sobą dzieci.

Matka wspominała, że zaproponował jej pewien układ. Powiedział, że może sobie wziąć Deana i Jilly, a on zatrzyma Rachel-Ann. Oczywiście odmówiła, bo zawsze całą trójkę uważała za własną. Niestety, zapomniała, jak bezlitosny, jaki okrutny i zdecydowany na wszystko jest Jackson. Nie dopuścił, by zabrała dzieci, jej jedyną nadzieję na szczęście.

Edith zginęła w wypadku samochodowym, zanim zdążyła dojść sprawiedliwości przed sądem, a trójka rodzeństwa dostała się w ręce grandmere.

Jackson Dean Meyer nie pofatygował się nawet na pogrzeb żony. Dzieci szły za trumną same.

- Ciągłe wyglądasz jak zbuntowana hippiska -stwierdził Jackson.
- Kiedy wreszcie obetniesz te włosy? I to ubranie! - westchnął. -
Miałem nadzieję, że odziedziczysz chociaż odrobinę gustu po mnie i po swojej matce. Jedyna dobra rzecz, jaką mogę o niej powiedzieć, to to, że potrafiła się ubrać. Ty nie masz za grosz tej umiejętności.

- Tatusiu... - dobiegł ich nieśmiały głos Rachel-Ann. Meyer tylko machnął ręką, zniecierpliwiony dając jej znać, żeby zamilkła. Jeszcze nie skończył starannie zaplanowanej próby upokorzenia krnąbrnej córki.

- Po co przyszedłeś? - spytała Jilly obojętnie. - To nie Boże Narodzenie ani urodziny żadnego z nas, chociaż i o tych okazjach nigdy nie pamiętasz. Jakim szczęśliwym gwiazdom zawdzięczamy twoje dzisiejsze pojawienie się tutaj?

- Twój brat mnie zaprosił. - Ojciec uśmiechnął się do Deana, który uniósł kieliszek w toaście.

Uśmiech Jacksona Meyera był jego najpotężniejszą bronią. Twarz mu się rozjaśniała, śmiały się nawet oczy. Rozmówca był przekonany, że ten czarujący, wspaniały człowiek jest nim zachwycony. Właśnie wtedy Meyer wbijał mu nóż w plecy. -

- Na pewno nie pierwszy raz cię zaprosił - zauważyła Jilly. - Dean jeszcze nie zrezygnował.

- Ale ty tak, prawda, Jillian? Na szczęście mam jeszcze dwoje dzieci, w których zawsze znajdę oparcie. Tylko ty w swojej wielkiej mądrości zdecydowałaś już, że nigdy nie wybaczysz mi moich grzechów.

- Tracisz moc, Jackson - powiedziała nieporuszona Jilly. - Wypróbowałeś na mnie ten chwyt dwa Boże Narodzenia temu. Nie zadziałało wtedy, to i teraz nie zadziała.

Tylko ledwie widoczne zaciśnięcie zębów zdradzało prawdziwą reakcję ojca. Uśmiechnął się znowu, choć tym razem jego uśmiech był inny.

- Skoro moja obecność ci przeszkadza, to chyba zwolnimy cię z obowiązku siedzenia tu z nami przez resztę wieczoru. Dean i Rachel-Ann cieszą się, że przyszedłem, a na Coltrane'a mogę liczyć zawsze.

- O tak, coś o tym wiem - powiedziała Jilly.

- I zabierz ze sobą tego psa z piekła rodem - dodał. Był to kolejny znak, że jego pozorowana uprzejmość się kończy. - Linieje.

- Nigdzie się nie wybieram - skłamała gładko Jilly. - Skoro w końcu zdecydowałeś się pojawić w La Casa, po raz pierwszy odkąd sięgam pamięcią, to, jako współwłaścicielka, winnam ci zgotować gorące powitanie. Jesteś daniem głównym czy tylko przekąską?

- Musiałem cię bardzo czymś dotknąć, moje drogie dziecko. - Jackson popatrzył na nią z żalem. - Tak mi przykro.

- Wybaczam ci - powiedziała Jilly słodko. Przeszła obok niego i wróciła na swoje miejsce na sofie. Rufus nie spuszczał oka z Jacksona i ani na chwilę nie przestawał warczeć, ale kiedy tylko Jilly siadła obok Coltrane'a, natychmiast się uspokoił i ułożył między nimi, tuż przy sofie.

Jackson długo wybierał sobie wygodny fotel, jeszcze dłużej przysuwał go do stołu. Zatrzymał się, żeby pocałować Rachel-Ann w policzek, skinął głową dwóm pozostałym mężczyznom. W końcu się usadowił, oczywiście u szczytu stołu. Usiadł, po czym obdarzył całą czwórkę ojcowskim uśmiechem.

- Ależ tu u was miło - powiedział.

- Cudownie - mruknęła Jilly. Czekwała.

- W każdej chwili możesz wyjść. - W głosie Jacksona słychać już było lekkie zniecierpliwienie.

Jilly była zadowolona z siebie. Okazało się, że nie tylko Jackson potrafi zdobywać punkty.

- Nie mam zamiaru - zapewniła ojca. - Nie przyszedłeś tu bez powodu. Za nic na świecie nie zrezygnuję z tego widowiska..

- Chcę, żebyś została - oświadczył Dean. - Nasz szanowny tatuś zamierza nam coś zaproponować. Wszyscy troje powinniśmy tego wysłuchać.

- Wobec tego co tu robi Coltrane? - Jilly nie dawała za wygraną.

- Jest szefem departamentu prawnego mojej firmy. Uznałem, że też powinien tu być - wyjaśnił Jackson. - Poza tym on także tu mieszka. Zachowalibyśmy się bardzo niegrzecznie, nie zapraszając go na nasze spotkanie. Gdzie się podziała twoja gościnność, Jillian? Czyżby babcia nie nauczyła cię dobrych manier?

- W tym domu jest stanowczo za dużo gości i za mało rodziny - mruknęła Jilly.

- Zamknij się - powiedział Dean. - Mam już dosyć tej waszej nieustającej wojny podjazdowej. Tata przyszedł tu w konkretnym celu i powinniśmy go wysłuchać.

Jilly zauważyła w oczach brata dziwny, nigdy dotąd nie widziany błysk. Gdyby chodziło o Rachel-Ann, wiedziałaby, że jest naćpana. Dean nie brał narkotyków, tylko pił wódkę, ale tym razem blask jego oczu obwieszczał zwycięstwo. To jeszcze bardziej zmartwiło Jilly.

- Dziękuję ci, synu - powiedział Jackson.

Chyba drugi albo co najwyżej trzeci raz w życiu zwrócił się do niego w ten sposób. Dean się wzruszył, choć postarał się, żeby nikt tego nie zauważył.

Jackson rozparł się w fotelu, wyjął srebrną cygarniczkę i kazał im wszystkim czekać, aż skończy związany z zapalaniem cygara rytuał.

Coltrane się poruszył. Jego dłoń spoczęła na kanapie, tuż obok bosych stóp Jilly.

Jackson teatralnym gestem wydmuchnął dym z cygara i przybrał minę zatroskanego ojca.

- Wiecie, że bardzo interesuje mnie La Casa - zaczął. - Zawsze chciałem mieć ten dom.

- Jasne, wiemy. - Jilly zakpiła w żywe oczy. - Przez dwadzieścia lat nie przekroczyłeś progu tego domu, a grandmere zrobiła wszystko, żeby posiadłość nie dostała się w twoje ręce.

- Dała go wam w użytkowanie - poprawił ją Jackson. - Ze względów podatkowych. Ale dom nie jest waszą własnością. No tak, zapomniałem, że ciebie nie interesuje praktyczna strona życia. Zawsze zajmowały cię wyłącznie utopie. Teraz też próbujesz ratować rudery, które lata świetności dawno mają za sobą. Bez powodzenia. Jeszcze nigdy nic ci się nie udało, prawda, Jillian? Nikogo prócz ciebie zupełnie nic to wszystko nie obchodzi.

- Jak zwykle masz rację - odparła chłodno Jilly.

Postanowiła, że tym razem nie pozwoli Jacksonowi zdobyć żadnego punktu.

- A więc, jak już mówiłem - ciągnął Jackson - moja matka zostawiła wam tę posiadłość ze względów podatkowych. Często tak się robi, przekazując spadek. W ten sposób omija się jedno pokolenie i

tym samym oszczędza jeden podatek spadkowy. Jeśli cię to interesuje, Jillian, to Coltrane chętnie wprowadzi cię w szczegóły regulacji prawnych, dotyczących tej materii. Obawiam się jednak, że jeśli nadal będziesz poświęcać życie straconym sprawom, nie będziesz miała możliwości pozostawienia spadku swoim dzieciom czy wnukom.

- Skoro ja się tym nie przejmuję, to moje sprawy spadkowe ciebie też nie powinny obchodzić - odcięła się Jilly. - Faktem jest, że grandmere nie życzyła sobie, żeby La Casa dostał się w twoje ręce. Wiedziała, że każesz zrównać dom z ziemią i postawisz tu wieżowiec.

- Więc dlaczego zostawiła go wam tylko w użytkowanie? Dom jest wasz tak długo, jak długo w nim mieszkacie. Kiedy się wyprowadzicie, bo w końcu zawali się dach albo z innych powodów ta ruina przestanie się nadawać do zamieszkania, natychmiast wróci do mnie.

- Wy tłumaczono nam to dokładnie po otwarciu testamentu - przypomniała mu Jilly. - Może w końcu powiedziałbyś coś, czego jeszcze nie wiemy.

- To miejsce nie jest bezpieczne - mówił Jackson. Był coraz bardziej zdenerwowany, coraz trudniej mu było zachować obojętność.

- W razie wybuchu pożaru nie macie szans.

- Na pewno bardzo byś się zmartwił - prychnęła Jilly.

- Obawiam się, że nawet lekkie trzęsienie ziemi zetrze ten dom z powierzchni ziemi, a wiemy wszyscy, że w Los Angeles to się może zdarzyć. - Jackson wciąż mówił spokojnie, ale musiał zacisnąć pięści,

żeby ten spokój zachować. Naprawdę tracił moc! - Nie chciałbym stracić dzieci w takim tragicznym wypadku.

Powiedział to z taką troską w głosie, że każdy głupi by mu uwierzył. Na szczęście Jilly od dawna już nie była głupia, przynajmniej w tych sprawach, które miały związek z jej ojcem.

- Nic nam nie będzie - zapewniła go pośpiesznie. -Dziękujemy za troskliwość, ale nigdzie się stąd nie ruszymy.

- Babcia zostawiła dom całej waszej trójce, Jillian. Nie interesuje cię, co ma do powiedzenia twoje rodzeństwo? Proponuję poważną sumę pieniędzy dla każdego z was. Twoja część wystarczy na kupienie każdego historycznego śmiecia, jaki ci wpadnie w oko, i jeszcze na wyremontowanie go. Nawet Deanowi wystarczy na dom, jaki sobie wymarzył.

- A co z Rachel-Ann? - zapytał Dean.

Jackson położył wypielegnowaną dłoń na szczupłym kolanie adoptowanej córki.

- Chciałbym, żeby zamieszkała ze mną.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Jilly wzdrygnęła się odruchowo. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie przesadza, czy to nie jest zbyt gwałtowna reakcja na całkowicie naturalną w gruncie rzeczy propozycję.

Popatrzyła po twarzach zebranych i doszła do wniosku, że nie przesadziła. Wszyscy mieli takie miny, jakby Jackson rzucił na środek pokoju bombę, a oni udawali, że nic się nie stało, choć dobrze wiedzieli, że bomba za chwilę wybuchnie.

Twarz Coltrane'a była przerażająco spokojna, bez wyrazu, tylko jego oczy stały się lodowate, a dłoń zacisnęła się w pięść. Ale nie odezwał się i nikt prócz Jilly nie zauważył grozy jego milczącej reakcji. Jilly ją widziała, nie rozumiała tylko, o co chodzi.

Reakcja Rachel-Ann, a raczej kompletny jej brak, był równie porażający. Siedziała bez ruchu, podczas gdy Jackson lubieżnie masował jej kolano.

Dean pierwszy przerwał milczenie. Odchrząknął. W głębokiej ciszy salonu dźwięk ten zabrzmiał jak wystrzał z armaty.

- Czy Melba nie będzie miała nic przeciwko temu, tato? - spytał ostrożnie.

- Postanowiłem rozstać się z Melbą. Zaczęliśmy już załatwiać formalności. Mamy umowę przedślubną, więc nie potrwa to długo. Melba nie ma żadnych podstaw ani żadnego interesu, aby kwestionować moje decyzje.

Jilly nie mogła oderwać oczu od dłoni Jacksona, pieszczącej kolano jej siostry.

- To zrozumiałe - odpowiedział Dean. Jego głos zabrzmiał głucho, lecz oczy wciąż jeszcze lśniły triumfalnie. - Co w związku tym zamierzasz?

- Kupiłem dom w Hills. Potrzebuję gospodyni, a Rachel-Ann przyda się jakieś zajęcie. Na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby zatroszczyć się o swojego starego ojca. Prawda, dziecinko?

Jego palce pieściły kolano Rachel-Ann w powolnym miarowym rytmie.

- Tak, tatusiu - odezwała się cichym głosem przerażonej, małej dziewczynki. - To znaczy, nie, tatusiu. Nie będę miała nic przeciwko temu.

Rachel-Ann drżała. Jilly zrozumiała, że jej siostra drży ze strachu. Dosłownie. Mówiła do niego „tatusiu”. Żadne z nich nigdy nie zwracało się do niego w ten sposób. Dean nazywał go tatą albo po prostu Jacksonem, a Jilly starała się w ogóle do niego nie odzywać.

- To nie jest najlepszy pomysł - rozległ się głos Coltrane'a. Zimny, pozbawiony jakichkolwiek emocji głos. - Uważam... ;

Zanim zdążył na dobre zacząć zdanie, jeden z kandelabrow przeleciał przez pokój jakby rzucony niewidzialną ręką, a drugi sam spadł z fortepianu. Szklany stolik się zakołysał, szklanki i kieliszki pospadały na podłogę, zgasło światło. Dom pograżył się w ciemnościach.

Rachel-Ann krzyknęła przerażona.

Jilly zerwała się na równe nogi, żeby ją złapać i przytulić do siebie, ale w ciemności zderzyła się z Coltrane'em, który także się poderwał. Oboje potknęli się o Rufusa i wylądowali na szklanym blacie stolika, który w jednej chwili załamał się pod ich ciężarem.

Jilly leżała pod Coltrane'em, na odłamkach szkła, które boleśnie raniły jej ciało. Słyszała warczenie Rufusa, krzyki Deana i Jacksona... Zamknęła oczy. Czuła, że za chwilę zemdleje.

Nagle usłyszała wyraźny, dźwięczny głos Rachel-Ann.

- Tak - mówiła. - Oczywiście.

- Co z tym cholernym światłem? - wrzeszczał doprowadzony do ostateczności Jackson.

Jilly słyszała, jak obija się o meble, jak Rufus warczy groźnie, niepewny, czy ma bronić swojej pani, czy może raczej atakować kogoś z pozostałych. Tylko Deana nie było słychać. Widocznie poszedł sprawdzić, dlaczego zgasło światło.

Była półprzytomna, jakby oderwana od tego wszystkiego, co się wokół niej działo. Czuła uciskające ją w plecy odłamki szkła, połamane kawałki stolika. I czuła ciężar leżącego na niej Coltrane'a. W ciemności zdawał się ogromny, niesłychanie potężny. Jilly wiedziała, że powinna przynajmniej spróbować go z siebie zrzucić, ale na razie się nie ruszała. Chłoneła ciepło jego ciała i płynące z tego ciała niezwykle poczucie bezpieczeństwa.

W holu zapaliło się światło. Jackson powitał je kolejnym stekiem przekleństw.

- Zapalcie światło w tym cholernym pokoju! - wrzeszczał.

- Tu nie ma żadnego światła - odezwał się stojący w progu Dean. Oświetlił latarką wszystkie kąty, zatrzymał promień światła na Jilly i Coltrane. - Ładnie wyglądacie. Może zostawić was samych?

- Nie ruszaj się - szepnął jej do ucha Coltrane, jakby nie usłyszał złości Deana.

Jilly nie tylko się nie poruszyła, ale nawet nie odezwała. Nadal była w tym dziwnym stanie ni to omdlenia, ni podniecenia.

- Gdzie, do cholery, jest Rachel-Ann? - chciał wiedzieć Jackson.

- Nie widzę jej tutaj - odparł Dean na pozór obojętnie. - Ale chyba słyszałem odjeżdżający samochód. Kiedy szukałem skrzynki z bezpiecznikami...

- Skrzynki z bezpiecznikami! - wpadł mu w słowo Jackson. - Mówiłem, że w tym domu w każdej chwili może wybuchnąć pożar. A z tym samochodem, to chyba ci się zdawało. W każdym razie Rachel-Ann na pewno nigdzie nie pojechała. Zastawiłem jej bmw.

Mimo że nadal wszystkie wrażenia docierały do Jilly jak przez mgłę, to jednak w głosie swego ojca usłyszała wyraźną satysfakcję.

- Przecież mogła wziąć inny samochód - powiedział roztropnie Dean. - Wygląda na to, że jednak pojechała.

- Cholera! Pomożesz mi ją znaleźć. Daj tutaj tę latarkę!

Tym razem Jackson był po prostu wściekły.

- A co z Jilly?

- Coltrane się nią zajmie.

- Dupki - mruknął cicho Coltrane, kiedy zostali sami. - Nic ci nie jest?

- Nie wiem - powiedziała Jilly. Ból przestał być dokuczliwy i miała teraz wrażenie, jakby unosiła się w powietrzu.

- Tu jest pełno potłuczonego szkła. Nie możemy poruszać się zbyt gwałtownie, żeby nie stało się coś jeszcze gorszego. Czy bardzo krwawisz?

- Nie wiem - powtórzyła cicho. Bardzo chciało jej się spać.

- Jasna cholera! Tylko mi tu nie zemdlej! - Coltrane był najwyraźniej przerażony, a Jilly nie rozumiała, dlaczego.

Ciemność była miękka, ciepła i nareszcie umilkły te wszystkie irytujące dźwięki. Było wprawdzie niezbyt wygodnie, ale Jilly nie myślała o tym, co było pod nią, tylko o leżącym na niej mężczyźnie i było jej całkiem przyjemnie.

Coltrane poruszył się, ułożył dłonie na podłodze po obu stronach Jilly, ostrożnie uniósł się na rękach i po chwili już go przy niej nie było. Usłyszała, jak zaklął cicho, kiedy stanął na nogach.

- Nie ruszaj się - polecił. - Przyniosę jakąś lampę.

- Nie mam zamiaru się ruszać - powiedziała cicho. Bez Coltrane'a nie było już tak miło, ale za to łatwiej się oddychało, chociaż nie była zadowolona, że zostawił ją samą w ciemnym pokoju.

Bardzo powoli wracała jej świadomość. Plecy bolały, czuła pod sobą ciepłą, lepłą wilgoć. Krew.

Rachel-Ann zniknęła, piekło się rozstąpiło, a Jilly leżała na szklanym łożu...

Chciała się poruszyć, ale właśnie wrócił Coltrane.

- Kazałem ci się nie ruszać - powiedział ostrym tonem.

W pokoju zrobiło się trochę jaśniej. Była to ta sama lampka z nagą żarówką, która paliła się tu poprzedniej nocy. Przypomnienie tego, co się wówczas stało, znów wprawiło Jilly w zakłopotanie, ale z dwojga złego wolała tamto od dzisiejszej bezsensownej awantury.

- Podniosę cię do góry - powiedział Coltrane, stojący nad nią jak olbrzymi, czarny cień. - Nie kręć się, nic nie rób, tylko daj się podnieść.

- A jeśli złamałam kręgosłup? - zdobyła się na odrobinę zwykłej dla siebie szorstkości.

- To będziesz sparaliżowana do końca życia i wreszcie przestaniesz mnie wkurzać. - Nachylił się, wziął ją za rękę. - Raz, dwa, trzy.

Pociągnął ją do góry. Był bardzo silny.

Jilly wpadła na niego z takim impetem, że znów oboje upadli, ale tym razem na sofę.

Oparła się dłońmi o jego tors, odepchnęła się, podniosła, byle dalej od niego.

Poczuła dojmujący ból pleców. Syknęła.

- Cholera! - zaklął znowu Coltrane. - Spójrz, całe plecy masz pokaleczone!

- Niewykonalne z przyczyn anatomicznych - mruknęła.

Zamilkli na chwilę, a potem Coltrane się roześmiał. Głośno i z ulgą.

- Jesteś naprawdę niesamowita, Jilly Meyer - powiedział w końcu. - Zabieram cię do szpitala. Musi obejrzeć cię jakiś fachowiec. Po drodze możemy sobie porozmawiać o tym, co jeszcze jest niewykonalne z przyczyn anatomicznych. Na pewno byś się zdziwiła, gdybym ci pokazał, do czego jestem zdolny.

- Nic mi nie jest. Nigdzie z tobą pojedę.

- Nie kłóć się ze mną - powiedział zdecydowanie, biorąc ją za rękę. - Nie jestem w nastroju.

Kiedy szli przez hol, zauważyła, że owinał czymś lewą dłoń i że to coś jest poplamione krwią. Spodnie też miał zakrwawione.

- Skaleczyłeś się. - Jilly się zatrzymała. Próbowwała nie myśleć o potwornym bólu pleców.

- Oboje jesteśmy pokaleczeni, skarbie. Dean i twój tatuś ganiają się z duchami, Rachel-Ann zniknęła, więc sami musimy się jakoś dowieźć do szpitala. Dlatego przestań wydziwiać. Chodź i postaraj się nie zemdleć. Ostatecznie mógłbym cię wziąć na rękę, ale nie lubię tego robić, jeśli nie prowadzi do czegoś znacznie przyjemniejszego niż wizyta w szpitalu.

- Nie mógłbyś.

- Czego bym nie mógł?

- Nie mógłbyś mnie wziąć na rękę. Mam prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i... Cholera! - Spojrzała na podłogę. Nie było cienia wątpliwości, że to ona sama zostawiła na niej krwawe ślady.

Coltrane westchnął.

- Gdzie masz te swoje przeklęte buty? - spytał.

- Nie pamiętam. - Nagle zachciało jej się płakać. - A gdzie jest mój przeklęty pies?

- Wypuściłem go do ogrodu. Nie chciałem, żeby cię lizał po twarzy, kiedy leżałaś tam cała obolała.

- Ale ja lubię, jak on mnie liże po twarzy.

- Będziesz się musiała zadowolić mną. Możesz chodzić?

- Jasne - odparła z godnością. I rzeczywiście mogła. Nawet nie kulą, choć kosztowało ją to wiele wysiłku.

- Jasne, jasne - mruknął Coltrane, najwyraźniej nie-przekonany.

Nie mógł pozwolić, żeby aż tak się męczyła. Zarzucił ją sobie na ramię i zaniósł do garażu.

Scandalous

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Od razu się zorientował, że nie ma jego auta. Mercedes Meyera rzeczywiście stał w taki sposób, że uniemożliwiał wyjazd z garażu bmw Rachel-Ann.

A więc to ona wzięła range-rovera. Chciała uciec za wszelką cenę i dlatego zabrała jego samochód.

Coltrane pragnął wierzyć, że nic złego jej się nie stało, bo w tej chwili miał na głowie znacznie pilniejsze sprawy. Na przykład pokaleczona kobieta, którą niósł na ramieniu, czy choćby jego lewa ręka, która krwawiła, jakby jej za to płacili.

- Musimy jechać twoim samochodem - powiedział do przewieszanej przez jego ramię Jilly.

Rzeczywiście nie była lekka. Cały ten wieczór, który tak niemiło się zaczął, z każdą chwilą stawał się coraz bardziej paskudny.

- Mam poranione stopy - powiedziała cichutko. - Nie dam rady prowadzić.

Coltrane wszedł do garażu, otworzył drzwiczki corvetty i posadził Jilly na siedzeniu obok kierowcy.

- Nie będziesz - powiedział.

Usiadł za kierownicą, nie zwracając uwagi na jej protesty. Lewa ręka bolała go potwornie, ale krew płynęła już chyba trochę wolniej. W każdym razie tak mu się wydawało. Rozciął dłoń bardzo głęboko, kiedy oparł ręce na kawałkach szkła, żeby uwolnić Jilly od swojego ciężaru. Nie przepadał za widokiem krwi, ale teraz nie wolno mu było

stracić panowania nad sobą. Jilly miała pokiereszowane plecy i zakrwawione stopy. Ktoś musiał ją zawieźć do szpitala.

- Powiedziała, że nie pozwolę ci dotknąć mojego auta - zaprotestowała słabo. - Dlaczego nie możemy jechać twoim? Zepsuł się czy co?

- To drugie. Twoja siostra go gwizdnęła. Miejmy nadzieję, że tatuś nigdy jej nie znajdzie. Nie kłóć się ze mną, tylko powiedz, gdzie masz kluczyki.

- A jeśli ci powiem, że zostały w domu?

- To odpowiem, że kłamiesz i na dodatek tracisz cenny czas. - Opuścił osłonę przedniej szyby i kluczyki spadły mu na kolana. - Zapnij pas.

Jilly zauważyła, że Coltrane sam ma z tym trudności. Krwawiącą lewą rękę owinał ręcznikiem i nie można było zobaczyć, jak paskudnie wygląda jego rana.

Silnik corvetty zbudził się do życia, Coltrane wycofał auto z garażu, nie dbając, czy przypadkiem ktoś nie spaceruje sobie w ciemnościach właśnie w tej okolicy. Jacksona Meyera rozjechałby z największą przyjemnością. Chęć zemsty osiągnęła taki poziom, że subtelne gierki już nie wystarczyły. Coltrane chciał zobaczyć, jak wróg leży martwy u jego stóp.

Dean też znalazł się na jego liście skurwieli. Prawie na samym szczycie, zaraz po swoim ojcu. Co on chciał dzisiaj wygrać tymi swoimi kretyńskimi aluzjami? Co takiego znalazł w tym cholernym

komputerze, że nagle stał się taki odważny i spodziewał się zmusić Jacksona Deana Meyera do strachu przed karą boską?

Wyjeżdżał z posiadłości, reflektory auta przecinały gęstą ciemność, rana dłoni krwawiła. Jilly się nie odzywała i Coltrane bał się, czy aby nie zemdląca.

Może coś jej złamałem, kiedy się na nią przewróciłem, pomyślał. A może tylko jest w szoku.

- Masz szczęście, że nie zdążyłam zauważyć, jak to się stało - odezwała się Jilly. - Gdyby nie to, przysięgłabym, że zaaranżowałeś ten wypadek, żeby się dorwać do mojej corvetty.

Coltrane roześmiał się i poczuł ulgę - Jilly nic nie groziło. .

- Nie jestem aż taki przebiegły - zapewnił ją. Wolał przejechać na czerwonym świetle, niż zmienić bieg. Prawą rękę trzymał na kierownicy, a lewą na kolanie, żeby sobie odpocząca. Cały ręcznik był przesiąknięty krwią. Jilly nie byłaby zachwycona, gdyby pobrudził obciągniętą skórą kierownicę jej ukochanego auta. Chociaż z drugiej strony może nawet by się ucieszyła. W końcu była to krew jej śmiertelnego wroga.

- Jak się czujesz? - zerknął na nią.

Siedziała z głową opartą o zagłówek, z zamkniętymi oczami. Pas miała porządnie zapięty: Wprawdzie w samochodzie było ciemno, ale blask mijanych po drodze latarni pozwalał dostrzec, że była bardzo blada.

Coltrane wcisnął pedał gazu do podłogi. Nie wiedział, czy podziwiać zrywność auta, czy też może martwić się o Jilly.

- Nie zatrzyj mi silnika - poprosiła, nie otwierając oczu. - Nic mi nie jest. Nie musisz gnać na złamanie karku.

- A pozwolisz mi jeszcze kiedyś przejechać się tym autem?

- Po moim trupie!

- No to muszę nacieszyć się nim teraz.

Wziął ostry zakręt. Opony idealnie trzymały się drogi.

Coltrane przypuszczał, że najpierw pójdzie z nią do łóżka, a dopiero potem, i to nie od razu, Jilly pozwoli mu usiąść za kierownicą swojego auta. Pomylił się co do kolejności, chyba żeby uznać wczorajszą przygodę za pójście do łóżka, ale wcale nie był zadowolony. Wolałby być w niej, aniżeli w tym ślicznym, eleganckim aucie, którego silnik pracował równiutko, mrużąc jak zadowolony kot. Wolałby usłyszeć mrużącą z rozkoszy Jilly. I niech diabli porwą jej samochód!

Zaniósłby Jilly na rękach na izbę przyjęć, gdyby nie to, że w szpitalu już na nich czekano. Ktoś musiał zadzwonić i uprzedzić, że przyjadą. Na pewno nie zrobił tego Jackson, więc może Dean... Widocznie nie był aż taką świnią, za jaką go Coltrane uważał.

Chciał tylko pomóc Jilly wysiąść z auta, a potem odejść i zostawić ją pod opieką pielęgniarki, ale przytrzymała jego rękę.

- Chodź ze mną - poprosiła, wbrew całemu swojemu rozsądkowi, z którego była taka dumna. Coltrane chciał się roześmiać, ale jakoś mu nie wyszło.

- Mam zostawić tutaj twój ukochany samochód? -zapytał szczerze zdziwiony. - W tym miejscu nie wolno parkować. Ściągną go

na policyjny parking, jeśli, oczywiście, przedtem ktoś go nie ukradnie. Musisz zdecydować, na czym ci bardziej zależy: na bezpieczeństwie auta, czy na mojej obecności?

Nie puściła jego ręki. Bogu dzięki, nie złapała za tę skaleczoną. Prawdę mówiąc, nie miała możliwości, bo Coltrane schował ją za plecami, żeby nic nie było widać.

- Do diabła z autem - powiedziała Jilly. Całkiem głośno jak na swoje aktualne możliwości.

Pielęgniarka zawiozła ją na wózku na izbę przyjęć, a Coltrane musiał iść obok. Nie miał innego wyjścia, bo Jilly kurczowo trzymała go za rękę. Nawet kiedy położyli ją na kozetce, kiedy przyszedł lekarz, żeby ją zbadać -ona ciągle trzymała się Coltrane'a. Słyszał głos Jilly, ale jakby z bardzo daleka. Opowiadała pielęgniarce, co się stało, a ta wyjmowała odłamki szkła z jej bosych stóp. Uścisk Jilly prawie zmiądzzył jego rękę.

A może to nie ta? Może to druga ręka była tak strasznie gorąca i ciężka, jakby leżał na niej stukilowy kamień... Nie był pewien.

Podniósł ją, żeby to sprawdzić. Czerwony ręcznik zamigotał mu przed oczami i Coltrane uprzytomnił sobie, że kiedy owijał nim ranę, ręcznik był całkiem biały. Stracił przytomność.

Ponad trzy godziny spędzili w szpitalu. Coltrane uznał, że istotnie nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wprawdzie zrobił z siebie totalnego głupka, ale za to zdołał wprowadzić Jilly w niezwykły dla niej, radosny nastrój. Widocznie lubiła oglądać

pokonanych mężczyzn. A może tylko bawiła ją niecodziennosc tej sytuacji.

- Przez dwa lub trzy dni nie powinna pani chodzić, panno Meyer - mówiła pielęgniarka, która odwoziła Jilly do samochodu. - Rany nie są głębokie, ale szybciej się zagoją, jeśli będzie pani oszczędzać nogi. Rany na plecach paskudnie krwawiły, ale na szczęście nie są groźne. Tutaj ma pani środek przeciwbólowy. Powoduje senność, ale to normalne.

Znowu ta krew, pomyślał Coltrane. Nie cierpię krwi.

- A jeśli chodzi o pana - pielęgniarka zwróciła się teraz do niego - to po powrocie do domu powinien pan poleżeć. Ma pan siedem szwów na ręce i wielkiego guza na głowie. Od uderzenia w posadzkę, kiedy pan zemdlał - wyjaśniła, jakby sam tego nie wiedział. - Na razie nie stwierdziliśmy wstrząsu mózgu, ale ktoś powinien nad panem czuwać. Lepiej mieć pewność, że rzeczywiście nic się panu nie stało. Wprawdzie uderzenie nie było silne, ale ostrożności nigdy dosyć.

Usłyszał, jak Jilly dusi się ze śmiechu.

- Nic mi nie będzie - burknął.

- Uważajcie trochę na siebie. A na drugi raz nie róbcie tego na stole ze szklanym blatem.

- My nie... - zaczęła Jilly, lecz Coltrane szybko wyminął pielęgniarkę i wypchnął wózek za drzwi.

Samochód stał tam, gdzie go zostawili. Ozdobiony mandatem za złe parkowanie, ale cały i nienaruszony. Coltrane odetchnął z ulgą i zaciągnął hamulec wózka.

- Siedź spokojnie. Otworzę auto.

- Co ty nagadałeś tej pielęgniarce?

- Mieszkamy w Los Angeles, kobieto, a nie w klasztorze - przypomniał jej Coltrane. - Musiałem znaleźć jakieś wiarygodne wytłumaczenie. Co jej miałem powiedzieć? Że domowe duchy wystraszyły twojego psa?

- Czy tak właśnie było? - zapytała cicho. Coltrane popatrzył na nią. Nie była wcale w takim złym stanie, jak mu się zdawało. Ani jednej rany nie trzeba było zszywać. Wprawdzie stopy bardzo ją bolały, ale wystarczyło usunięcie z nich odłamków szkła, oczyszczenie i zabezpieczenie przed infekcją.

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Wiem tylko, że chcę cię zawieźć do domu i położyć do łóżka.

- Nie licz na to.

- Znowu się ze mną kłócisz? Mam na myśli wyłącznie zalecony przez lekarza odpoczynek, a nie żadne świństwa.

Kłamał. Jak zwykle zresztą. Zamierzał zanieść ją do wielkiego łoża w kształcie łabędzia, rozebrać do naga i zrobić to wszystko, co tak plastycznie sobie wyobrażał przez ostatnie trzy dni. Wolał jednak, żeby Jilly nie dowiedziała się o tym zbyt wcześnie.

Nie chciała, żeby ją brał na ręce, ale nie miała wyboru. Jedyne, co mogła zrobić, to trzymać się prosto, maksymalnie utrudniając mu zadanie. Tyle że Coltrane'owi najwyraźniej to nie przeszkadzało, bo nie poskarżył się nawet słowem. Bardzo chciał być już z powrotem w domu, chociaż nie miał pojęcia, co tam zastaną. Może Jackson i Dean

nadal przeczesują posiadłość? A może te słynne duchy wyniosły się wreszcie na dobre z La Casa?

Coltrane nie wierzył w ich istnienie, podobnie jak Jilly. Wierzyła w nie tylko Rachel-Ann. Tak bardzo, że uciekła, co było zresztą ze wszech miar słuszne.

To całe zamieszanie powstało dokładnie w chwili, kiedy Coltrane już miał chwycić Jacksona za gardło. Przerażona Rachel-Ann siedziała jak zahipnotyzowana, podczas gdy jej własny ojciec pieścił jej kolano. Coltrane też nie mógł się ruszyć, ale on skamieniał ze zdumienia.

To musiało być trzęsienie ziemi. Jeden z tych licznych, niezbyt silnych wstrząsów, do których Coltrane jeszcze się nie przyzwyczał, chociaż już trzy lata mieszkał w Kalifornii. A może to Rufus utknął pod tym przeklętym, szklanym stolikiem i próbował tylko się stamtąd wydobyć?

A może w La Casa de Sombras naprawdę mieszkały duchy? Ale jego mama nie była jednym z nich. Tego był absolutnie pewien.

Ulice Los Angeles nigdy nie były puste, ale o drugiej w nocy ruch stał się mniej uciążliwy. Coltrane jechał powoli, smakując radość płynącą z prowadzenia corvetty. Nagle ciszę przerwał głos Jilly.

- Nie ma nic złego w tym... - zamilkła.

- W czym nie ma nic złego? - zapytał, chociaż domyśla! się, co chciała powiedzieć.

- Jeśli ludzie nie są ze sobą spokrewnieni - dokończyła Jilly. - Jeśli nie są krewnymi, to mogą spać ze sobą, prawda?

Mógłby z niej zażartować, nawet sobie zakpić, ale nie bardzo miał na to ochotę. Za to bardzo chciał zawieźć ją do La Casa, zanieść do łóżka i kochać się z nią.

- Chodzi ci o twojego ojca i Rachel-Ann? - upewnił się, nie siląc się na delikatność.

- Tak bardzo to widać? - spytała zmieszana.

- Jeszcze w to wątpisz?

- Nigdy przedtem nawet o tym nie pomyślałam - ze zdumieniem mówiła Jilly. - Oczywiście wiedziałam, że Jackson kocha ją do szaleństwa, ale my wszyscy tak ją kochamy. Od dziecka była wrażliwa i zawsze trzeba było bardzo delikatnie się z nią obchodzić... Myślałam, że to tylko prawdziwe, głębokie, ojcowskie uczucie. Nie wiem... To znaczy, wiem. Wiem, że to nienormalne, jednak nienawidzę go. Nawet nie za to, co zrobił mnie, za to, co zrobił reszcie mojej rodziny. Ale on adoptował Rachel-Ann, więc to chyba nie jest zboczenie. Nawet jeśli to takie... obrzydliwe. A może ja sobie tylko to wszystko wymyśliłam? Może jestem zazdrosna...

- Uspokój się, Jilly - poprosił. Bardzo chciał wziąć ją za rękę, potrzymać, pocieszyć jakoś choćby w ten sposób, ale nie mógł prowadzić lewą ręką. - Niczego sobie nie wymyśliłaś. Poza tym nieważne, czy to jest zboczenie, czy nie. Wystarczy, że jest obrzydliwe. Rachel-Ann nie ma innego ojca i wie, że to jest chore. Przypuszczam, że Jackson też doskonale o tym wie, tylko gównu go to obchodzi:

- O Boże! - szepnęła Jilly.

- On jej nie dostanie, Jilly. Obiecuję ci, że już nigdy więcej jej nie dotknie.

Jilly trochę się zdziwiła kategorycznością tego stwierdzenia, ale Coltrane nie zwrócił na to uwagi. Doskonale wiedział, że jeśli Jackson Meyer ośmieli się jeszcze raz dotknąć jego siostrę, wtedy on, Zack Coltrane, złapie go za tę jego opaloną szyję i będzie ścisnął tak długo, dopóki ten bydlak nie wyzionie ducha.

- Wierzę ci - powiedziała Jilly po bardzo długiej chwili milczenia.

- Nie rób tego - ostrzegł ją Coltrane. - Mnie nie można ufać. Nie pozwolę twojemu ojcu tknąć Rachel-Ann, ale to jeszcze nie znaczy, że nie jestem podły. Musisz to sobie dobrze zapamiętać.

Nie miał pojęcia, po co to powiedział. Zwłaszcza że już za chwilę zamierzał iść z nią do łóżka.

- Już się ciebie nie boję - mruknęła Jilly.

- Tylko potem nie mów, że cię nie uprzedzałem.

- Oświadczam, że zostałam uprzedzona. - Uśmiechnęła się słabo.

- Nie jesteś wcale taki zły, za jakiego się uważasz. Powinnam od razu się zorientować. Skoro Rufus tak bardzo cię polubił... On doskonale zna się na ludziach.

- Oszalałaś!

- Nie oszalałam, tylko jestem strasznie zmęczona - mówienie przychodziło jej z coraz większym trudem. - Jutro znów zacznę cię nienawidzić, ale teraz chciałabym czuć, że ktoś się mną opiekuje. To

dla mnie zupełnie nowe uczucie. Bardzo przyjemne. Czy jak wrócimy do domu, to zanieśiesz mnie na górę? Nie oszukiwałaś?

- Jeśli tego nie zrobię, będziesz musiała wejść na schody na czworakach.

- Zdecydowanie wolę wersję Scarlett O'Hara - powiedziała z nutką rozmarzenia.

- Tylko mnie nie bij, kiedy będę cię niósł.

- Postaram się opanować.

I tak nic by jej to nie pomogło, lecz Coltrane nie zamierzał tego mówić głośno.

Wiedział, że Jilly ma do niego słabość, a teraz była całkowicie bezbronna. Zamierzał nie opuścić jej aż do chwili, kiedy dostanie od niej wszystko, czego chce, póki nie będzie taka zmęczona, że prześpi cały tydzień.

I miał nadzieję, że Rachel-Ann jest bezpieczna - tam, gdzie się schroniła. Jak najdalej od swojego tatusia.

Rachel-Ann uciekała prawie półprzytomna. Biegła przed siebie nieomal na oślep, prosto do garażu, a kiedy tam dotarła, zobaczyła, że mercedes ojca zablokował jej bmw. Mimo to zabrała ze sobą bezużyteczne kluczyki. Odruchowo. Rozejrzała się za jakimś innym autem.

Najbliżej stał range-rover Coltrane'a. Sięgnęła do klamki. Na szczęście samochód był otwarty, a cichy pisk informował, że kluczyki są w stacyjce.

Nie traciła czasu na zastanawianie się, skąd nagle ma tyle szczęścia, tylko wskoczyła do auta, włączyła silnik i ruszyła przed siebie długą, krętą aleją.

Drżała jak osika. Tak bardzo, że ledwie mogła utrzymać kierownicę. Wjeżdżając na szosę, omal nie zderzyła się z samochodem nadjeżdżającym z lewej strony.

Zjechała na pobocze i rozdygotanymi rękami zapięła pas.

- Wszystko w porządku, Rachel-Ann - szepnęła. - Jedź ostrożnie, a nic złego ci się nie stanie.

Tym razem, zanim znów włączyła się do ruchu, dokładnie sprawdziła, czy droga jest wolna. Była skupiona, całkowicie skoncentrowana na prostej czynności prowadzenia auta. Przed siebie, niezbyt szybko.

Nie chciała o nich myśleć - ani o dłoniach, które jej dotykały, ani o głosach.

- Uciekaj - szeptała zjawa. - Twój brat go zatrzyma. Uciekaj stąd. Szybko!

- Tak. Oczywiście - odpowiedziała Rachel-Ann, sztywna z przerażenia.

Nie mając pojęcia, dokąd, po prostu jechała przed siebie.

Powinna wynająć pokój w hotelu i tam się ukryć. Nikt by jej tam nie znalazł. Ani duchy, ani nawet ojciec. Byłaby bezpieczna, zupełnie sama.

Ale nie chciała zostać sama.

Uciekała w takim pośpiechu, że nie zabrała torebki ani nawet portfela. Gdyby teraz zatrzymała ją policja, wlepiliby jej mandat za jazdę bez dokumentów. Może nawet zatrzymaliby ją za kradzież? Przecież nie spytała Coltrane'a, czy może pożyczyć jego samochód.

Zatrzymała się na czerwonym świetle. Wzięła do ręki kluczyki od swojego bmw. Do breloczka była przyczepiona malutka portmonetka, w której zazwyczaj trzymała jakieś drobne na parking. Niestety, nie było tam kart kredytowych, a pieniędzy stanowczo za mało nawet na najbliższy motel. Już miała rzucić bezużyteczne kluczyki z powrotem na siedzenie, kiedy zauważyła, że jest ich o jeden więcej.

Jeszcze wczoraj go tu nie było.

Rachel-Ann doskonale знаła swoje klucze. Jeden od auta, drugi od La Casa, a trzeci od bramy, której zresztą od wielu lat nikt już nie zamykał. Ale teraz znajdował się tu jeszcze jeden, całkiem nowy.

Zapaliło się zielone światło, więc Rachel-Ann skręciła w lewo. Nie miała pewności, ale domyślała się, kto mógł przyczepić ten klucz do jej breloczka. W każdym razie warto było spróbować.

Zawsze miała trudności z odnajdywaniem właściwej drogi w zaułkach miasta, ale tym razem jakimś cudem udało jej się trafić do dzielnicy, w której mieszkał Rico. Zrobiła to prawie bez udziału świadomości, właściwy kierunek wskazywał jej instynkt.

W sobotni wieczór na ulicach było jasno, tłoczno i gwarno. Rachel-Ann jechała powoli wzdłuż rzędu domów, szukając tego, w którym mieszka Rico. Rozglądała się też za miejscem do

zaparkowania auta. Wreszcie znalazła właściwy budynek, ale stało tu tyle samochodów, że ledwie dało się pomiędzy nimi przejechać. O miejscu do parkowania nie było nawet co marzyć.

Jechała coraz wolniej, przypatrując się każdemu skrawkowi powierzchni, który wydał jej się choć trochę mniej zatłoczony. Nagle ktoś mocno zapukał w szybę.

Przestraszyła się. Był to ten sam chłopak, który zaczepił ją rano. Teraz wyglądał jeszcze groźniej niż w jasnym świetle dnia.

- Wróciła pani do nas! Doktor jest w pracy, ale niedługo wróci. Szuka pani miejsca?

- Ja wcale nie...

Ale chłopak już jej nie słuchał, tylko głośno, przenikliwie zagwizdał.

- Hej, compadre, rusz tego swojego spróchniałego grata - zawołał rozkazująco. - Dziewczyna naszego doktora nie ma gdzie zaparkować.

Ktoś odciął mu się po hiszpańsku, ale jeden ze stojących przed nią starych samochodów prawie natychmiast wyjechał na ulicę i Rachel-Ann miała dość miejsca, by zaparkować range-rovera.

- Załatwione! Ładne ma pani auto. Lepsze od tamtego bmw. Nowe?

- Kradzione.

- Bujda! - Chłopak się uśmiechnął. - Ale niech się pani nie martwi. Dopilnujemy, żeby nikt go nie ruszył. Niech pani idzie na

górze. Doktor zaraz wróci. Jeśli pani chce, to otworzę mieszkanie.

Wiem, jak się to robi.

- Nie trzeba. Zdaje mi się, że mam klucz.

- Jeszcze lepiej. — Chłopak wciąż uśmiechał się przyjaźnie. - A o auto nie trzeba się martwić. My tu dbamy o swoich. Pani jest dziewczyną naszego doktora. To tak samo, jakby pani była nasza.

Nie martwiła się. Ani o auto, ani w ogóle o nic. Tutaj nic złego jej nie groziło.

Scandalous

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Okazało się, że nowy klucz pasuje do drzwi mieszkania Rica, tak jak przypuszczała. Rachel-Ann nie miała pojęcia, kiedy go doczepił, dziękowała jednak Bogu, że to zrobił.

W mieszkaniu nadal był porządek, tylko w zlewie stały brudne naczynia. Rachel-Ann pozmywała je. Nie bardzo wiedziała, dlaczego. Po prostu czuła, że należy to zrobić. Potem poszła do pokoju. "

Włączyła telewizor, ale bardzo źle odbierał i miał tylko trzy kanały, z których żaden nie był Weather Channel.

Wyłączyła go więc, podeszła do półki i przyjrzała się oprawionym w ramki fotografiom, stojącym pomiędzy książkami. Jedna z nich przedstawiała Jaimego i Consuelo. Byli starsi niż wtedy, kiedy Rachel-Ann widziała ich po raz ostatni, i wyglądali na spokojnych, szczęśliwych ludzi. Na drugiej był Rico z jakąś ładną, młodą kobietą, a na ostatniej - Rachel-Ann. Szesnastoletnia, młoda, niewinna i jeszcze pełna nadziei.

Nie podobały jej się te zdjęcia. Ani to przedstawiające przytuloną do Rica radosną, młodą kobietę, ani jej własny portret z lat młodości. Wzbudzały w niej niepotrzebny niepokój, może nawet strach.

Zdjęła narzutę z kanapy, złożyła ją starannie i położyła na biurku. Tak samo jak zrobił to Rico poprzedniego wieczoru. Rozłożyła pościel, rozebrała się, wsunęła pod kołdrę i czekała na niego po ciemku.

Po pół godzinie wstała, nałożyła bieliznę i wróciła do łóżka.

W mieszkaniu było chłodno i godzinę później zdecydowała całkiem się ubrać. Podarte rajstopy wyrzuciła do śmietnika i nie zostało jej nic prócz króciutkiej sukienki Ra cieniotkich ramiączkach, która więcej odkrywała, niż Ukrywała. Na drzwiach łazienki wisiał bawełniany podkoszulek. Pachniał mydłem, szamponem i Rikiem, więc Rachel-Ann go włożyła. Na sukienkę. Podkoszulek sięgał Jej do połowy ud.

Wróciła do pokoju, zwinęła z powrotem pościel, a potem owinęła się narzutą udzierną przez Consuelo, skuliła na kanapie i zamknęła oczy. Raziło ją nawet światło padające z ulicy.

Kiedy się obudziła, było już całkiem cicho i zupełnie ciemno. Pokój oświetlały tylko uliczne latarnie. W ich blasku zobaczyła, że Rico śpi na posłaniu, leżącym na podłodze. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego.

Rachel-Ann po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć mu się dokładnie. Zdziwiła się, że nie poznała go od razu. Nadal miał piękne, zmysłowe usta, mocno zarysowany podbródek, ale stracił swoją młodzieńczą arogancję.

Młodziutki syn Consuelo i Jaimego był piękny, dumny i pełen optymizmu. Kochał życie i Rachel-Ann, nie było dla niego rzeczy niemożliwych.

Teraz wyglądał jak człowiek, który dużo przeżył. Miał zmarszczki wokół oczu, wokół pięknych ust, a w jego czarnych włosach pojawiły się siwe pasemka.

Nie chciała go budzić, sprawiał wrażenie naprawdę wyczerpanego. Zresztą przyglądanie mu się, kiedy spał; zupełnie jej wystarczyło.

Nie chciała myśleć o tym, że kilka godzin wcześniej uciekła z La Casa. Ani o Jacksonie, ani o głosach, ani w ogóle o niczym. Pragnęła tylko leżeć i patrzeć na śpiącego Rica.

Ale on otworzył oczy i spojrzał na nią. Bez słowa położyła dłoń na jego policzku, dotknęła ustami jego ust... Chwilę później leżeli razem na podłodze.

Kochał się z nią z taką czułością, że Rachel-Ann była bliska łez. Traktował ją jak młodą żonę, która pierwszy raz jest z mężczyzną. Jego dłonie, jego usta były delikatne i gorące, pożądanie cały czas pod kontrolą. A kiedy w nią wszedł, po raz pierwszy od lat przeżyła prawdziwą rozkosz. Było jej tak dobrze, że się rozplakała.

Rico całował jej mokre od łez policzki i usta, całym ciałem i całą duszą. A potem ją przytulił, a ona płakała, skulona w kłębek na podłodze, otulona jego ciałem.

Potem, w samym środku nocy, rozłożyli kanapę, położyli się do łóżka i znów się kochali.

Kiedy rano się obudziła, Rico wciąż był przy niej. Otulał ją sobą, głaskał blizny na przegubach jej dłoni.

- Musiało bardzo boleć, chica - wyszeptał.

- Tak - powiedziała, bo to była prawda.

- Dobrze się czujesz? - pytał.

- Cudownie - westchnęła.

- Teraz wiesz, dlaczego wczoraj cię nie pocałowałem. Byłem pewien, że tak by się to skończyło. Bałem się, że sprawię ci nowy ból.

Przewróciła się na plecy i popatrzyła na niego.

- Ty nigdy mnie nie skrzywdziłeś, Rico - powiedziała.

- Nieprawda. - Uśmiechnął się. - Byłem aroganckim szczeniakiem. Nastoletni chłopcy nie mają zwyczaju przejmować się problemami, jakie stwarzają.

- Niech i tak będzie. - Teraz i ona się uśmiechnęła. - Powiedzmy, że zrobiłeś mi mniejszą krzywdę niż większość ludzi.

- Dlaczego do mnie przyszedłeś, Rachel-Ann?

- Założyłeś klucz do swojego mieszkania na mój breloczek.

- Powiedz mi, co się stało?

- Nic - powiedziała, odwracając twarz. Nie chciała, gdy Rico na nią patrzył. - Nic niezwykłego. Wieczorem ojciec przyszedł do nas na kolację. Nie znałeś go, więc nie wiesz, jaki potrafi być straszny.

- Wiem, chociaż widziałem go tylko raz. Tego dnia, kiedy opuściliśmy La Casa.

- To on was wyrzucił?!

- A któż by inny? Oczywiście twoja babcia była w nie lada kłopotcie. Nie jest łatwo z dnia na dzień zastąpić takich dobrych służących jak Jaime i Consuelo, ale w końcu zgodziła się, że trzeba cię przede mną chronić. Twój ojciec nie życzył sobie mieć zięcia Latynosa.

- Nigdy nie mówiliśmy o małżeństwie - powiedziała Rachel-Ann po długiej chwili milczenia.

- Nie mówiliśmy, ale ja o tym marzyłem. Byłem zakochany, chica. Namiętnie, rozpaczliwie zakochany. Tak, jak może być zakochany wyłącznie bardzo młody chłopak. Pragnąłem dla ciebie zabijać smoki, chciałem walczyć z każdym, kto ośmieliłby się ciebie skrzywdzić, i zwłaszcza z twoim ojcem.

- A teraz? Czy teraz możesz mnie przed nim uratować? - spytała cichutko.

- Tak, teraz sobie poradzę, ale uważam, że najpierw musisz sama coś z tym zrobić.

- A jeśli nie mam dość siły? Co będzie, jeśli on zwycięży? Boję się, że jestem tak samo bezradna jak piętnaście lat temu.

- Ty nigdy nie byłaś bezradna, Rachel-Ann. On ci to wmówił. Chciał, żebyś uwierzyła w swoją bezradność. To twoja siła, a nie twoja słabość spowodowała na ciebie kłopoty.

- Nie wierzę.

- Wiem, mi alma. - Pocałował ją w nos. - Niestety, w tej sprawie nic nie mogę zrobić. Musisz się sama o tym przekonać.

Rachel-Ann nie chciała niczego sprawdzać, nigdzie iść ani cokolwiek robić.

- Czy pozwolisz mi jeszcze kiedyś tu przyjść? - zapytała.

- Oczywiście - powiedział Rico łagodnie. - Przecież dałem ci klucz.

- A czy mogę tu z tobą zamieszkać?

- Tak. - Nawet nie mrugnął okiem, nawet na ułamek sekundy się nie zawahał. Jakby spodziewał się tego pytania i od dawna miał przygotowaną odpowiedź.

- Czy będziesz mnie zmuszał, żebym chodziła na spotkania AA?

- Nie będę. - Pokręcił głową. - Nie będę cię zmuszał do niczego, czego ty sama nie zechcesz zrobić.

- Te spotkania nic mi nie dają - tłumaczyła Rachel-Ann. Bardzo chciała go przekonać. - Pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale ten rodzaj terapii nie zawsze skutkuje.

- Uwierzę we wszystko, cokolwiek mi powiesz - powiedział ze stoickim spokojem - ale nie potrafię znaleźć UH ciebie rozwiązania. Musisz poszukać go sama.

- Może właśnie tego się boję.

- To możliwe, mi amor. Bardzo możliwe.

Posiadłość La Casa de Sombras w pełni zasługiwała lin (twoją nazwę. Na krętej drodze wiodącej do domu były tylko cienie i blask księżyca. Ani śladu życia.

Mercedes Meyera i lexus Deana zniknęły. W garażu stało tylko auto Rachel-Ann i tamten stary, od wieków nieużywany wrak. Po range-roverze także nie było śladu.

Coltrane nie tylko się tym nie przejął, ale był wręcz zadowolony. Miał nadzieję, że Rachel-Ann znalazła sobie jakąś bezpieczną przystań.

Kilka godzin temu, kiedy się to wszystko zaczęło, wyglądała jak mały jelonek oślepiiony przez reflektory nadjeżdżającego czołgu:

zesztywniała, niezdolna się poruszyć, nie zdająca sobie sprawy z nieszczęścia, jakie nad nią zawisło. Nie wiedziała, jak bardzo niezdrowe jest przywiązanie Meyera do niej, choć na pewno coś przeczuwała.

Coltrane bardzo chciał zabić Meyera. To byłoby takie proste, takie szokująco łatwe. Dotąd zawsze pracował głową i to, czego potrzebował, zdobywał podstępem. Dopiero dziś wieczorem.

Ale poczuł to nie wtedy, kiedy Meyer ścisnął kolano -Rachel-Ann, tylko wcześniej, zaraz jak wszedł do pokoju i usiłował poniżyć Jilly. Już wtedy Coltrane chciał go udusić gołymi rękami.

Na szczęście Meyer przegrał. Jilly się nie ugięła, choć próbował ją zastraszyć i upokorzyć.

Rachel-Ann nie miała tej mocy. Siedziała na kanapie bez ruchu, skulona w sobie, podczas gdy Meyer głaskał jej kolano jak najzwyczajniejszy zboczeniec. Nawet nie pisnęła, w żaden sposób nie zaprotestowała. Wtedy Coltrane też chciał go zabić.

Nie miał pojęcia, że obsesja Meyera na punkcie Rachel-Ann jest aż tak wielka. Nie był pewien, co by zrobił, gdyby wcześniej o tym wiedział, ale na pewno zareagowałby gwałtownie, i to niezależnie od okoliczności.

Wjechał do garażu i zatrzymał samochód.

Jilly spała. Pewnie zadziałały środki przeciwbólowe, które dostała w szpitalu. Coltrane patrzył na nią i nie mógł się napatrzeć.

Właściwie wcale nie była ładna. Na pewno nie taka piękna jak większość kobiet, z którymi sypiał. Nie była także specjalnie

czarująca. Odkąd się poznali, traktowała go jak kompletne zero. Może właśnie dlatego tak bardzo go pociągała.

A przecież miało być zupełnie inaczej.

Jak tylko zorientował się, kim jest Rachel-Ann, postanowił zaciągnąć do łóżka Jilly. Nie, nie wtedy, jeszcze wcześniej. To nie tak. Zamierzał iść z nią do łóżka, odkąd w biurze Meyera zobaczył ją po raz pierwszy. Wtedy też spała, tak samo jak teraz. Do tamtej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo pociągająca może być śpiąca kobieta.

Wymyślił mnóstwo pretekstów i jeszcze więcej podłych intencji, z powodu których chciałby ją mieć, ale dopiero teraz się zorientował, że okłamuje sam siebie. Patrzył na śpiącą Jilly. Wiedział już, że chce z nią iść do łóżka wyłącznie dla przyjemności. Wiedział też, że tego nie zrobi, chociaż nigdy w życiu żadnej kobiety tak bardzo nie pożądał.

Od trzech lat, odkąd rozwiodła się z mężem, żyła samotnie, prawie jak mniszka. Meyer opłacał prywatnego detektywa, żeby życie jego dzieci nie miało przed nim żadnych tajemnic. A ponieważ Coltrane miał nieograniczony dostęp do wszystkich informacji, on także znał je wszystkie.

Jilly przez całe trzy lata nikogo nie chciała, aż w końcu zapragnęła Coltrane'a, a w tej chwili była odurzona lekami. Coltrane mógł zrobić to, co od tak dawna sobie planował. Mógł ją wziąć do łóżka, kochać się z nią, a potem poczekać, aż zjawi się Meyer.

W końcu by się zjawił. Jego domek z kart drżał w posadach, a on nie miał pojęcia, z jakiego powodu. Ostrożnie prowadzone intrygi,

doskonale zbilansowane oddziaływanie pieniędzy i układów już niedługo przestaną istnieć. Jackson Dean Meyer zostanie bez pieniędzy i bez układów, oskarżony ponadto o nielegalne operacje finansowe.

Od tygodni Coltrane przekazywał informacje do Departamentu Sprawiedliwości. Oczywiście anonimowo. Dzisiaj przesłał ostatnie pliki. Do poniedziałku powinni być gotowi do ataku. Może nawet uderzą wcześniej.

Zabiorą mu wszystko, co się da. Dom prawdopodobnie też. To ostatnie uderzy w Jilly. Dean będzie zrozpaczony z powodu utraty pieniędzy i pozycji, a Rachel-Ann zapłacze się po stracie ojca.

Jilly zaopiekuje się nimi. Jak zwykle. Jakoś przeżyje nawet utratę swego ukochanego muzeum.

Ale kto się zaopiekuje nią?

To nie moja sprawa, pomyślał Coltrane. Nie jestem żadnym cholernym dobroczyńcą. Zresztą gdybym nawet wyjątkowo chciał pomóc tej jednej kobiecie, ona i tak mi nie podziękuje. Nigdy nie przyzna się do słabości, od nikogo nie przyjmie pomocy. Nie, ona sama musi zbawić cały świat. No i dobrze. Skoro musi, to niech sobie zbawia. Ja jej na pewno nie będę w tym przeszkadzał.

Jedyne, co naprawdę mógł dla niej zrobić, to zostawić ją w spokoju i broń Boże nie zbliżać się do niej. Trudno, nie zaspokoi pragnienia, może nawet przez jakiś czas będzie chodził obolały i podenerwowany, ale to minie, kiedyś w końcu samo przejdzie.

Chociaż... Jest otumaniona lekami, zakochana. Może nawet by się nie zorientowała... Przywołał się do porządku. Nie był aż taki podły.

Wziął ją na ręce. Jilly mruknęła coś niezrozumiale i przytuliła się do niego. Coltrane niósł ją przez pusty dom, po krętych schodach aż do jej pokoju, ostrożnie ułożył w tym absurdalnie wielkim łóżu w kształcie łabędzia. Nie obudziła się. Westchnęła, wtuliła się w poduszki i spała dalej. Coltrane przykrył ją .pledem, a potem, nie wiedzieć czemu, pochylił się i delikatnie pocałował w usta. Usta Jilly przez krótką chwilę odpowiedziały na pocałunek, nawet uniosła rękę, żeby go dotknąć, ale jej ramię opadło bezwładnie. Spała dalej.

Odsunął się od łóżka, patrzył na nią długo, z namysłem. A potem odwrócił się i wyszedł, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

- To najśłodsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam - rozczuliła się Brenda, siedząca na toalecie w sypialni Jilly.

- Rozkoszna! - mruknął Ted. - Ten facet to skończony idiota.

- Och nie bądź taki... taki męski. To najbardziej romantyczna scena, jaką widziałam. Mężczyzna woli cierpieć i odejść, niż zrobić dziewczynie krzywdę.

- Jak tak dalej pójdzie, to w końcu polubisz swoje własne filmy, Brendo. Kiedyś je wyśmiewałaś, pamiętasz? Ten facet zachowuje się bez sensu. Ona za nim szaleje, on ją kocha, ale zostawia całkiem samą. Że niby taki szlachetny! Kompletny idiota!

- Uważasz, że on ją kocha? - zastanawiała się Brenda. - Ja nie jestem tego taka pewna. Oczywiście, wiem, że ona go kocha. To takie

typowe. Dookoła pełno szacownych, wolnych mężczyzn, a ona musi się zakochać w oszuście. No, ale trudno ją winić. Ten Coltrane rzeczywiście jest wspaniały.

- Powiedzmy.

- Nie bądź zazdrosny, kochany. Nawet gdybym mogła go mieć, też bym nie chciała. Mnie się tylko podoba ten scenariusz. Oto mamy szalenie przystojnego, cierpiącego bohatera, który postanowił zachować się jak należy, i śliczną bohaterkę, która wolałaby, żeby on zachował się niegodnie i jednak z nią został. To raczej romantyczna komedia aniżeli wyciskacz łez.

- Większość tych wyciskaczy łez była bardzo zabawna - stwierdził Ted.

- Świntuch - mruknęła Brenda. - I co my teraz zrobimy z tą dziwną parą? Pozwolimy im zmarnować sobie życie? Mamy się pogodzić z ich rozstaniem, jeśli na pierwszy rzut oka widać, że powinni być razem?

- Jesteś taką romantyczką, mój skarbie. Skąd wiesz, że powinni być razem? Za miesiąc lub dwa każde z nich znajdzie sobie kogoś innego, może nawet lepszego.

Brenda milczała; dosyć długo jak na nią.

- Nie wierzysz w pokrewieństwo dusz? - spytała w końcu.

- Wierzę, ale to wielka rzadkość. Trzeba mieć wyjątkowe szczęście, żeby się człowiekowi coś takiego przytrafiło. My mieliśmy to szczęście, ale nie jestem pewien, czy tych dwoje zasłużyło sobie na wieczną miłość. Na pewno nie na taką, jaka nam przypadła w udziale.

- Wieczna miłość - powtórzyła głucho Brenda. - Na pewno wierzysz, że właśnie to nam dano?

Zdjął ją z toaletki. Brenda była drobna, a Ted potężny, więc podniósł ją tak łatwo, jakby w ogóle nic nie ważyła. Zresztą tak właśnie było. Brenda nie ważyła ani grama.

- Nie zmieniłbym niczego w naszym życiu, kochanie - powiedział. - Byliśmy dla siebie stworzeni.

Tak bardzo, tak rozpaczliwie chciała mu wierzyć. Ale on nie wiedział wszystkiego, co wiedziała Brenda. Ta wiedza ją zabijała. Nawet po śmierci.

- A co z nimi? - spytała. - Może oni też są dla siebie stworzeni?

- Wobec tego powinni jak najszybciej się o tym przekonać.

Chodź, kochanie, już świta. Zbliża się pora naszej niedzielnej sjeisty. A ci biedni głupcy niech sami pracują na swoją przyszłość. I tak już dość się nawtrącailiśmy, jak na jeden dzień.

Brenda jeszcze raz popatrzyła na śpiącą w ogromnym łóżu kobietę, która nigdy nie spała tu z nikim prócz Rufusa. A przecież Brenda doskonale wiedziała, lepiej niż ktokolwiek inny, jak przyjemnie jest się kochać w takim niezwykłym łóżu w kształcie łabędzia.

Jilly zasłużyła na to, żeby dzielić to łóżo z kimś, kogo kochała.

Niestety, Brenda aż nazbyt dobrze wiedziała, że nie zawsze dostaje się od życia to, na co człowiek sobie zasłużył.

Przy odrobinie szczęścia można to otrzymać w następnym życiu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Co ty tu robisz, do jasnej cholery? - zapytał wściekły Jackson.

- Pracuję - odparł Coltrane tonem człowieka, który nic złego nie ma na sumieniu.

- Owszem, ale nie o wpół do piątej rano.

Jackson siedział przy biurku, na którym leżał rozłożony laptop. Był tak pochłonięty tym, co robił, że nawet nie usłyszał, jak Coltrane wszedł do gabinetu. Nie lubił, kiedy go zaskakiwano.

- Czy ktoś się tu włamał? - Coltrane patrzył z zadowoleniem na panujący wokół bałagan.

Dokumenty były porozrzucone po całym pokoju, szafy całkowicie opróżnione, a Meyer wściekle walił w klawisze swego komputera.

- Wynoś się, Coltrane - warknął. - I bez twojego głupiego gadania mam dość problemów na głowie. Miałeś mnie chronić. Miałeś bronić dostępu do mnie. Przez trzydzieści pięć lat robiłem interesy i nikt mi w tym nie przeszkadzał. Ty miałeś tylko dopilnować, żeby ten stan rzeczy się nie zmienił. I co zrobiłeś? Departament Sprawiedliwości prowadzi dochodzenie przeciwko mnie, adwokaci mojej żony chcą mnie wykończyć, a teraz jeszcze ktoś dobrał się do moich najtajniejszych dokumentów. Co tu się dzieje, do jasnej cholery?

- Może szczęście pana opuściło, szefie? Coltrane, nieproszony, rozsiadł się w jednym ze skórzanych foteli, stojących naprzeciwko biurka Meyera.

Strasznie bolała go głowa, w ręce czuł pulsujący ból, a mimo to był niezwykle spokojny. Chyba po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu. Wreszcie wszystko zaczynało do siebie pasować. Dokładnie tak, jak to sobie zaplanował. A więc dlaczego nie odczuwał satysfakcji?

Meyer podniósł wzrok znad monitora.

- Co ci się stało w głowę? - spytał.

- Zemdlałem w szpitalu - wyjaśnił Coltrane. - Uderzyłem głową o podłogę. Zawsze mdleję na widok krwi. Wiem, że to niegodne prawdziwego mężczyzny, ale w końcu wszyscy mamy jakieś słabości.

- Czyja to była krew? - chciał wiedzieć Meyer.

- Pańskiej córki. - Powiedział to specjalnie. Chciał zobaczyć jego reakcję. Nie zawiódł się.

- Rachel-Ann - szepnął poblady Meyer.

- Rachel-Ann jeszcze nie wróciła - wyprowadził go z błędu Coltrane. - Jilly pokaleczyła się szkłem z rozbitego stolika.

Meyer wzruszył ramionami i znów zajął się komputerem. Na pewno usuwał kompromitujące pliki.

- Czy ona rzeczywiście jest pańską córką? Tym razem reakcja Meyera była nieco inna.

- Co ty mi tu pieprzysz, do cholery?

- To tylko takie wrażenie. Jilly chyba nic pana nie obchodzi. Dlatego pomyślałem, że może jej matka pana zdradzała albo coś w tym guście. Większość rodziców choć trochę interesuje się swoimi dziećmi.

- Na pewno jest moja. - Jackson zachichotał, ale nie było w tym radości. - Jest nawet trochę podobna do mojej matki, oczywiście kiedy ta była młoda. Edith nie miałaby odwagi mnie zdradzić. Dotąd nie mogę się nadziwić, jak mogła przypuszczać, że pozwolę jej odejść i zabrać moje dzieci.

- Tak bardzo pan kocha swoje dzieci? - zapytał Coltrane.

- Niezupełnie. Chciałem tylko Rachel-Ann, ale Edith nie zgodziła się jej oddać, więc nie dostała żadnego z dzieci. Wiesz, że nie pozwalałam sobie na sentymenty. Nie rozumiem poza tym, dlaczego miałbym się interesować jakimś moim plemnikiem, któremu przypadkiem udało się dorosnąć. Zresztą żadne z dzieci nie jest ani trochę podobne do mnie.

- Skąd zatem miłość do Rachel-Ann?

Wcale nie był pewien, czy rzeczywiście chce poznać odpowiedź na to pytanie. Może Meyer oszukiwał sam siebie, tak samo jak wszystkich?

- To tylko dowodzi, że całe to gadanie o więzach krwi jest jedną wielką bzdurą. - Meyer wzruszył ramionami. - Ona jest moją pokrewną duszą. Zawsze tak było.

- Pokrewną duszą? - powtórzył zdumiony Coltrane.

- Czyżby pan czytywał romanse? Wątpię też, czy pan w ogóle ma duszę.

- Uważaj, Coltrane! - warknął Meyer. - Nie wchód: mi w drogę, bo zabiję cię jak psa. Mocniejszych od ciebie załatwiałem i nie drgnie mi ręka, kiedy będę to robił z tobą. Nikt się o ciebie nie upomni, kiedy cię pochowają.

- Ilu ludzi już pan pochował?

- Nie prowokuj mnie. - Meyer nawet nie mrugną okiem. - Nie wyobrażasz sobie, do czego jestem zdolny

- Mam bujną wyobraźnię i zawsze wysoko pana cenilem, szefie. Meyer przyglądał mu się długo, z namysłem.

- Dlatego wybrałem właśnie ciebie - powiedział w końcu. - W głębi serca jesteś taki jak ja. Bezlitosny zimny, praktyczny. Potrafisz wykonać każde zadanie, nie przejmując się żadnymi idiotycznymi przepisami. Man rację?

Czy to prawda, pomyślał Coltrane. Czy ja naprawdę jestem taki sam jak Meyer? Tak samo zimny i bez serca gotów poświęcić każdego, byleby osiągnąć zamierzona cel? Każdego, nawet Jilly czy choćby moją własną siostrę?

- Tak jest, szefie - odparł lekko. Nie dał po sobie poznać, jak wielkie obrzydzenie wywołały w nim słowa Meyera.

- Wobec tego zrobisz dla mnie jeszcze jedną rzecz Zapewniam, że ci się to opłaci. Chyba znasz mnie na tyle dobrze, żeby w to nie wątpić. W tej chwili jesteś jedynym człowiekiem, jakiemu mogę zaufać. Mój syn to mięczak bez skrupułów, któremu się zdaje, że jest

Bóg wie kim. Ośmielił się mnie osądzać, palant jeden. Wygląda na to, że ostatnio trafił nawet na ślad własnego sumienia. Dobrze, że chociaż z tobą nie mam takich kłopotów. Jesteś jedynym naprawdę niemoralnym facetem, jakiego znam. Oprócz mnie, oczywiście. - Meyer zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Trudno się z panem nie zgodzić, szefie.

- Wynoszę się, Coltrane - mówił Meyer. - Wycofuję się z interesów i wyjeżdżam z kraju. Mam jedno takie upatrzone miejsce. Znalazłem je jakiś czas temu, na wszelki wypadek. Zapamiętaj sobie, Coltrane, mądry człowiek zawsze ma w pogotowiu wyjście awaryjne. Tutaj już zrobiłem wszystko, co chciałem, załatwiłem wszystko, co było do załatwienia. Najwyższy czas przejść na emeryturę i skorzystać z życia, dopóki jeszcze nie całkiem się zestarzałem.

Masz sześćdziesiąt trzy lata, pomyślał Coltrane. I bardzo się zestarzałeś.

Ale głośno tego nie powiedział.

- Nie ufam nikomu - ciągnął Meyer. - Tylko tobie, Coltrane. Czy mogę na ciebie liczyć?

Meyer tak naprawdę nie ufał nikomu, Coltrane'owi też, ale potrafił utrzymywać człowieka w przekonaniu, że jest niesłychanie ważny. Oczywiście tylko takiego człowieka, który był mu do czegoś potrzebny.

Coltrane trochę się zdziwił, że Meyer nie dbał o Jilly, która mogła mu dać więcej niż cała reszta rodziny razem wzięta.

Muszę przestać o niej myśleć. Nigdy więcej jej nie zobaczę. To postanowione. Wystarczy dwa tysiące kilometrów i zapomnę o niej całkiem.

- Oczywiście, że może pan na mnie liczyć, szefie -powiedział. -
Co mam dla pana zrobić?

- Przeprowadź mi Rachel-Ann.

Kiedy wrócił do La Casa, nad trawnikiem pojawiło się słońce, a jego pierwsze promienie już dotykały fasady domu. .

Ani Dean, ani Rachel-Ann jeszcze nie wrócili, a Jilly pewnie spała nadal. Chwała Bogu!

Już miał wejść na taras, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Skoro na zawsze opuszczał to miejsce, chciał jeszcze raz przejść się po parku, po całym domu, sprawdzić, czy jakiś szczegół nie obudzi w nim wspomnień.

Nie miał pojęcia, ile mógł mieć lat, kiedy mieszkał tu ze swoją mamą. Może dwa, co najwyżej trzy. Nie pamiętał, żeby mama była w ciąży, a przecież Rachel-Ann j urodziła się zaledwie kilka lat później niż on. Może po j prostu nie zauważył, że mama nosi w brzuchu drugie dziecko.

Szedł wysypaną żwirem alejką, mijał wysokie palmy i plataninę krzewów. Dziwnie wyglądała ta oaza zdziczałej roślinności w samym sercu Los Angeles, gdzie niezliczeni ogrodnicy dwoili się i troili pielęgnując każdy skrawek zieleni.

Chociaż nie było w tym nic dziwnego. Koszty utrzymania posiadłości brała na siebie Jilly, a ona nigdy nie wychodziła dalej niż

na trawnik tuż przed domem. Nie wiadomo dlaczego, ale ten wielki park ją przerażał. Najbardziej bała się tajemniczego basenu.

Pozwoliła, by roślinność rozrosła się ponad miarę, zasłaniając go tak, że stał się bezużyteczny. I to w mieście, którego gorący klimat dosłownie błagał o przydomowy basen. Wprawdzie ścieżka była całkiem zarośnięta, ale nietrudno go było znaleźć, zapach gnijących alg bezbłędnie wskazywał kierunek.

Basen był bardzo mały, w połowie wypełniony ciemną, zgniłą wodą i jakimiś roślinami. Najwyraźniej od wielu lat nikt tutaj nie zaglądał. Płytki na cembrowinie były spłowiałe i pokruszone, a ze szczelin wyrastały chwasty. Trampoliny nie było od dawna, drabinka zaś zardzewiała. Miejsce było opuszczone i sprawiało przygnębiające wrażenie. Nic dziwnego, że Jilly trzymała się od niego z daleka i że w ogóle nikt nigdy tu nie przychodził.

Coltrane pochylił się. Wody nie było tam więcej niż metr, ale i tak nie dało się dostrzec dna, co pewnie patrzącemu wyszło tylko na dobre. Zapach, jaki się stamtąd wydobywał, sugerował, że mogą tam zalegać nawet rozkładające się szczątki jakichś zwierząt.

Dreszcz przeszedł mu po plecach.

Może warto by sprowadzić spychacz i kazać zakopać tę kloakę, pomyślał. Taki drobny prezent na pożegnanie.

Przynajmniej tyle mógłbym zrobić dla Jilly. Skoro zniszczyłem jej rodzinę, mógłbym także zniszczyć miejsce, którego tak bardzo się boi.

Powiał wiatr, który wzbił w górę drobinki pyłu. Coltrane się skrzywił. Będzie szczęśliwy, kiedy wreszcie wydostanie się z tego miasta. W zasadzie uwielbiał burze, ale wiatr w Los Angeles doprowadzał go do szału.

Skierował się w stronę domu. W ciemnych wnętrzach La Casa paliły się jeszcze jakieś światła. Coltrane je po-wyłączał. Szary mrok, jaki ogarnął wszystko dookoła, odpowiadał jego nastrojowi.

Wchodził po schodach powoli, bardzo cicho. Jilly chyba i tak by się nie obudziła, ale wolał nie ryzykować. Raz od niej odszedł, ale ponownie na pewno nie mógłby tego zrobić. Jego szlachetność miała swoje granice.

Przeszedł na palcach obok drzwi jej sypialni, nawet na nie nie spojrzął. Był absolutnie zdecydowany oprzeć się pokusie.

Odkąd postanowił, że jednak nie skrzywdzi Jilly, że nigdy więcej jej nie dotknie, pragnął jej jeszcze bardziej niż przedtem. Ot, zwykła przewrotność ludzkiej natury. Zakazany owoc najbardziej smakuje.

Wraz z tą myślą przypomniał mu się Meyer i jego podłe zlecenie. Coltrane skrzywił się z obrzydzenia.

Meyer chciał mieć Rachel-Ann, która była jego własną córką. Chciał z niej zrobić swoją kochankę. Całe to gadanie o gospodyni, która ma pełnić honory domu, podczas gdy on będzie wiódł spokojne i dostatnie życie zamożnego zbiega, to jedno wielkie i podłe kłamstwo.

A Coltrane pragnął Jilly, choć wiedział, że realizacja tego pragnienia zniszczy ją na zawsze.

Meyer miał rację: byli do siebie cholernie podobni. Bezlitośni, niemoralni, skupieni wyłącznie na własnych interesach. I nieważne, że Coltrane pragnął poznać prawdę i wymierzyć sprawiedliwość, a Meyer chciał tylko władzy i pieniędzy. Obaj tak samo bezwzględnie dążyli do osiągnięcia celu. Musiał uciekać. Jak najdalej od La Casa, jak najdalej od Los Angeles. Oczywiście, jeśli nie chciał zabić w sobie tej resztki przyzwoitości, jaka mu jeszcze została. Nie miał pojęcia, dokąd pojedzie, najważniejsze, żeby być daleko stąd.

Przed wyjazdem musi jednak dokończyć sprawę z Meyerem. Musi, bo inaczej Rachel-Ann nigdy nie zazna spokoju.

Teraz już nie chodzi o sprawiedliwość ani nawet o zemstę. Musi ratować, ile się da. Ratować swoją duszę.

Pakował się w pośpiechu, wrzucał do walizki rzeczy bez żadnego szacunku dla ich wartości. Słońce właśnie wychyliło się spoza koron drzew, gdy usłyszał jakiś dźwięk, jakby ciche szuranie. Zamarł.

Pomyślał, że to duchy. Nie wierzył w nie, a mimo to przestraszył się, że przyszły po niego. Poruszały się powoli, prawie bezdźwięcznie, tylko cichutki szmer zapowiadał ich nadejście.

Odruchowo spojrzął na drzwi balkonowe. Rachel-Ann nie było w domu, więc nie mogły jej zrobić nic złego. Jilly nie była w stanie ich zobaczyć, zresztą one jej źle nie życzyły. Ale Coltrane zasługiwał na najgorszą karę, na tym czy innym świecie. Patrzył więc, jak drzwi powoli się otwierają i w napięciu czekał na spotkanie z dawno zmarłymi właścicielami La Casa de Sombras.

Rufus rzucił się na niego w szale psiej radości.

Gdyby Coltrane nie był taki zmęczony, usłyszałby stukanie psich pazurów na marmurowych płytach tarasu i nie obawiałby się duchów.

W ślad za psem na balkonie zjawiała się Jilly. Ostrożnie stawiała obandażowane stopy.

Coltrane pożałował, że to nie duchy.

Jilly zatrzymała się w progu. Widocznie środki przeciwbólowe nie były aż takie mocne, bo zdawała się być całkiem przytomna. Zdjęła z siebie zaplamione krwią ubranie i przebrała się w coś, co pewnie uważała za całkiem asekualne. I rzeczywiście, nikt oprócz niej nie wyglądałby podniecająco w dżinsach i rozciągniętej bawełnianej koszulce. Niestety, Coltrane'owi wystarczyło, że oddychała.

Rozpuszczone włosy zakrywały całe jej plecy, twarz miała bladą, zmęczoną. Spojrzała na leżącą na łóżku walizkę, popatrzyła na Coltrane'a.

- Wyjeżdżasz? - spytała obojętnie.

- Tak. Już ci mówiłem.

- Dlaczego? Nie chcesz sprawiać kłopotu?

- Najbardziej lubię w tobie tę twoją anielską słodycz - mruknął Coltrane. - Chcę wyjechać, zanim wszystko całkiem się popłacze. Jeszcze tylko załatwię parę spraw, a potem już nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał - powiedziała głosem wypranym z emocji. - Musisz mi pomóc.

Spojrzał na nią zdumiony. Tym razem nie starał się nawet ukryć swoich uczuć.

- Ja mam pomóc tobie? - powtórzył z niedowierzaniem. - Silna, wszechmocna Jillian, władczyni wszechświata, obrończyni słabych, strażniczka rodziny, potrzebuje pomocy jakiegoś podłego gada? Byłem pewien, że ty wszystko możesz.

Kuśtykając, przeszła przez pokój i usiadła na łóżku obok walizki Coltrane'a.

W tym zaniedbanym pokoju nie było żadnego innego mebla, na którym dałoby się usiąść, a ją bardzo bolały stopy. To był jedyny powód; dla którego usiadła właśnie tutaj. Coltrane doskonale o tym wiedział, a mimo to przyszły mu do głowy głupie myśli.

- Nie potrafię wszystkiego - powiedziała cicho. - Nie mogę niczego uratować ani nawet naprawić, choćbym nie wiem jak bardzo się starała. Nie umiem sprawić, żeby mój ojciec bardziej kochał Deana ani żeby mniej kochał Rachel-Ann. I nie mogę go zmusić, żeby mnie kochał choć trochę. - Uśmiechnęła się słabo. - Chociaż na tym akurat mi nie zależy. Naprawdę! Jackson potrafi być uroczy, kiedy czegoś chce, ale już dawno się nauczyłam, że to tylko maska. Właśnie za to mnie nienawidzi. Jestem jedyną osobą, która wie, jaki ten człowiek jest naprawdę.

- Chyba jednak nie tylko ty - powiedział Coltrane. - Ja także nie mam co do niego żadnych złudzeń.

- A mimo to pracujesz dla niego? Wobec tego jesteś gorszy, niż przypuszczałam.

- To akurat nie jest możliwe. Uważasz mnie za szumowinę, za coś znacznie bardziej obrzydliwego od tego wszystkiego, co spoczywa na dnie twojego zapuszczonego basenu. - Specjalnie wspomniał o basenie. Był ciekaw, jak Jilly zareaguje.

Zadrzała. Nie trzeba się było specjalnie przyglądać, żeby to zauważyć.

- Nie lubię... tego... basenu. - Z trudem wydobywała z siebie słowa. - Nie lubię na niego patrzeć i nie lubię nawet o nim mówić. Tam się stało coś strasznego. Bardzo dawno temu. To chyba ciągle tam jest.

- Tobie się przydarzyło coś strasznego?

- Nie. Właściwie nie mnie. Nie wiem, co to było, i nie chcę wiedzieć. W ogóle nie chcę o tym myśleć.

- W porządku - powiedział obojętnie. - A więc nie jestem szumowiną. Ale za to wiem, do czego jest zdolny twój ojciec, a mimo to nadal dla niego pracuję. Kim wobec tego jestem?

- Wężem - odparła bez wahania. - Ale dam ci możliwość odpokutowania za grzechy.

- Może to jest jakiś pomysł - mruknął Coltrane.

- Widzisz - tłumaczyła mu Jilly - Jackson nie może teraz wygrać. Nie mogę dopuścić do tego, żeby jeszcze bardziej skrzywdził Rachel-Ann. Nie wiem, co z nią robił przez te wszystkie lata, ale rzygać mi się chce, jak o tym pomyślę. Jak on na nią patrzy, jak dotyka...

- Myślisz, że już ją wykorzystał? Ze wykorzystywał ją seksualnie, kiedy była mała? - Sam nie mógł uwierzyć, że potrafi o tym mówić tak spokojnie, tak zupełnie beznamiętnie.

- Nie wiem. Może i nie. Ale nawet jeśli nie zrobił tego dosłownie, to przez wiele lat wykorzystywał ją emocjonalnie. Ona musi się wreszcie od niego uwolnić.

- Czy to nie jest jej problem? Przez całe życie starasz się wszystko naprawiać, usiłujesz wszystkich ratować. Uważasz, że nawet mnie dałoby się uratować, chociaż zapewniam cię, że to niemożliwe. A co z tobą?

- Ze mną? - Jilly się roześmiała. - Ja wcale nie jestem ideałem. Bywam natrętna i uparta, wiecznie wszystkim sprawiam kłopoty, we wszystko się wtrącam, wszystkiego się boję, jestem zimna i w ogóle mam paskudny charakter...

- To cała litania śmiertelnych grzechów - zakpił Coltrane.

- Nie udawaj, że tego nie wiesz. Sam przypisujesz mi przynajmniej połowę tych wad.

- Nigdy nie twierdziłem, że jesteś zimna.

Nie powinien był tego mówić. Na pewno nie wtedy, kiedy ona siedziała na jego łóżku i byli całkiem sami w tym ogromnym, starym domu. Nie tuż przed swoim odjazdem.

To akurat twierdził mój mąż. - Jilly na szczęście nie zareagowała na tę jawną prowokację. - Ale nie ma sensu teraz o tym rozmawiać. Musimy ratować Rachel-Ann.

- To ty musisz ratować Rachel-Ann. Ja muszę jak najprędzej stąd zniknąć.

- I tak po prostu odejdziesz? Pozwolisz, żeby Jackson jej to zrobił?

Nie mogła uwierzyć, że jest aż taki podły. Naprawdę przejrzała go na wylot.

- Dlaczego uważasz, że pozwolę ją skrzywdzić?

- Przecież to właśnie robisz, wyjeżdżając. Ona potrzebuje naszej pomocy, Coltrane! Myślałam, że ci na niej zależy.

- Jackson jej nie dostanie - odparł Coltrane. - I skończ z tym melodramatem, bo to nie w twoim stylu. Dlaczego uważasz, że mi na niej zależy?

- Nie wiem. - Jilly wzruszyła ramionami. - Kobięca intuicja. Czy ty ją kochasz?

- Jezu Chryste, Jillian! - zawołał. - Na jakim ty świecie żyjesz? Czy ja wyglądam na faceta, który odchodzi z powodu nieodwzajemnionej miłości? Czy ja wyglądam na faceta, który potrafi całymi latami cierpieć w milczeniu?

- Raczej nie. - Jilly uśmiechnęła się słabo. - Widocznie się pomyliłam. Nikt z nas ani trochę cię nie obchodzi.

- Za to ciebie obchodzi aż za bardzo. Z tego swojego ogromnego zasobu energii powinnaś spożytkować choć trochę dla siebie. Chyba nigdy w życiu nie zrobiłaś niczego wyłącznie dla siebie. Zawsze tylko dla tej swojej cholерnej rodziny albo dla tego zrujnowanego domu!

- Oczywiście, że zrobiłam coś dla siebie - broniła się Jilly, zdumiona jego reakcją.

- Co? Wymień przynajmniej jedną taką rzecz. Albo zrób. Chociaż raz w życiu zrób coś takiego, o co wszyscy będą mieli do ciebie pretensje. Coś takiego, żeby kiwali głowami i mówili, że jesteś tak samo zepsuta jak cała reszta twojej rodziny.

- No, wiesz...

- Tak przypuszczałem! Nigdy nawet przez myśl ci nie przeszło, że mogłabyś chcieć czegoś takiego - triumfował Coltrane. - Odważ się wreszcie. Choć raz w życiu okaż słabość, pozwól sobie na coś tak niezdrowego, jak duże lody z podwójną bitą śmietaną. Powiedz mi, czego chcesz, Jilly. Czego chcesz, co tylko tobie sprawiłoby radość? 1

Patrzyła na niego. Była zupełnie spokojna, całkowicie przytomna.

- Ciebie - powiedziała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Coltrane patrzył na nią z takim zdumieniem, jakby nagle wyrosła jej druga głowa. Jilly nawet nie bardzo mu się dziwiła. Gdyby w pokoju było lustro, sprawdziłaby czy, z tą drugą głową to nie jest przypadkiem prawda. Bo przecież nie powiedziała chyba tego, co oboje słyszeli.

Coltrane pierwszy wziął się w garść.

- Zdaje się, że dali ci za dużo środków przeciwbólowych - powiedział.

- Nie dostałam żadnych środków przeciwbólowych, idioto. Dali mi jakieś pigułki do domu, na wypadek gdyby ból był silny, ale nie. Wzięłam ani jednej.

- To dlaczego zasnąłaś w samochodzie?

- Bo byłam wykończona - warknęła. - Od kilku dni nie spałam, i to głównie z twojego powodu. Musiałam zamknąć oczy, żeby się choć trochę przespać. Poza tym miałam nadzieję, że zanieziesz mnie do łóżka, jak obiecałeś, i że skorzystasz z okazji. Odkąd się poznaliśmy, próbujesz się ze mną przespać, a kiedy wreszcie mnie masz, całkowicie bezbronną, co wtedy robisz? Całujesz mnie i wychodzisz!

Jilly nie próbowała nawet ukryć swojego rozczarowania.

- Ty rzeczywiście masz mnie za idiotę.

- Owszem. Nie, właściwie sama nie wiem - przyznała szczerze.

- Jeśli naprawdę tak o mnie myślisz, to dlaczego, do diabła, chcesz iść ze mną do łóżka?

Coltrane przyglądał się jej z mieszaniną irytacji i zaciekawienia.

- Bo jesteś wredny, samolubny i zepsuty do szpiku kości, a ja mam po dziurki w nosie dobroci i szlachetności. Korzystaj z okazji, głąbie. Daję ci siebie z własnej i nieprzymuszonej woli.

Jilly starała się, żeby to zabrzmiało zwyczajnie, i nawet całkiem nieźle jej poszło. Zwłaszcza jeśli się zważy, że Coltrane był tuż-tuż, a ona reagowała na jego obecność jak nastolatka, która pierwszy raz w życiu zakochała się bez pamięci.

- A jeśli ja chcę to zrobić z bardzo złych pobudek? - zapytał cicho. - Może chciałem pójść z tobą do łóżka, bo miałem jakiś powód, bardzo nikczemny zresztą, który nie ma absolutnie nic wspólnego z tobą?

- Tak mi się właśnie zdawało. Mężczyźni raczej za mną nie szaleją, więc musiałeś mieć jakiś inny powód.

- I mimo to chcesz się ze mną przespać?

Był teraz całkiem blisko. Jilly patrzyła na niego spokojnie. Tylko usta jej drżały, kiedy spróbowała się uśmiechnąć.

Zdażył się przebrać. Miał na sobie dzinsy i bawełniany podkoszulek. Ten strój był zupełnie inny od wszystkiego, w co się dotąd ubierał, ale znacznie lepiej do niego pasował. Eleganckie ciuchy od Armaniego maskowały jego prawdziwą naturę. Dopiero teraz naprawdę był sobą. Niebezpieczny, groźny i... bardzo pociągający.

- Duże lody z podwójną bitą śmietaną też nie są zdrowe - powiedziała Jilly. - Tuczą, podnoszą poziom cholesterolu i w efekcie blokują tętnice, ale ludzie i tak się nimi zajadają.

Te prozaiczne słowa dochodziły do niej jakby z bardzo daleka. Jakby to ona była jednym z duchów La Casa, jakby tylko słuchała, patrzyła, ale w niczym nie brała udziału.

- A więc naprawdę chcesz, żebym się z tobą przespał? Wiesz, że wyjeżdżam, a mimo to chcesz iść ze mną do łóżka? To nie w twoim stylu, Jilly. Dlaczego?

- Właśnie staram się zmienić styl.

Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl. Może on naprawdę wcale jej nie chce? Może wszystkie te jego spojrzenia, słowa i pocałunki były tylko fragmentem gry, środkiem do osiągnięcia tego tajemniczego celu, jaki przed sobą postawił? Może teraz, kiedy postanowił wyjechać, zupełnie przestała go interesować?

Zrobiło jej się najpierw zimno, a potem gorąco ze wstydu i właściwie powinna natychmiast uciec.

- Może to rzeczywiście kiepski pomysł - mruknęła, odsuwając się w najdalszy koniec łóżka. - Dajmy sobie z tym spokój.

Coltrane ukląkł przy niej, chwycił ją za ręce i przyciągnął do siebie.

- Nic podobnego - zapewnił ją pośpiesznie. - Miałaś wspaniały pomysł. Tylko teraz nie zmieniaj zdania!

Zrzucił walizkę z łóżka. Spadła na podłogę, narobiła łomotu i przestraszyła Rufusa, który znalazł sobie wygodne miejsce do spania w odległym kącie pokoju. Olbrzymie psisko podniosło łeb, szczebknęło cicho i znowu zapadło w sen.

Nagle wszystko stało się prawdziwe. Coltrane trzymał ją za rękę i nie pozwalał odejść. Był bardzo silny. Musiał mieć dużo siły, jeśli zdołał wnieść Jilly na samą górę po tych ogromnych schodach.

- A gdybym jednak chciała odejść? - Jilly nagle się przestraszyła. Głos jej zadrżał i tym razem nie zdołała tego ukryć.

- Nie chcesz - powiedział.

Pocałował ją. Długo, namiętnie, aż poczuła, że drży, że tonie w tym pocałunku.

Osunął się na łóżko, pociągnął ją za sobą, ułożył na miękkim materacu. Był taki gorący, silny, taki mocny.

Ściągnął z niej koszulkę, zanim zdążyła się zorientować, co właściwie robi, a potem sięgnął do zapięcia spodni. Zakryła się rękami, żeby go powstrzymać. Coltrane jakby nawet tego nie zauważył. Rozpiął jej dżinsy, zsunął je delikatnie przez obandażowane stopy i rzucił na podłogę.

- Ładna bielizna - stwierdził. - Czy to może dla mnie?

Specjalnie dla niego włożyła jedwabny komplecik, najbardziej seksowną bieliznę, jaką miała: mały staniczek i głęboko wycięte majteczki.

- Owszem - przyznała.

- Wobec tego niech jeszcze chwilę na tobie zostanie. - Zdjął koszulkę, rzucił ją za siebie, sięgnął do suwaka spodni, ale nie rozpiął go od razu. - Muszę cię ostrzec. Ja nie mam żadnej bielizny.

- Jakoś nie jestem tym zaskoczona - powiedziała Jilly.

Słońce zawędrowało wysoko na niebo, w pokoju zrobiło się całkiem jasno, chociaż Jilly wolałaby, żeby się ściemniło.

Odwróciła głowę. Usłyszała, jak Coltrane ściąga spodnie.

- Co się z tobą dzieje, Jilly? - Materac ugiął się pod jego ciężarem. - A może ty się wstydzisz? :

Wreszcie na niego spojrzała. Starła się patrzeć wyłącznie na twarz, ale miał taki niesłychanie piękny tors... Nigdy dotąd żaden męski tors nie zrobił na Jilly takiego wrażenia. Nigdy żaden tors nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Ani torsy, ani w pocie czoła wyćwiczone mięśnie nigdy jej nie pociągały. Coltrane był wyjątkiem. Silny, muskularny, wspaniały...

- Nikt na świecie nie będzie mi wymyślał od wstydliwych - mruknęła.

Bardzo chciała dotknąć jego torsu, a mimo to nadal trzymała ręce za plecami, nie pozwalając im się poruszać.

- Ja będę. - Wziął ją za rękę, położył sobie na sercu. Miał gorące ciało, serce biło mu bardzo mocno, głośno, miarowo.

- Serce ci szybko bije - powiedziała Jilly.

- Bo jestem podniecony. Zrozumiałabyś to, gdybyś zechciała spojrzeć niżej.

Zrobiła to. Odruchowo. Było tak rzeczywiście.

- Czy teraz już mogę odejść? - spytała cichutko.

- Nie. .

- Trudno.

- Żadnych protestów?

- Wcale nie chciałam odejść - przyznała.

- Wiem. - Uśmiechnął się łobuzersko. - Dlatego ci nie pozwoliłem.

Znów ujął jej dłoń i poprowadził w dół na swój płaski brzuch, aż do twardej gęstwiny jasnych włosów. A kiedy zabrał rękę, dłoń Jilly pozostała tam, gdzie ją zostawił, absorbując promieniujący z niego żar i napięcie.

- Jak tam twoje plecy? - zapytał. - Możesz się na nich położyć?

- Mogę spróbować - powiedziała. - A po co?

- Muszę coś zrobić. - Ostrożnie położył ją na materacu, który był tak miękki, że Jilly prawie nie czuła swoich skaleczeń. Potężna sylwetka Coltrane'a majaczyła nad nią w coraz jaśniejszym, ale wciąż jeszcze mrocznym pokoju. Jilly zamknęła oczy, czekała.

Nic się nie stało, więc otworzyła oczy i zobaczyła, że Coltrane się jej przygląda.

- Tak lepiej - pochwalił. - Teraz zobaczymy, czy zdołam cię podniecić chociaż w połowie tak bardzo, jak ty mnie podniecasz.

Pochylił się i zaczął całować odkryte ciało ponad koronkowym staniczkiem. W odpowiedzi na tę pieszczotę serce Jilly zabiło jak oszalałe.

Dotknęła jego twarzy, gęstych jasnych włosów. Mruknął zadowolony, ani na chwilę nie odrywając ust od jej nabrzmiałej piersi. Na drugiej położył dłoń, delikatnie ścisnął swymi długimi palcami, podniecał, aż sutki stwardniały, aż poczuł żar i napięcie między jej nogami.

Staniczek miał zapięcie z przodu. Coltrane go rozpiął, odsunął na bok delikatną tkaninę, a kiedy dotknął ustami nagiej piersi, Jilly krzyknęła cichutko. Miała bardzo wrażliwe piersi, a pieszczoty Coltrane'a wywoływały w niej nieznane jej uczucie.

Otworzyła usta, chcąc zaprotestować, ale on położył na nich dłoń, nie pozwolił powiedzieć ani słowa. Jakiś nieznany, prymitywny instynkt kazał Jilly wziąć jego palce do ust.

Niesłychane, ale podnieciło ją to jeszcze bardziej, poczuła gwałtowną żądzę. Zapomniawszy o pokaleczonych plecach zsunęła się niżej, ujęła jego twarz w obie dłonie i mocno pocałowała go w usta. Pragnęła go, była tego absolutnie pewna, spróbowała wciągnąć go na siebie.

- Jestem gotowa - szepnęła.

- Nie jesteś - odparł - ale będziesz.

Całował ją namiętnie. Jego język poruszający się powoli w jej ustach sprawił, że Jilly poczuła jeszcze większe pożądanie.

Coltrane zsunął się lekko w dół. Całował, pieścił językiem, a jego ręka wędrowała po jej ciele, aż dostał się między jej nogi, dotknął wilgotnego jedwabiu majteczek.

Jilly wygięła się odruchowo, jakby chciała zbliżyć się do jego dłoni. Gdy jego palce, minawszy cienki jedwab, wsunęły się w głąb wilgotnej, gorącej miękkości, zacisnęła zęby, żeby nie krzyczeć.

Chyba się domyślił, bo przykrył jej usta swoimi i wsunął palce głębiej.

Drgnęła wystraszona, ale Coltrane jej nie puścił. Trzymał ją ręką i ustami, dotykał, głaskał językiem, palcami, a ona drżała i jęczała z rozkoszy.

Coltrane uniósł głowę i patrzył na nią, nie przestając jej pieścić.

- Nie - wyszeptała z trudem.

- Nie? - spytał jakby rozbawiony.

- Nie... przestawaj - poprosiła, poczuwszy pierwszą gwałtowną falę przyjemności.

- Nie ma mowy - zapewnił, gdy uderzyła w nią druga fala, tym razem mocniejsza.

Ciało Jilly poruszało się niekontrolowane i to ją przerażało. Kiedy przyszedł trzeci orgazm, zamarła, chcąc go zniweczyć.

- O nie, tego mi nie zrobisz - powiedział Coltrane, odsuwając się od niej. Cieniutkie majteczki rozdarły się, gdy je pociągnął, rozłożył jej nogi, wsunął się pomiędzy nie. - Przestań wreszcie wszystko kontrolować. Czasami możesz pozwolić komuś innemu przejąć panowanie nad sytuacją. Chociaż na krótką chwilę.

- A może ja się boję stracić kontrolę? - szepnęła.

- Nie masz wyboru. Za chwilę całkiem ją stracisz. Nie będziesz nawet wiedziała, gdzie kończy się twoje ciało, a zaczyna moje. Ochrypniesz od krzyku, oślepniesz z rozkoszy. Tylko w jednej sprawie pozwolę ci zdecydować.

Drżała, ale nie ze strachu, tylko z pożądania.

- W jakiej?

- Mam ci to zrobić nim czy ustami? i Jego słowa powinny ją zaszokować, a tymczasem nawet się nie zawstydziła. Poczwała falę gorącą, potem zimno i jeszcze większe pożądanie, chociaż przed chwilą zdawało jej się, że nie można bardziej pragnąć.

- Nim - powiedziała, obejmując palcami jego twarde, jedwabisty członek. I nagle zapragnęła dotknąć go ustami, spróbować, jak smakuje.

- Zaczekaj - poprosiła. - Chcę...

- Potem. - Ułożył jej ręce na materacu, przytrzymał i pochylił się nad nią, władczy i mocny. Czwała go całym ciałem. - Potem będzie czas na wszystko. Teraz ja muszę coś zrobić.

Wysunął biodra do przodu, wśliznął się w nią jednym ruchem, jakby była dla niego stworzona. Chwyciła się go kurczowo.

- Jeszcze! - błagała.

- De? Tyle? - wsunął się odrobinę głębiej, a Jilly krzyknęła.

- Proszę! - zawołała. - Ja chcę... Jeszcze odrobinę głębiej.

- Czego chcesz, Jilly?

- Ciebie!

Był już prawie cały w środku i to uczucie rozpierającej ją twardej gładkości stało się torturą, przyjemnością tak wielką, że prawie bolesną, potrzebą tak gwałtowną, że trudno jej było oddychać.

- Mnie czy jego?

Nie znała właściwej odpowiedzi, nie wiedziała, jak sprawić, żeby tortury dobiegły końca. Wobec tego powiedziała prawdę.

- Ciebie.

Wbił się głęboko, tak głęboko, że prawie czuła jego smak. Chciała złapać oddech i nie mogła.

Brał ją powoli, głęboko, mocno. Tym razem nie mogła walczyć, nawet nie chciała. Przywarła do Coltrane'a, próbując się czegoś przytrzymać, ale jego ramiona były śliskie od potu. Nie było już dla niej ratunku, nie było na świecie żadnego bezpiecznego miejsca.

To trwało w nieskończoność, całą wieczność, ale Jilly nie chciała, żeby się skończyło. Jej skóra płonęła, ciało drgało konwulsyjnie i nie słyszała nawet własnego głosu.

Nawet przez gęstą ciemność spełnienia czuła, jak Coltrane w niej pulsuje, jak ją wypełnia, jak się jej oddaje. Rozpłakała się jak idiotka.

Właściwie nie wiedziała, czego oczekiwać. Nie wiedziała nawet, czy w ogóle czegoś oczekiwała, ale na pewno nie spodziewała się tego, co jej zrobił. Po prostu przytulił ją do siebie, do serca, które wciąż waliło jak oszalałe, do mokrej od potu piersi. Tulił ją tak, a ona płakała. Głaskał ją po włosach, po zalanej łzami twarzy, nie odezwał się ani słowem. A kiedy płacz przeszedł w szloch, kiedy Jilly zaczęła drżeć, wtedy ją pocałował. Tak słodko, że znów się rozpłakała.

Zdawało jej się, że usłyszała jego cichy śmiech, ale nie była pewna, ponieważ wciąż mocno trzymał ją w ramionach. Pomyślała, że powinna się od niego odsunąć, ale na razie nie mogła. Gdyby to od niej zależało, świat mógłby się skończyć w tej chwili i w tym miejscu, właśnie teraz, kiedy ona jest bezpieczna, mocno otulona jego silnymi ramionami.

- Widzisz - szepnął Coltrane jakiś czas później. - Czasami mam rację. Nie musisz zawsze za wszystko odpowiadać.

- Nie muszę - westchnęła, tuląc twarz do jego ciepłej, gładkiej skóry.

- I wcale nie jesteś przez to słabsza ani bardziej bezbronna. Czasami to jest po prostu przyjemne - tłumaczył, głaszcząc jej długie, gęste włosy.

- Bardzo przyjemne - szepnęła Jilly.

- Mam tylko nadzieję, że się we mnie nie zakochałaś. To byłby poważny błąd.

Poruszyła się, chcąc na niego spojrzeć. Oczy wciąż jeszcze miała mokre od łez.

- Zakochałam się - wyznała.

Powinna wiedzieć, że po takim oświadczeniu Coltrane natychmiast odejdzie. Właściwie spodziewała się tego, może nawet tego chciała. Coltrane już dawno przełamał jej obronę i było stanowczo za późno na budowanie nowych murów.

Usłyszała, jak westchnął, jak zaklął pod nosem. A potem znów zaczął się z nią kochać. Powoli, nieskończenie delikatnie, w całkowitym milczeniu. Tylko jego pocałunki... Słodkie delikatne pocałunki... Wszędzie...

W ciemnościach długiej nocy byłoby to całkiem naturalne, ale w jasnym świetle dnia...

No i dobrze, pomyślała Jilly. Mnie też się coś od życia należy. Chociaż ten jeden raz.

Coltrane zaniósł ją pod prysznic, posadził na wbudowanej tam marmurowej ławeczce, pamiętającej dni chwały La Casa, namydlił ją powoli mydłem o słodkim, różanym zapachu.

Ukląkł u jej stóp, położył sobie jej nogi na ramionach, doprowadził ją do kolejnego orgazmu językiem, a woda lula się z na nich z góry.

A potem przenieśli się do wielkiego łóża w kształcie łabędzia.

Jilly już dawno przestała się zastanawiać, co będzie, gdy wejdzie tu Dean lub Rachel-Ann. Jedyne, o czym mogła myśleć, to Coltrane i te wszystkie rzeczy, jakie z nią wyprawiał i jakie ona z nim wyprawiała.

Brał ją na różne sposoby. Nawet nie domyślała się, że jest ich aż tyle. Nie wiedziała, ile razy ani kiedy jedna sesja przechodziła w następną. Żyła zarem i pasją, seksem i miłością. A kiedy przejęła kontrolę, kiedy wzięła go w usta, doznała orgazmu płynącego z czystej przyjemności, jaką go obdarzyła.

Zasnęli. Spoceni, wymęczeni przespali cały dzień, wtuleni bezpiecznie w łóżo w kształcie łabędzia. A duchy ich pilnowały.

Rachel-Ann wjechała na drogę prowadzącą do La Casa de Sombras. Tłumaczyła sobie, że nie ma się czego bać. Nigdzie nie było śladu ani po mercedesie Jacksona, ani po lexusie Deana. Tylko jej bmw i corvetta Jilly stały w garażu.

Zaparkowała range-rovera Coltrane'a na wolnym stanowisku, wysiadła z auta, rozejrzała się niespokojnie wokół siebie, jakby się bała, że z jakiegoś ciemnego kąta coś może na nią wyskoczyć. Jednak

tym razem to nie duchy ją przerażały. Przypuszczała zresztą, że nie przestraszy się ich już nigdy w życiu. To przecież one kazały jej uciekać wczoraj wieczorem, one ją uratowały. Rachel-Ann bardziej bała się teraz żywych niż umarłych.

W domu panowała cisza i bezruch, jakby nikogo tu nie było. Salonik wyglądał tak samo jak zeszłej nocy, tuż przed tym, kiedy z niego wybiegła. Potłuczone kawałki szklanego blatu leżały na podłodze, obok walały się potłuczone szklanki, kieliszki i talerze. Nikt niczego tu nie ruszył, niczego nie posprzątał.

Rachel-Ann także nie zamierzała sprzątać. Zamierzała pójść na górę do swego pokoju, spakować tyle rzeczy, ile zdoła unieść, i uciekać, zanim ktokolwiek spróbuje ją zatrzymać.

Jilly na pewno palnęłyby jej kazanie, myśląc, że siostra znów wplątała się w jakąś kabałę, że zrobiła pierwszy krok, prowadzący w dół, w otchłań alkoholu i narkotyków.

Rachel-Ann nie miała w tej chwili ochoty nikomu niczego wyjaśniać. Tym bardziej, że sama nie do końca rozumiała, dlaczego z Rikiem wszystko wygląda zupełnie inaczej.

Ale było za wcześnie i jednocześnie za późno, żeby to analizować. Niektóre rzeczy przyjmuje się na wiarę. Jej przyszłość u boku Rica była właśnie jedną z takich rzeczy. Szczegóły w końcu i tak kiedyś same się poukładają. Najważniejsze, że wreszcie, po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, czuła, że żyje i że jest silna. I ma nadzieję.

Gdzieś tu mógł być Coltrane. Jego też nie chciała widzieć. Nie podobało jej się, jak na nią patrzył. Z taką troską i z naganą, prawie jak Jilly. Kiedy tylko dowiedziała się o jego istnieniu, natychmiast postanowiła przespać się z nim, a on tymczasem zachował się jak surowy starszy brat... Starszy brat.

Te słowa od wczoraj niosły się echem w jej skołatanej głowie. A może to były głosy duchów? Rachel-Ann nie była pewna. Starszy brat. On jest twoim bratem. On wie kim jesteś.

Usiadła ciężko na sofie, którą poprzedniego wieczoru zajmował Dean, wpatrując się w odłamki zaścielającego podłogę szkła.

Mój brat, myślała. A więc to o nim mówiły duchy, kiedy mnie ostrzegały. Jasne! Przecież Dean nigdy się o mnie nie troszczył. On zawsze myśli tylko o sobie. Owszem, wiem że mnie kocha, ale nic by w mojej sprawie nie zrobił, a już na pewno nie przeciwstawiłby się Jacksonowi. To Coltrane się o mnie martwi! Coltrane, mój nieznanany brat. Na pewne od początku wszystko wiedział...

Usłyszała głosy. Ktoś tu był, coś tu się działo.

Rachel-Ann zamarła w oczekiwaniu duchów, ale po chwili rozpoznała głos Jilly - śmiała się cicho, a Coltrane coś do niej mówił.

Rachel-Ann bez namysłu zerwała się z kanapy wybiegła z pokoju i bez pukania wpadła do pokoju Jilly

Coltrane stał przy oknie w samych dżinsach. Jilly siedziała na łóżku owinięta prześcieradłem. Wyglądała jak...

Dokładnie tak jak powinna. Jak kobieta, która przed chwilą przeżyła najwspanialsze chwile w życiu. Jak zakochana kobieta.

Jej siostra i jej brat. Z bratem łączyły ją więzy krwi, a z siostrą więzy miłości.

Coltrane spojrział na Rachel-Ann z nieodgadnionym wyrazem twarzy, z troską w zielonych oczach. Tak samo zielonych jak jej własne.

Rachel-Ann pomyślała, że trzeba być straszną idiotką, żeby od razu nie zauważyć łączącego ich podobieństwa.

- Jesteś moim bratem, prawda? - zapytała bez wstępów.

Usłyszała, jak Jilly głośno wciąga powietrze.

- Nie wygłupiaj się, Rachel-Ann - zawołała. - On nie jest z nami w żaden sposób spokrewniony.

- Bogu dzięki, że nie jest, bo inaczej miałby się z czego tłumaczyć - powiedziała zupełnie spokojnie Rachel-Ann. – Tylko ze mną jest spokrewniony. Prawda?

Właściwie spodziewała się, że Coltrane zaprzeczy. On zaś zerknął na siedzącą pośrodku wielkiego łóża Jilly, która tylko szczelniej owinęła się prześcieradłem. Szczęśliwy uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Tak - przyznał. - Jestem twoim bratem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Jilly siedziała w tym swoim wielkim łożu w kształcie łabędzia jak skamieniała i patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami.

Nie rozumiała, jak mogła nie zauważyć czegoś tak oczywistego. Byli naprawdę bardzo podobni do siebie, a jej nawet do głowy nie przyszło, żeby o tym pomyśleć.

- Po co tu przyjechałaś, Rachel-Ann? - spytał Coltrane. - Myślałem, że masz dość rozumu, żeby trzymać się z daleka od tego miejsca.

- Nigdy nie miałam dość rozumu - odparła Rachel-Ann. - Dlaczego miałabym tu nie wracać? Żeby się nie domyślić i nie powiedzieć Jilly? Ale jednak się domyśliłam i Jilly też już wie. Zostawmy mnie. Ciekawe, co ty tak naprawdę tutaj robisz? Przyjechałeś, żeby mnie znaleźć?

Coltrane odsunął się od okna. Nawet nie spojrzął na Jilly, która skuliła się, jakby ciężar zdrady i płynącego stąd cierpienia był dla niej nie do udźwignięcia.

- Nie miałem pojęcia o twoim istnieniu, dopóki cię nie zobaczyłem - mówił powoli, waząc każde słowo. - Przyjechałem do Los Angeles, żeby się dowiedzieć, co się stało z moją mamą. Z naszą mamą. Umarła gdzieś tutaj, ponad trzydzieści lat temu. Mój ojciec mi powiedział, że została zamordowana.

- Twój ojciec? - powtórzyła jak echo Rachel-Ann.

- To my nie mamy wspólnego ojca?

- Nie.

Błada twarz Rachel-Ann skurczyła się w paroksyzmie strachu. Jilly chciała wstać, jakoś ją pocieszyć, ochronić, ale poczucie krzywdy całkiem ją sparaliżowało.

- Czy Jackson wie, kim jesteś i po co przyjechałeś? - spytała Rachel-Ann zduszonym głosem.

- Nie. -

- Dlaczego?

- To z jego powodu tu się znalazłem - odparł Coltrane chłodno, bez żadnych emocji. - Pod koniec lat sześćdziesiątych moja mama mieszkała w tym domu razem z nim i z grupą innych młodych ludzi. Jackson ją zabił. Zamordował moją mamę. Twoją mamę. Przyjechałem tu, żeby dowiedzieć się prawdy. I żeby mu odpłacić za to, co zrobił.

- Kłamiesz - powiedziała Rachel-Ann z desperacką nadzieją. - On nie mógł...

- Zamknij się! - przerwał jej Coltrane. Nadal nie patrzył na Jilly. - Myśl sobie, co chcesz, ale natychmiast się stąd wynoś. On tu przyjdzie. Kazał mi cię znaleźć, przyprowadzić tutaj i zatrzymać dopóki się po ciebie nie zjawi. Wyjeżdża za granicę. Już wie, że za kilka dni zostanie oskarżony o defraudację i o złamanie prawie wszystkich obowiązujących w tym kraju przepisów. Teraz zależy mu tylko na tym, żeby dotrzeć do ładnego i bezpiecznego miejsca, w którym nie dosięgnie go ramię sprawiedliwości, i cieszyć się

majątkiem, jaki zgromadził sobie na czarną godzinę. Spodziewa się, że będziesz korzystała z tego majątku razem z nim.

- Dlaczego nie miałabym tego zrobić? Czemu nie miałabym z nim wyjechać? On mnie kocha.

- Owszem - powiedział ponuro Coltrane. - Nawet trochę za bardzo. To on jest twoim prawdziwym ojcem.

- O Boże! - jęknęła Jilly.

Wszystko wreszcie ułożyło się w logiczną całość. Przeczucia, wrażenia i lęki całego życia wreszcie znalazły uzasadnienie.

Rachel-Ann zamarła. A potem przeszła przez pokój, wolniutko, nie zwracając uwagi na Jilly i Coltrane'a, jakby ich tam wcale nie było. Weszła do łazienki. Chwilę później usłyszeli, jak wymiotuje.

Dopiero teraz Coltrane popatrzył na Jilly.

- Musisz ją stąd zabrać - powiedział. - Myślałem, że się tu nie pojawi i nie będę się musiał o nią martwić.

- Miałeś mnie czymś zająć... - zaczęła.

- To był twój pomysł, Jilly, nie mój.

Mógł powiedzieć milion innych słów, ale wybrał właśnie te, najbardziej okrutne ze wszystkich. Jilly nie wątpiła, że o tym wiedział, że wybrał je celowo i wiedział, jak bardzo będą bolały.

- Co on jej zrobi? - Musiała szybko zmienić temat. Nie chciała już myśleć o tym, co robiła przez cały dzień i czego miała nie zapomnieć do końca życia. W tej chwili najważniejsze było bezpieczeństwo jej siostry. Ich siostry.

- Zabierze ją ze sobą. Prawo i moralność twój ojciec ma gdzieś. On tylko nie chce, żeby go złapano. I z niczego nie zrezygnuje. Z Rachel-Ann włącznie. Całe życie się nią opiekowałaś, więc teraz ją stąd zabierz. Zanim pojawi się Jackson.

- A co ty zrobisz?

- Nie wiem - powiedział znużonym głosem. - To pokaże przyszłość.

- Morderstwo jest sprzeczne z prawem.

- Powiedz to swojemu ojcu. Zresztą to nie byłoby morderstwo, tylko wyrok. Sprawiedliwy wyrok z bardzo długim odroczeniem.

- Ale jeśli chodzi o mnie, to popełniłeś błąd - spokojnie powiedziała Jilly. - Nie możesz go dotknąć, krzywdząc mnie albo Deana. Powinieneś wiedzieć, że my go ani trochę nie obchodzimy. Te twoje zagrywki ze mną to była zwyczajna strata czasu. Jasne, że dałam się nabrać. W końcu jestem tylko człowiekiem, ale ty zupełnie nic na tym nie zyskałeś.

Popatrzył na nią. Jego zielone oczy przesuwają się po Jilly.

- Owszem, zyskałem - powiedział cicho.

Jilly chwyciła stojącą na stoliku obok łóżka dużą, ciężką lampę, wyszarpnęła sznur z gniazdka i bez chwili wahania rzuciła ją w Coltrane'a.

Nie uchylił się. Nie musiał, bo lampa nawet nie doleciała do niego, rozbijając się o marmurową posadzkę.

- Zabierz stąd naszą siostrę, Jilly - powtórzył. - Zabierz ją i zawieź tak daleko, jak to możliwe. Jeśli będziesz miała choć trochę

szczęścia, to już nigdy więcej nie zobaczysz ani mnie, ani swojego ojca.

Wyszedł z pokoju, nawet nie zamknąwszy za sobą drzwi. Rufus wstał, westchnął głośno i podreptał za nim pełen bezrozumnego, psiego przywiązania.

Kiedy blada, roztrzęsiona Rachel-Ann wróciła z łazienki, Jilly nadal siedziała na łóżku jak martwa.

- Co ja mam zrobić, Jilly?

Jilly milczała. Patrzyła na Rachel-Ann, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu

- Zabiorę cię stąd - odezwała się w końcu. - Coltrane ma rację. Jackson z niczego nie zrezygnuje. Jest bardzo niebezpieczny. Zawsze taki był, ale teraz, kiedy znalazł się w sytuacji bez wyjścia, nie ma już żadnych hamulców. Musimy cię gdzieś schować.

- I ciebie też, Jilly. Musisz pojechać ze mną. Jeśli nie będzie mógł dostać mnie...

- Mnie nic nie grozi - przerwała jej Jilly. - Jackson nigdy mnie nie chciał i nigdy nie zechce. Bogu dzięki.

Wreszcie udało jej się otrząsnąć z tego straszego, obezwładniającego paraliżu. Była potrzebna siostrze.

- Rachel-Ann, czy on cię kiedyś... - Jilly musiała się dowiedzieć, chociaż te potworne słowa nie chciały przejść przez jej gardło. - Kiedy byłaś mała, to czy on wtedy...?

- Nie - odparła Rachel-Ann. Dobrze wiedziała, o co Jilly chce ją zapytać. - Kilka razy zdawało mi się, że do tego zmierza, ale zawsze coś go powstrzymywało.

Jilly odetchnęła z ulgą.

- Ale teraz nic go nie powstrzyma - powiedziała. - Pakuj się i wyjeżdżamy. Pojedziemy na północ albo może na pustynię.

- Ja mam dokąd pójść. Spędziłam tam dwie ostatnie noce. Jackson nigdy mnie nie znajdzie.

Jilly przyglądała jej się.

- Kto to jest? - spytała w końcu, ale zupełnie spokojnie.

- Tym razem to nie jest nic złego, Jilly - zapewniła ją Rachel-Ann. - Żaden przelotny romans. To ktoś, kogo kochałam. Bardzo dawno temu.

- Czy ja powiedziałam, że to coś złego? Nawet tak nie pomyślałam. Przynajmniej ten jeden raz bardziej mnie zajmuje bałagan, jakiego narobiłam w życiu sama sobie. Właśnie przez taki przelotny romans.

- Jilly...

- Pakuj się i znieś walizki na dół. Ja też zaraz zejść. Tylko nie próbuj zabrać wszystkiego. Im szybciej opuścimy ten dom, tym lepiej.

Pomyślała też, że im szybciej ucieknie od Coltrane'a, od wspomnień i skojarzeń, które przyprawiały o ból serca, to także tym lepiej.

Spędziłam cały dzień z oszustem i kłamcą, myślała. W łóżku. A co najgorsze, wciąż go pragnęła. Ale to nic. Była silna, nic jej nie

mogło złamać. W tej rodzinie każdy miał do spełnienia jakąś rolę. Rachel-Ann była delikatna, Dean samolubny, a Jilly była matką, pocieszycielką, broniącą wszystkich przed złem i ratującą z każdej opresji.

W tej chwili jednak oddałyby wszystko, żeby mieć przy sobie kogoś, kto uratuje z opresji i obroni ją.

Zużyli prawie cały zapas ciepłej wody. I dobrze. Jilly potrzebowała zimnego prysznica.

Ubrała się szybko, pospiesznie rozczesała włosy. Nawet nie ściągnęła ich gumką, tylko zbiegła na dół.

A raczej chciała zbiec. Niestety, stopy nadał ją bolały, mimo że dwanaście godzin spędziła w pozycji leżącej.

W domu było cicho, panował całkowity bezruch, wszystko okrywały cienie. Nagle usłyszała jakiś szelest. Odwróciła się.

- Cześć, tatusiu - powiedziała. - Szukasz kogoś?

Jackson Dean Meyer wstał z głębokiego fotela, który wcześniej ukrywał go przed jej wzrokiem. Był niższy niż poprzedniego wieczoru, jakby się skurczył, a mimo to wydawał się Jilly bardziej niebezpieczny.

Przedtem tylko wyczuwała to intuicyjnie, teraz знаła fakty. Ten człowiek był mordercą i miał obsesję na punkcie własnej córki.

- Wyglądasz jak hippiska, Jillian - stwierdził. - Jak zwykle zresztą.

- Trafił swój na swego, tatku - zażartowała. - Czy grandmere wiedziała, że byłeś zwierchnikiem okupującej tę posiadłość komuny?

- Jak sądzisz, dlaczego zabrała mi La Casa? - warknął Jackson. - Ale nie myśl sobie, że z całej rodziny tylko ja jestem kanalią. Twoi dziadkowie byli biedni jak myszy kościelne i dorobili się na narkotykach. Twój ukochany dom też kupiliśmy za pieniądze z narkotyków. Moja matka zakazała wam o tym mówić. Miała nadzieję, że wyrośnięcie na porządnych ludzi.

Znów próbował ją zmiążyć, ale Jilly nie dała się zbić z tropu.

- Nie dostaniesz jej - oznajmiła.

- Jesteś zazdrosna? - Małe oczka Jacksona jeszcze się zwężyły.

Doskonale wiedział, o kim Jilly mówi.

- A ty jesteś obrzydliwy. - Skrzywiła się. Naprawdę zrobiło jej się niedobrze.

- Gdzie twoja siostra? - spytał Jackson obojętnie. Jakby nie słyszał, co powiedziała, jakby nie widział grymasu na jej twarzy. - I gdzie jest Coltrane? Obiecał przyprowadzić ją tutaj.

- Uwierzyłeś mu?

W domu panowała idealna cisza. Jilly miała nadzieję, że Coltrane już wie o obecności Jacksona, że wyprowadził Rachel-Ann bocznymi schodami i wywiózł ją daleko stąd, w jakieś bezpieczne miejsce.

- Tak samo jak wszystkim. Dlaczego miałbym mu nie uwierzyć? On nie ma żadnych skrupułów. - Przekrzywił głowę na bok i popatrzył na Jilly. - Ach, rozumiem. Więc jednak się z nim przespałaś. Kazałem mu cię czymś zająć, a jeśli będzie miał okazję, to nawet się z tobą przespać. Nie chciałem, żebyś nachodziła mnie w biurze, wypytywała

i zawracała głowę, kiedy federalni depczą mi po piętach. Ale nie przypuszczałem, że on to naprawdę zrobi. Ani że ty dasz się na to nabrać. Chyba jednak nie jesteś taka silna, jak ci się zdaje. Jesteś taką samą głupią gęsią jak twoja matka.

Jilly nawet nie mrugnęła okiem.

- Rachel-Ann wyjechała, Jackson — oświadczyła. - A Coltrane razem z nią. Jeśli chcesz uciec za granicę, jeśli j nie chcesz, żeby dopadło cię prawo, to też powinienes .. już się stąd wynosić.

- Kto ci powiedział, że wyjeżdżam za granicę? O ile dobrze się orientuję, tylko Coltrane znał moje plany.

- Może jednak zanadto mu ufałeś.

- Niekoniecznie. - Jackson patrzył ponad jej ramieniem w ciemną przestrzeń holu. - Czemu tak długo?

Ze schodów schodził Coltrane. Ubrany elegancko, wyglądał jak obcy człowiek, zupełnie niepodobny do tamtego mężczyzny, który cały dzień spędził z nią w łóżku. Obok niego szła Rachel-Ann, zupełnie spokojna. Coltrane trzymał dłoń na jej ramieniu.

Jackson uśmiechnął się do Rachel-Ann tym obleśnym, zniewalającym uśmiechem, który zawsze mroził krew w żyłach Jilly. Zawsze - na długo przedtem, zanim poznała przyczyny tego nieprzyjemnego uczucia.

- Wyjeżdżamy, kochanie - powiedział słodko Jackson. - Pojedziesz ze swoim staruszką zwiedzać świat. Przeżyjemy fantastyczne przygody. Nie musisz się o nic martwić. Ja się wszystkim

zajmę, tak jak zawsze. Będziemy tylko ja i ty. I żadnych kłopotów. Obiecuję.

Rachel-Ann milczała, nieruchoma jak posąg, tylko jej zielone oczy, takie same jak oczy Coltrane'a, przyglądały się Jacksonowi.

- Gdzie twoje bagaże? - spytał Jackson. Koniecznie chciał zmusić Rachel-Ann do reakcji. Jakiegokolwiek. Był zaniepokojony i starał się to ukryć. - Zresztą, po co nam bagaże. Jak wylądujemy w Rio, kupimy sobie wszystko, czego dusza zapagnie. Najpierw polecimy do Brazylii, kochanie, a potem zobaczymy, dokąd nas zanieśie. Dzięki za wszystko, Coltrane. Dobrze się spisałeś.

Wyciągnął rękę w kierunku Rachel-Ann, ale Coltrane nie puścił siostry.

- O co chodzi? Boisz się, że o tobie zapomniałem? Nie martw się. Afton dostała szczegółowe instrukcje... -Wiesz, że na niej można polegać.

- Nigdzie z tobą nie pojedę - powiedziała Rachel-Ann. Głos jej drżał, ale tylko troszkę.

Jackson był zdumiony. Właściwie powinno to wyglądać komicznie, ale było jeszcze bardziej przerażające.

- Nie wygłupiaj się. Coltrane cię tu przyprowadził, bo go o to prosiłem.

- Nie przyprowadziłem jej - sprostował Coltrane. - Sama przyszła. Ja chciałem ją stąd wyprowadzić tylnymi drzwiami.

- Jasne, że chciała przyjść. - Jackson uśmiechnął się szeroko. - Nie wiem, co jej powiedziałaś, że aż tak się zdenerwowała, ale

przecież wystarczy, że na mnie spojrzysz, a zrozumiesz, że ją kocham, że zawsze ją kochałem. Nic się nie zmieniło, Rachel-Ann. Jedź ze mną, kochanie. Nigdy nie lubiłaś tego domu, nienawidziłaś tego życia. Teraz wreszcie zaczniemy nowe. Daleko stąd, gdzie nikt nic o nas nie wie.

- Zostanę z moim bratem - powiedziała całkiem spokojnie.

- Bzdura! Dean jest bezużyteczny. Zresztą nie wiadomo nawet, gdzie się podziewa.

- Nie z nim. Z moim prawdziwym bratem. Zapadła głucha cisza. Jackson już nie próbował nikogo czarować. Miał lodowate spojrzenie bazyliuszka.

- Ty kłamliwy skurwysynu - syknął wściekle. - Nie wierz mi, Rachel-Ann. Kłamie jak najęty! Nie wiem, co ci naopowiadał, ale ja nigdy o nim nie słyszałem.

- Powiedział mi, że zamordowałeś jego matkę. Moją matkę. Dlaczego to zrobiłeś?

- Nikogo nie zamordowałem, dziecinko. - Powiedział to tak słodko, tak szczerze, że nawet Jilly przeżyła chwilę zwątpienia. - Nie wiem, za kogo on się podaje, ale to wszystko wierutne kłamstwo; Ja nawet nie znałem twojej matki. Załatwiałem dla ciebie rodzinę adopcyjną, ale ci ludzie rozmyślili się w ostatniej chwili, więc zdecydowałem, że zostaniesz ze mną.

- Jeśli załatwiałeś dla mnie rodzinę adopcyjną, to jakim cudem nie spotkałeś się z moją matką? - Rachel-Ann była dociekliwa.

- Umarła przy porodzie - odparł bez wahania. - Komu dasz wiarę, maleńka? Jakiemuś obcemu czy tatusiowi, który cię kocha. Chodź tu do mnie natychmiast. Albo nie. Idź na górę, weź jakieś ubranie na zmianę, tylko tyle, żeby wystarczyło na jutro. Za dziesięć minut wyjeżdżamy. No, idź już, skarbie. - Widocznie wyczuł jej wahanie, bo dodał: - Ja tu na ciebie zaczekam.

Rachel-Ann odsunęła się od Coltrane'a, jak lunatyczka zaczęła wchodzić na schody i już po chwili zniknęła wśród domowych cieni. Wtedy Meyer wyjął pistolet, wycelował w Jilly i Coltrane'a.

- Przykro mi, ale muszę was oboje zabić - powiedział obojętnym tonem. - Nie planowałem tego, sami jesteście sobie winni. Ty, Coltrane, jesteś całkiem niezły. Prawie taki dobry jak ja. Kto by pomyślał, że z tamtego zasmarkanego bachora wyrośnie taki spryciarz.

- Wcale nie jestem do ciebie podobny - powiedział Coltrane. Już nie fatygował się, żeby go tytułować szefem.

- Oczywiście, że jesteś. Brzydzisz się mną, ale w głębi duszy jesteśmy tacy sami. Niemoralni, chciwi i zachłanni. Tak samo jak ta suka, twoja matka. Wiesz, że próbowała mnie szantażować? Zostawiła cię, tego twojego durnego ojca i zjawiała się tutaj z niemowlęciem. Chciała, żebym się rozwiódł z Edith i ożenił z nią. Zagroziła, że jak tego nie zrobię, to pójdzie na policję i opowie o wszystkim, co się tutaj dzieje. To były szalone czasy, nikt nad niczym nie panował. Cholera, nie pamiętam nawet połowy z tego, co wtedy wyprawiałem.

- A więc dlatego ją zabiłeś.

- Owszem - przyznał tak obojętnie, jakby chodziło o muchę. - Utopiłem ją w basenie. Szarpała się jak wszyscy diabli, ale ze mną nie miała szans. Wszystko byłoby prostsze, gdybym wtedy pozbył się także dziecka. Zawsze robiłem tylko to, co niezbędnie konieczne, ale tym razem odstępiałem od swoich zasad. Spojrzałem na Rachel-Ann i zakochałem się w niej.

- Wzruszające - szydził z niego Coltrane.

- Też tak uważam - stwierdził nieporuszony Jackson. - Była niemowlęciem, ale już wtedy było widać, że kiedy dorośnie, będzie tak samo śliczna jak jej matka. Kochałem Amandę... Oczywiście, dopóki nie zażądała zbyt wiele. Musiała umrzeć, ale dała mi jeszcze jedną szansę. Rachel-Ann.

- Ty jesteś chory. - Jilly skrzywiła się.

- Nic podobnego. Ojciec uśmiechnął się do niej słodko. - Ja tylko robię to, co konieczne. Niestety, muszę was zabić. W żadnym wypadku nie mogę was oszczędzić. Popełniłem błąd, zostawiając przy życiu Rachel-Ann, ale tego akurat nie żałuję. Na wasze nieszczęście, nigdy nie popełniam tego samego błędu dwa razy.

- Gównu mnie obchodzi, co ze mną zrobisz, Meyer - odezwał się Coltrane - ale Jilly zostaw w spokoju. Chyba nie zabijesz własnej córki.

- Tak uważasz? - spytał Meyer. - Nie doceniasz mnie, Coltrane. Jeśli zamierzam spać z własną córką, to drugą chyba mogę zabić. Ja nie mam żadnych zasad i żadnych skrupułów. Niczego nie czuję do swoich dzieci, nie odróżniam dobra od zła. Jasne, że ją zabiję.

- Nie zrobisz tego!

Rachel-Ann znów pojawiła się na schodach, ale i tym razem nie miała ze sobą walizki. Trzymała za obrożę groźnie warczącego Rufusa. Obok niej stał Dean, spokojny, niemal rozbawiony dramatem, jaki rozgrywał się na jego oczach.

- Jego też mogę zastrzelić - zagroził poblady Meyer.

- Zastrzelę tego cholernego psa, zanim zdąży się do mnie zbliżyć.

- Daj spokój, tato - wtrącił się Dean. - Zrobiła się z tego opera mydlana w bardzo złym stylu. Gra skończona. Przegrałeś. Rachel-Ann już wie o wszystkim. Jilly też wie. Wszyscy wiemy.

- To kłamstwa...

- Mam dowód - mówił Dean, schodząc ze schodów. Zostawił Rachel-Ann samą. Trzymała się obroży Rufusa jak koła ratunkowego.

- Od wielu miesięcy składałam do kupy różne kawałki, ale dopiero dzisiaj znalazłem ostatnie ogniwo. Raport z sekcji zwłok Amandy Coltrane, bezdomnej, młodej kobiety. Ciało wyłowiono z Pacyfiku.

Było poobijane o skały, prawie nie do poznania. No, ale nie aż tak poobijane, żeby nie dało się stwierdzić, że woda w jej płucach była chlorowana, a nie słona, z oceanu.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Jest też dowód, który ją łączy z tobą, tato. Wystarczy rutynowe ustalenie ojcostwa, nie mówiąc już o badaniu DNA. Można by się z tego dowiedzieć wielu interesujących rzeczy. Coltrane na pewno chętnie da próbkę swojego DNA.

- Jesteś moim synem... - zaczął groźnie Meyer.

- I zupełnie nic cię nie obchodzi - dokończył gładko Dean. - Ty też nic mnie nie obchodzisz. Ale dam ci szansę. Odejdź stąd. Zniknij. Jedź za granicę i ciesz się czasem, jaki ci jeszcze został. Na pewno odłożyłeś sobie sporą sumkę w rozmaitych walutach. Jeśli zaraz stąd wyjdiesz, pozwolę ci to ze sobą zabrać, Z radością przejmę po tobie Meyer Enterprises, posprzątam cały ten bałagan, jakiego narobiłeś. Możesz jeszcze ocalić swoją skórę, Jackson.

Coltrane się wzdrygnął. Milczał. Jego twarz wyglądała, jakby ją wyrzeźbiono z lodu.

Meyer wyciągnął rękę do Rachel-Ann.

- Rachel-Ann jęknął błagalnie.

- Odejdź, dopóki jeszcze możesz, Jackson - powiedziała zimno Rachel-Ann. - Ratuj swoją zasraną dupę i oszczędź nam kłopotów.

Nie mogła zniszczyć go skuteczniej. Patrzył na nią z przerażeniem i nienawiścią w oczach. Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, co się dzieje, podniósł do góry pistolet.

Jilly krzyknęła. Coltrane dopadł Jacksona, rzucił nim o ścianę. Pistolet wypalił, kula przeleciała Coltrane'owi nad głową, a Rufus wściekle warcząc zeskoczył ze schodów.

Meyer krzyczał. Ze strachu. Nim ktokolwiek zdołał go zatrzymać, wypadł z domu. Rufus popędził za nim jak spragniony krwi wilk.

- Rufus! - wołała Jilly, lecz oszalały pies już jej nie słyszał.

Ktoś chwycił ją za rękę, pewnie Coltrane. Strząsnęła go i pobięła za psem.

Meyer zniknął na prowadzącej do basenu zarośniętej ścieżce. Rufus pędził tuż za nim. Jilly potwornie się bała, że, kiedy wreszcie go dopadnie, przegryzie mu gardło. Meyer zasłużył sobie na stokroć gorszą śmierć, ale Jilly nie chciała, żeby jej ukochany pies stał się mordercą.

Biegła za nimi, nie zważając dokąd. Gałęzie czepiały się jej długich włosów, drapały ręce. Meyer uciekał w stronę opuszczonego basenu, ale tym razem Jilly bez wahania biegła za nim.

Wy dostała się z gęstwiny prawie natychmiast za Meyerem i Rufusem. Jackson Dean Meyer stał na zmurszałej cembrowinie basenu, szeroko otwartymi z przerażenia oczami patrzył na Rufusa, który nacierał na niego, warcząc gardłowo.

- Rufus! - krzyknęła Jilly.

Pies odwrócił głowę i popatrzył na swoją panią. I wtedy Meyer się zachwiał. Wpadł w sam środek wypełniającej basen mulistej cieczy.

Jilly usłyszała łoskot uderzającego o cementowe dno ciała, słyszała plusk płytkiej, błotnistej wody. A potem wszystko ucichło.

Kiedy zjawili się Coltrane, Dean i Rachel-Ann, Jilly stała bez ruchu i patrzyła przed siebie na ciemną plamę basenu. Obiema rękami trzymała za obrożę Rufusa.

Coltrane podbiegł do niej pierwszy.

- Nie pozwól im na to patrzeć - powiedziała cicho, ale stanowczo.

Coltrane popatrzył na basen, a potem spojrział na Jilly.

- Ciagle ich osłaniasz - stwierdził obojętnie, jakby nigdy nie byli razem, jakby ich usta, ich ciała nigdy się nie dotykały.

- Nie mam innego wyjścia.

- A kto obroni ciebie?

- Mam Rufusa - powiedziała. - Nie trzeba mi innego obrońcy.

Scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Brenda oparła głowę na ramieniu Teda. Drżała.

Ted mocno tulił ją do siebie, aż w końcu zostali przy basenie sami. Sami z martwym ciałem, pływającym twarzą w dół w płytkiej, błotnistej wodzie.

- Wtedy nie mogliśmy mu przeszkodzić, mój skarbie - szeptał jej, do ucha Ted - a teraz nie możemy mu pomóc.

- No i dobrze - powiedziała zduszonym głosem. Nie chciała na to patrzeć. W tym starym domu było stanowczo za dużo śmierci, za dużo zła i nienawiści. A przecież ona nigdy nie pragnęła niczego prócz miłości.

- Spójrz na mnie, Brendo - poprosił Ted, odwracając jej twarz do siebie. - Nareszcie wszystko skończone.

- Naprawdę? Jesteś tego pewien? Kto nam zaręczy, że on tu z nami nie zostanie? Na zawsze? Chyba bym tego nie wytrzymała, Ted. Nie mogłabym...

- Uspokój się, kochanie. Kobieta, którą zamordował, nigdy tu nie wróciła. Myślę, że on też nie wróci. A gdyby nawet, to się go pozbędziemy.

- Jak? Jesteśmy tu uwięzieni, całkiem bezradni.,.

- Wierzysz w to, mój skarbie?

Jego głos, taki czuły i pełen wyrozumiałości, zniszczył resztki imponującej silnej woli Brendy.

- Ja jestem uwięziona - powiedziała po chwili milczenia. - Ty możesz odejść.

- Dokąd?

- Do światła. Przyjdzie po ciebie, jeśli tylko zechcesz. W niczym nie zawiniłeś, nie zrobiłeś nic złego. Byłeś niewinną ofiarą, więc możesz iść dalej, kiedy tylko zechcesz. Do nieba, do raju, cokolwiek to jest. Tylko musiałbyś tam pójść beze mnie.

- Wobec tego nie chcę nigdzie iść - powiedział Ted bez wahania. Ale teraz, kiedy Brenda wreszcie zaczęła o tym mówić, po prostu nie mogła przestać.

- Okłamałam cię, Ted. Ty nie pamiętasz, co się wtedy stało, a ja nigdy ci o tym nie mówiłam. Przez tyle lat myślałeś, że zdecydowaliśmy się razem popełnić samobójstwo, i dlatego uwięziono nas tutaj za karę. Ale to było inaczej,

- Wiem

- Widzisz, ja... Ty wiesz? - spojrzała na niego zdumiona.

- Zawsze starałaś się mnie czymś zająć, kiedy przyjeżdżały tu te okropne wycieczki. Ale przez tyle lat tak wielu ludzi przewinęło się przez ten dom i wszyscy oni mówili o naszej śmierci... Kiedyś wreszcie musiałem się zorientować, mój skarbie. Najpierw zabiłaś mnie, a potem siebie. Nie wiem, po co to zrobiłaś, ale widocznie miałaś ważny powód...

- Nie! - krzyknęła Brenda.

- Nie miałaś ważnego powodu? - uśmiechał się do niej. - A więc to była tylko zachcianka?

- Jak możesz żartować z takiej poważnej sprawy? -Brenda była bliska płaczu. - Przecież rozmawiamy o morderstwie. O śmierci.

- Od tamtej pory minęło mnóstwo czasu, kochanie. Ale jeśli wyznanie sprawi, że poczujesz się lepiej, to mów, proszę. I tak będę cię kochał.

- To nie ja cię zabiłam.

- Nie ty? - tym razem Ted naprawdę się zdziwił. -Wobec tego kto?

- Było bardzo gorąco, a ty mocno spałeś - opowiadała Brenda. Pamiętała tamtą noc sprzed lat tak dobrze, jakby to było wczoraj. - Poszłam popływać. W tym samym przeklętym basenie.

- Zawsze lubiłaś popływać sobie w środku nocy -powiedział czule Ted. - Włożyłaś kostium kąpielowy?

- Oczywiście, że nie - obruszyła się Brenda. - Narzuciłam tylko szlafroczek... Kiedy wróciłam, poczułam, że dziwnie się za mną ciągnie. Pomyślałam, że zmoczył się w basenie, ale to nie była woda, tylko krew. Twoja krew. Na tarasie, na schodach, w naszej sypialni...

- Moje biedne kochanie - mruknął Ted. Przestał się uśmiechać i spoważniał. - To musiało być dla ciebie straszne.

- To musiało być straszne dla ciebie! Byłeś martwy. Biegłam ile sił w nogach, znalazłam cię leżącego w łóżku. Tył głowy... - Głos jej się załamał na wspomnienie chwili, jaką wtedy przeżyła.

- Tyłowi mojej głowy zupełnie nic nie brakuje, kochanie. Nie denerwuj się, już po wszystkim. Lepiej mi powiedz, co się stało potem.

- Podbiegłam do okna. Daliśmy służbie wolny wieczór, więc w domu prócz nas nie było nikogo. Wyrzałam i wtedy ją zobaczyłam. Cała zakrwawiona, biegła do samochodu.

- Chyba się domyślam. Adele. Moja była żona.

- Nigdy nie przyjęła do wiadomości tego, że jest byłą żoną.

- Tak - westchnął Ted. - Nigdy się z tym nie pogodziła. Nikt nie podejrzewał, że to ona mnie zabiła. Wszyscy uważali, że zrobiłaś to ty. Co się stało, kochana? Czy ona cię zobaczyła? Czy wróciła po ciebie?

- Nie. Odjechała. Zostawiła na łóżku pistolet. Musiała mnie dobrze znać... Wzięłam ten pistolet, weszłam do łóżka i...

- Moja słodka, kochana Brenda - powiedział czule Ted.

- Sam widzisz: ty możesz odejść. Nic złego nie zrobiłeś. A ja tak. Spędziłam z tobą pięćdziesiąt lat, ukochany. Nie zasłużyłam na tyle szczęścia. Uważam, że powinieneś skorzystać z szansy...

- Nie chcę niczego oprócz ciebie, mój skarbie - przerwał jej Ted.

- Dlaczego uważasz, że nie możemy odejść razem?

- Ponieważ ja popełniłam samobójstwo.

- Twój Bóg jest o wiele mniej wyrozumiały od mojego. - Ted pokręcił głową. - Czy chciałabyś opuścić to miejsce?

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Ja nie mogę - szepnęła.

- Możesz - powiedział z taką pewnością, jakby posiadał wiekuistą mądrość. - Podaj mi rękę, kochana.

Wyciągnął do niej rękę. Brenda bez namysłu wsunęła swą drobną, starannie wypielegnowaną rączkę w dużą, silną dłoń Teda. Chwilę później otulił ich oślepiająco biały blask.

- Ted - szepnęła wystraszona.

Przytulił ją do siebie. Światło ich wypełniło, uniosło do góry.

- Nie bój się, mój skarbie - szepnął Ted. - Będzie dobrze, zobaczysz! Przez całą wieczność.

Jechała na oślep przez zatłoczone ulice. Chcieli ją zatrzymać, zmusić, żeby została, ale ona się nie zgodziła. Była opanowana, całkowicie spokojna.

Wolała odejść, zanim przyjedzie policja, zanim wyłowią ciało z basenu.

Nie wiedziała, dokąd jedzie, dopóki tam nie dotarła. Kościół unitarian był jasno oświetlony, na chodniku przed wejściem stało kilka palących papierosy osób.

Rachel-Ann od dawna знаła tych ludzi. Przeszła obok nich, uśmiechając się niepewnie, weszła do sali, w której odbywały się spotkania.

Było pełno. Zamiast zająć swoje stałe miejsce w najdalszym jej końcu, z dala od ciekawskich oczu, usiadła w pierwszym rzędzie.

- Czy ktoś chciałby dzisiaj o czymś z nami porozmawiać? - zapytał prowadzący, kiedy już odprawił wszystkie rytuały, rozpoczynające każde spotkanie.

Zawsze w takiej chwili Rachel-Ann spuszczała wzrok, kulila się w sobie tak mocno, aż stawała się prawie niewidoczna. Tym razem było inaczej. Podniosła do góry rękę, a prowadzący skinął głową.

- Cześć - powiedziała. - Mam na imię Rachel-Ann i jestem... - głos jej się załamał. W sali panowała głucha cisza. - Jestem alkoholiczką - dokończyła dobitnie.

- Cześć, Rachel-Ann - odezwały się przyjazne głosy, witające ją we wspólnocie.

- Cześć, Rachel-Ann - usłyszała tuż za plecami cichy głos Rica. Nie odwracając się, wyciągnęła rękę, a on ją uścisnął i już nie puścił.

- Dzisiaj umarł mój ojciec... - zaczęła swoją opowieść.

- Gdzie jest Coltrane? - zapytał Dean.

Jilly siedziała w kuchni przy stole i w milczeniu wpatrywała się w filiżankę z wystygłą kawą.

Dawno minęła północ, policja odjechała a razem z nimi koroner i ambulans. Nareszcie byli w domu sami.

- Wyjechał - powiedziała, spoglądając na brata. - Chyba nie miał ochoty na rozmowę z policją.

- To oczywiste. Nasz przyjaciel Coltrane ma sporo tajemnic.

- Tak samo jak większość ludzi.

- On ma ich znacznie więcej niż większość ludzi. Chyba się w nim nie zakochałaś, co?

- Myślisz, że jestem aż taka głupia? - gwałtownie uniosła głowę.

- Owszem. A raczej taka wrażliwa. Nie zawsze jesteś silna, Jilly.

- Teraz już nie mam wyboru.

- Czy on wróci?

- Coltrane? Nie sądzę. Dostał to, czego chciał. Jackson nie żyje.

- Jesteś pewna, że tylko tego chciał?

- Oczywiście. Czegóż by jeszcze?

- Może ciebie, siostrzyczko?

- Niemożliwe. - Pokręciła głową. - Gdyby tak było, to zostałaby tu ze mną. I na pewno nie odszedłby bez słowa.

- Może tak, a może nie.

- Martwię się o Rachel-Ann. - Jilly woląła zmienić temat. -
Wiesz może, gdzie ona się podziewa?

- Przestań, Jilly! Przestań się zamartwiać o wszystkich i wreszcie zajmij się sobą. Rachel-Ann sobie poradzi. Jest silniejsza, niż się wszystkim zdawało.

- A ty? Co będzie z tobą?

- Naprawdę nie potrafisz przestać. - Dean pokręcił głową. - Ja też sobie poradzę. Od lat nie miałem złudzeń co do Jacksona. Uważałaś, że ja wciąż potrzebuję jego miłości. A ja tylko chciałem, żeby ten stary skurwiel wreszcie wyniósł się do diabła i żeby mi zostawił firmę.

- Dean! - zawołała przerażona faktem, że jej brat zupełnie się nie przejął śmiercią rodzzonego ojca.

- I ja, i Rachel-Ann potrafimy zatroszczyć się o siebie sami - mówił Dean. - Najwyższy czas, żebyś ty zajęła się Jilly. Musisz wreszcie zacząć żyć, kochana. Żyć własnym życiem, a nie życiem

tego starego domu i twojego głupiego rodzeństwa. Dobrze by było, żebyś miała coś, co trzeba odnowić, może nawet jakąś duszę, którą warto zbawić. Miałem nadzieję, że to będzie Coltrane. Najwyższy czas, żebyśmy wreszcie wszyscy stanęli na własnych nogach, siostrzyczko.

- Dobrze - zgodziła się, bo nie chciała go dłużej słuchać.

- I pora pozbyć się tego starego domu. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

Popatrzyła na sufit, z którego odpadał tynk, na zardzewiały zlew, na wyszczerbione naczynia, stojące za szklanymi drzwiczkami wielkich kredensów.

- Masz rację - powiedziała i rozplakała się.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Osiem miesięcy później.

Jilly Meyer oparła na biodrze torbę z zakupami, wsunęła klucz do zamka. Nigdy nie było wiadomo, czy uda się go otworzyć.

Dom wybudowano w latach trzydziestych i od tamtej pory zamków nie wymieniano. Jilly ten dodatkowy kłopot wcale nie przeszkadzał. Znacznie bardziej cieszył ją ozdobny klucz, otwierający ten antyczny mechanizm.

Sprzedła corvette. Nagle stała się dla niej zbyt szybka, a poza tym, dziwnym zrządzeniem losu, zaczęła zbierać mandaty. Któregoś dnia dostała trzy pod rząd i wtedy uznała, że potrzebny jej dużo wolniejszy samochód.

La Casa de Sombras także został sprzedany. Nabywcą posiadłości było niezależne studio filmowe, którego kierownictwo zamierzało odnowić dom, doprowadzić go do pierwotnej świetności i urządzić sobie tam biuro.

Jilly ostrzegała ich przed duchami, ale, nie wiedzieć czemu, od jakiegoś czasu nikt już ich tam nie widział. Nawet Rachel-Ann.

Niełatwo było znaleźć miejsce, w którym mogłaby mieszkać z takim wielkim psem jak Rufus, ale od czego ma się brata.

Dean stał się prawdziwym człowiekiem interesu. Mieszkanie dla Jilly znalazł dosłownie w przeciągu kilku godzin od chwili podpisania umowy o sprzedaży La Casa.

Wymagało ono wprowadzić kapitalnego remontu, ale było dokładnie takie, jakiego Jilly potrzebowała. Natychmiast należało wymienić parkiety i tapety, wstawić nowe szyby w okna, pozaklejać dziury w ścianach.

Niestety, kiedy wszystkie prace zostały zakończone i mieszkanie osiągnęło stan idealny, Jilly nie bardzo miała czym się zajmować.

Rico i Rachel-Ann stanowczo zabronili jej robić cokolwiek w ich nowiutkim domu, więc zajęła się kupowaniem ubrań dla niemowlęcia, chociaż jej siostra była dopiero w piątym miesiącu ciąży.

Zabobonna Consuelo twierdziła, że to przynosi nieszczęście, ale Rico i Rachel-Ann nie bali się żadnego pecha.

Jilly nie miała się już o kogo troszczyć. Rachel-Ann była szczęśliwa jak nigdy dotąd, otaczała ją wielka rodzina złożona z niezliczonych krewnych, powinowatych i pociotków Rica. Jeśli nawet tęskniła za bratem, którego miała - przynajmniej świadomie - zaledwie przez kilka godzin, Consuelo i wszyscy kuzyni całkowicie jej to rekompensowali. Rozwijające się w niej dziecko też.

Dean rozkwitał. Poważny, pewny siebie, chociaż wciąż jeszcze przywiązany do swego ukochanego komputera, nie potrzebował już starszej siostry.

Jedyną istotą, która nie mogła się obejść bez jej opieki, był Rufus, który zdawał się być trochę zmęczony ciasnotą małego mieszkania i brakiem wielkiego ogrodu.

Tym razem zamek poddał się bez walki. Jilly otworzyła drzwi, zatrzymała się w progu. Czekwała, aż Rufus na nią wskoczy, nacieszy się jej obecnością, pokaże, jak bardzo się tęsknił.

Ale Rufus się nie pojawił. Z ciemnego mieszkania dobiegło tylko cichutkie, ostrożne poszczekiwanie.

Jilly rzuciła torbę z zakupami i, wystraszona, wbiegła do pokoju, nawołując psa.

Siedział sobie spokojnie, machając ogonem. Wielką głowę ułożył na kolanach Coltrane'a.

Osiem miesięcy! Osiem miesięcy bez jednego słowa! A teraz siedzi jak gdyby nigdy nic w jej własnym mieszkaniu i drapie za uszami jej własnego psa!

- Jak się tu dostałeś? - spytała ostro.

Tym razem się nie wygłupiła i nie zawołała Rufusa do siebie. Pies sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego i prawdopodobnie wcale by do niej nie podszedł. Tak czy siak, wołała nie ryzykować.

- Przypadkiem umiem otwierać zamki. Nauczyłem się tego dawno temu, w okolicznościach, o których wołałbym ci nie opowiadać.

Jego głos... Jilly nie wiedziała, że tak bardzo tęskniła za jego głosem.

- Skoro umiałeś wejść, to na pewno potrafisz też stąd wyjść - powiedziała słodko.

Bardzo się zmienił. W jego włosach już nie było rozjaśnionych słońcem pasemek; stały się jakby bardziej piaskowe i były krótsze niż

wtedy, kiedy go Jilly poznała. I ubierał się inaczej. Już nie u Armaniego, w stylu kalifornijskich bogaczy.

- Chcę z tobą porozmawiać.
- O czym?
- Wróciłem do Nowego Orleanu.
- I myślisz, że mnie to obchodzi?

Była bardzo dumna z siebie. Demonstrowała mu wyłącznie niezadowolenie i chłodną obojętność. Najwyraźniej była lepszą aktorką, niż jej się zdawało.

- Owszem - odparł. Coltrane nie dał się oszukać. - Kiedyś mi powiedziałaś, że mogę odpokutować swoje winy.

- Pamiętam. - Oczywiście, że pamiętała, każdy dzień, każdą chwilę ich krótkiej znajomości,

- Ja już zacząłem, ale...

- Bardzo się cieszę. Teraz już możesz iść.

- Co mam zrobić, żebyś mnie wysłuchała? Przeczolgać się po rozżarzonych węglach?

- Czego ty w ogóle ode mnie chcesz? - Udało mu się wyprowadzić ją z równowagi. - Jeśli chodzi o numer telefonu Rachel-Ann, to możesz go w każdej chwili dostać od Deana.

- Nie potrzebuje telefonu do Rachel-Ann. — Coltrane pokręcił głową. - Często się spotykamy. Ma bardzo fajnego męża.

- Bywasz w Los Angeles?- Jej oczy się zwięziły. - Bo wiem na pewno, że Rachel-Ann nigdzie stąd nie wyjeżdża.

- Bywam w Los Angeles - przyznał. - Czasami. Jilly bała się, że za chwilę całkiem straci panowanie nad sobą. Musiała się go jak najszybciej pozbyć.

Minęły trzy miesiące, zanim przestała płakać z byle powodu, po czterech zaczęła normalnie żyć. A jednak wystarczyło, że Coltrane wśliznął się do jej mieszkania jak wąż, żeby zrozumiała, jak bardzo się oszukiwała.

- Czego ode mnie chcesz? - powtórzyła. - Wybieram się na randkę i nie mam czasu na pogaduszki.

- Nadal nie umiesz kłamać. Nie masz żadnej randki.

- Uważasz, że nikt by mnie nie zechciał?

- Nic podobnego. Uważam, że to ty nie chcesz nikogo prócz mnie. Tylko nie rzucaj we mnie tą lampą - dodał szybko, spoglądając na ciężką, mosiężną lampę stojącą na komodzie.

- To moja lampa. Mogę sobie nią rzucać, ile wlezie. Jeszcze raz cię pytam. Czego ty ode mnie chcesz?

- Mam dom w Dzielnicy Francuskiej. Zabytkowy, ale kompletnie zrujnowany. W Nowym Orleanie ludzie bardzo dbają o zabytki. Ciągle coś się remontuje.

- I co z tego?

- Mam byle jaką pracę za gówniane pieniądze - ciągnął Coltrane.

- Jestem obrońcą z urzędu. Bronię wszystkich nieudaczników.

- Dlaczego?

- Dlatego, że ktoś musi to robić. Ktoś musi się zajmować ludźmi, którzy sami nie potrafią się sobą zająć.

- A więc jednak... - szepnęła do siebie Jilly.

- Wokół domu jest wielki ogród. - Coltrane jej nie usłyszał. A może tylko udawał? - Rufus miałby gdzie biegać.

- No, wreszcie zrozumiałam - powiedziała. - Wróciłeś po tylu miesiącach bez jednego słowa, otworzyłeś sobie drzwi wytrychem, a wszystko po to, żeby mi zabrać psa.

Przez chwilę Coltrane sądził, że Jilly mówi to wszystko poważnie, ale jedno spojrzenie wystarczyło, żeby zrozumieć, że kpi z niego w żywe oczy.

- No tak. - Ze zrozumieniem pokiwał głową. - Chcesz mi dać szkołę.

- Wiesz, ten pomysł z czołganiem się po rozżarzonych węglach wcale nie był taki głupi.

- Ale ja naprawdę nic złego nie zrobiłem - usprawiedliwiał się Coltrane. - Wyjechałem, bo musiałem sprawdzić, czy jeszcze potrafię być porządnym człowiekiem. Przedtem nie byłem ciebie godny, Jilly.

- To znaczy, że teraz jesteś? Ale ze mnie szczęściara!

Uśmiechnął się leniwie, czarująco.

- No cóż, wątpię, żebym kiedykolwiek stał się taki dobry, żeby móc porównać się z tobą. Na szczęście ty też potrafisz być nieznośna. Masz w tym kierunku prawdziwy talent. Ktoś powinien się zająć rozwinięciem tej strony twojej osobowości. Uważam, że nikt nie nadaje się do tego lepiej niż ja.

- Tak sądzisz?

- Do diabła! - Coltrane zaczął tracić cierpliwość. - Jeśli nie chcesz być ze mną ze względu na siebie, to zrób to dla mnie. Ktoś musi się mną zająć, chronić mnie przed moimi wewnętrznymi złymi duchami. Nikt nie zrobi tego tak dobrze jak ty, Jilly. Umiesz się troszczyć o innych jak nikt na świecie.

- Dupek - mruknęła.

- I nie zapominaj - mówił niezrażony Coltrane - że nigdy z nikim nie było ci w łóżku tak dobrze jak ze mną. Mnie z tobą. też.

- To za mało.

- No, trudno. - Westchnął komicznie. - Chyba jednak muszę ci powiedzieć prawdę. Kocham cię Jilly- Pojedź ze mną do Nowego Orleanu.

A więc to było aż takie proste? Tyle pustych miesięcy, ocean wylanych łez...

- Ja też cię kocham - powiedziała cicho.

- Wiem.

Był taki pewny siebie. Jak zwykle.

Jilly błyskawicznie sięgnęła po lampę i rzuciła nią w Coltrane'a. Naprawdę nie mogła się powstrzymać.

Ten człowiek miał jeszcze bardzo wiele grzechów do odpokutowania i Jilly zamierzała dopilnować, żeby zrobił to do końca. Przy jej pomocy, w starym zrujnowanym domu w Nowym Orleanie, nie mogło się nie udać.

- A ożenisz się ze mną? - Woląła się upewnić co do uczciwości jego intencji.

Ten jego leniwy uśmiech sprawił, że Jilly zakręciło się w głowie.

- Pod warunkiem, że przestaniesz we mnie rzucać lampami.

- Chcę mieć dzieci.

- Pod warunkiem, że przestaniesz we mnie rzucać lampami.

- Chcę się z tobą kochać.

- To możesz mieć w każdej chwili. Bez żadnych warunków.

Scandalous